

ABRAM TERC

SĄD IDZIE

ANONIM

CO TO JEST
REALIZM SOCJALISTYCZNY ?

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

ABRAM TERC

SĄD IDZIE

BIBLIOTEKA KULTURY

IVIX 1967

SĄD IDZIE

CO TO JEST REALIZM SOCJALISTYCZNY?

BIBLIOTEKA « KULTURY »

Tom XLVI

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St.-Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

ABRAM TERC

SĄD IDZIE

ANONIM

CO TO JEST
REALIZM SOCJALISTYCZNY ?

Przełożył z rosyjskiego JÓZEF ŁOBODOWSKI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

ABRAM TERC

SAD IDZIE

ANONIM



II 1.985.154

chw. 

Copyright by „Kultura”, Paryż, 1959

1960 W 286/1

PRZEDMOWA

O autorze opowiadania „Sąd idzie”, używającym pseudonimu Abram Terc, wiemy tylko tyle że jest młodym pisarzem sowieckim. Jego nowela (a właściwie mała powieść) dotarła w rękopisie rosyjskim do Paryża i po raz pierwszy ukazuje się w druku w tłumaczeniu polskim. Po przekładzie polskim nastąpią prawdopodobnie inne.

Każdy wypadek ogłoszenia zagranicą przez pisarza rosyjskiego utworu, który nie miałby szans ujrzenia światła dziennego w samej Rosji, zachęca do życzliwej i ważnej lektury. Terc zasługuje na szczególną uwagę z dwóch względów: przede wszystkim jest to pisarz młody, a zatem do pewnego przynajmniej stopnia daje odpowiedź na pytanie jak przez chorobę socrealizmu przeszło pokolenie wychowane niemal całkowicie w zasięgu jej działania; po drugie, „Sąd idzie” posiada wiele znamion niewątpliwego talentu literackiego autora.

W pierwszej chwili, po przeczytaniu krótkiego prologu opowieści, trudno się oprzeć natrętnemu skojarzeniu. Skąd pamiętamy tego samotnego człowieka, osaczonego przez Ustrój Doskonały, oglądającego jak na dłoni Wielkie Miasto z gmachami Świątyni i Ministerstw, i przez przezroczystą ścianę pokoju widocznego jak na dłoni dla Władcy o gigantycznej ręce i spiżowym głosie — tym mniejszego, im bardziej potężna i groźna jest Siła która go rzuca na kolana, przejmuje dreszczem strachu i zachwyty, unicestwia w anonimowości? Oczywiście z „Roku 1984” Orwella i z powieści Zamiatina „My” (co wychodzi o tyle na jedno, że wpływ Zamiatina na Orwella wydaje się bezsporny). Ale u młodego autora sowieckiego jest to tylko szybki i umowny znak rozpoznawczy, który w dalszym ciągu utworu

pojawi się zaledwie raz jeszcze w rozmowie „dwóch w cywilu” o „myśloskopie” i wylądowaniu z rur kanalizacyjnych skrawków zapisanego przez mieszkańców kamienic papieru. Odnosi się wrażenie że Terc użył tej ramki zapożyczony z klasycznej już utopii totalistycznej wyłącznie po to, by umieszczony w niej obraz nabrał z miejsca innego wymiaru. Tym obrazem jest napisana w stylu groteski realistycznej powiastka filozoficzna na temat socrealizmu.

Opowiadanie Terca należy czytać równocześnie ze znakomitym studium Anonima sowieckiego „Co to jest realizm socjalistyczny?” (i z tego właśnie powodu wydawca słusznie połączył obie rzeczy w jednym tomiku). Stanie się wówczas jasne że głównym problemem, jaki zaprzęta umysły młodych i inteligentnych pisarzy sowieckich, jest filozoficzne, psychologiczne i artystyczne rozprawienie się z oficjalną estetyką komunistyczną. Anonim wiele uwagi poświęca obowiązującej wszystkich prawowiernych socrealistów „teleologii” komunizmu. „Utworky socrealistyczne — pisze — są bardzo różnorodne jeśli chodzi o styl i treść, ale w każdym z nich obecne jest pojęcie Celu w bezpośrednim lub pośrednim sensie, w jawnej lub zamaskowanej formie. To albo panegiryk na cześć komunizmu i wszystkiego co się z nim łączy, albo satyra na jego licznych wrogów, albo wreszcie wszelkiego rodzaju opisy życia w „rewolucyjnym rozwoju”, czyli znowu w ruchu ku komunizmowi”. „Jak cała nasza kultura, jak całe nasze społeczeństwo, tak i nasza sztuka jest do szpiku kości teleologiczna. Jest podporządkowana wyższemu przeznaczeniu i przez to uszlachetniona. W ostatecznym rachunku żyjemy tylko po to, aby jak najszybciej zrealizować komunizm”. I nieco dalej, z niezrównaną, lodowatą i gorzką zarazem ironią: „Aby na zawsze znikły więzienia, nabudowaliśmy nowych więzień. Aby padły granice między państwami, otoczyliśmy się chińskim murem. Aby praca stała się w przyszłości odpoczynkiem i przyjemnością, wprowadziliśmy ciężkie roboty. Aby nie polała się więcej ani jedna kropla krwi, zabijaliśmy, zabijaliśmy, zabijaliśmy. W imieniu Celu trzeba było poświęcać wszystko co mieliśmy w rezerwie, i uciekać się do tych samych środków w których korzystali nasi wrogowie — sławić wielkodziejawną Ruś, pisać nieprawdę w „Prawdzie”, sadzać cara na opustoszałym tronie, wprowadzać szlify i tortury... Chwilami wydawało się, że dla pełnego triumfu komunizmu brakuje już tylko ostatniej ofiary — wyrzeczenia się komunizmu. Panie! Panie! Odpuść nam nasze winy! Ostatecznie ten świat stwo-

rzony został na podobieństwo Boże. To jeszcze nie komunizm, ale już bardzo blisko komunizmu. I oto wstajemy, zataczając się ze zmęczenia, obejmujemy ziemię oczami nalanymi krwią i nie znajdujemy dokoła siebie tego, co spodziewaliśmy się znaleźć”.

Czytelnik opowiadania Terca spostrzeże natychmiast jak bliskie ono jest i tonem (także autor „Sądu” używa najchętniej chłodnej ironii z ledwie wyczuwalną domieszką goryczy) i biegiem myśli tym rozważaniom. Na początku wszystko zdaje się w nim przeniknięte duchem celowości. W pewnej chwili wszystko zaczyna się pruć w szwach i pękać w wywatowanych miejscach, jak źle uszyty kostium: bóstwo Celowości wyszczerza nieoczekiwanie zęby w złośliwym i drwiącym grymasie. (Narrator dostaje się w końcu na Kołymę pod zarzutem, że „bohaterzy pozytywni zostali przez niego przedstawieni nie dość wszechstronnie w ich praktyce życiowej, lecz ze złośliwą satysfakcją pokazani czytelnikowi od nietypowej strony, natomiast postacie negatywne, chociaż w jego oszczerczym utworze poniosły zasłużoną karę, nie zostały zdemaskowane do reszty w swojej reakcyjnej istocie”). Nawet romans Karlinskiego z Maryną ma swój wydzźwięk symboliczny. „No cóż, Jerzy Michajłowiczu — mówi Maryna, oddając się wreszcie po długim zlekaniu rażonemu nagłą impotencją Karlinskiemu — osiągnęliście swój cel? Czemuż tak zweekacie?”. Przywiedziony kapryśnym (chciałoby się powiedzieć: antycelowym) rozwojem wypadków na skraj ruiny, prokurator Głobow upija się i demoluje szablą mieszkanie, ale stanąwszy w ciemnościach oko w oko z cudem ocalałym popiersiem Władcy, trzeźwieje błyskawicznie i składa meldunek: „Władco! Wrogowie uciekają! Zabili moją córkę, ukradli syna. Żona mnie zdradziła, wyrzekła się mnie matka. Ale oto stoję przed Tobą, cały w ranach, opuszczony przez wszystkich, i mówię: — Cel osiągnięty Zwyciężyliśmy! Słyszysz, Władco — zwyciężyliśmy! Słyszysz mnie?” (Główny cytat z dzieł Władcy brzmi: WIELKI CEL WYTWATRZA WIELKĄ ENERGIĘ). Kiedy umiera Władca, „od razu powstała pustka. Przyszła ochota usiąść i podniósłszy twarz ku niebu, zawyć tak jak wyją bezdomne psy”. Jest to śmierć Celu. I od razu też przychodzi na myśl ten fragment ze szkicu Anonima o realizmie socjalistycznym: „Śmierć Stalina zadała niepowetowany cios naszemu systemowi religijnej estetyki, a trudno go zastąpić wskrzeszając kult Lenina. Lenin jest zanadto podobny do zwykłego człowieka, ma zbyt realis-

tyczny wygląd: łysy, niski, cywil. Stalin natomiast był jakby specjalnie stworzony do hiperboli, jaka go oczekiwała. Tajemniczy, wszystkowiedzący, wszechmocny, był żywym pomnikiem naszej epoki i brakowało mu tylko jednego, żeby stać się Bogiem: nieśmiertelności. Ach, gdybyśmy byli mądrzejsi i otoczyli jego śmierć cudami! Ogłosilibyśmy przez radio że nie umarł lecz wstąpił do nieba, skąd patrzy na nas, milcząc pod swoim mistycznym wąsem. Jego relikwie uzdrawiałyby paralityków i opętanych przez diabła. A dzieci, kładąc się spać, modliłyby się w okienku do lśniących, zimowych gwiazd Niebiańskiego Kremla”.

Czyż można mieć wątpliwości? Chwilami nasuwa się wręcz podejrzenie że ta sama ręka która napisała studium „Co to jest realizm socjalistyczny?”, uzupełniła je później jako ilustracją opowiadaniem „Sąd idzie”. Nowela-buffo Terca wyszydza teleologiczny charakter społeczeństwa sowieckiego i stylu jaki wytworzyło ono w swej kulturze i sztuce. Jest to (rzadko dziś niestety uprawiana) forma literacka, w której bardziej niż tworzywo, pisarza interesuje wewnętrzne zagadnienie samej literatury. Powiastkę filozoficzną na temat teologii komunistycznej zamyka najlepsza chyba w całym opowiadaniu scena, gdy trzech towarzysze obozowi urozmaicają sobie przerwę w pracy na Kołymie rozmową, a biedny Rabinowicz medytuje nad historyczną obosiecznością dylematu cel-środek; i dopiero wtedy pada celne jak decydujące pchnięcie szpady ostatnie zdanie — świetne w swej ironicznej lapidarności — w którym cała trójka, upomniana przez konwojenta, przerywa ten abstrakcyjny dyskurs i „chwytą zgodnie za łopaty”.

Nie koniec na tym. Anonimowy autor rozprawki o realizmie socjalistycznym robi zdumiewająco trafne i przenikliwe odkrycie, że skoro „siła każdego systemu teleologicznego opiera się na stałości, harmonii i ładzie”, rewolucja musiała po wstępnym okresie romantycznym burzy i naporu cofnąć się wstecz, do wieku ód Dzierżawina „Realizm socjalistyczny należałoby zapewne nazwać socjalistycznym klasycyzmem”. W pewien sposób również ta myśl jest podskórnie obecna w opowiadaniu Terca. Kto ma wyczucie stylu pisarskiego — nie tego który rozpoznaje się z kroju zdań, lecz ukrytego głębiej w drobnych szczegółach i w modulacji głosu opowiadającego — nie może przeoczyć w noweli jakiejś swoistej atmosfery ohydneho neoklasycyzmu sowieckiego. Jest to tak jak gdyby autor, z natury swego talentu ciężący ku grotesce, podstawił na okamgnienie co

kilka minut nadętej i pewnej siebie Gębie Socrealizmu krzywe zwierciadło oprawione w ramy w kształcie neoklasycznych i ozdobionych tandetnymi złoceniami kolumnienek.

Mieliśmy prawo oczekiwać, że śmierć Władcy zada dotkliwy cios stylowi jaki narzucił on sztuce Imperium. Ale w najśmielszych przewidywaniach nie posuwaliśmy się aż do nadziei, że młodzi pisarze sowieccy, odzyskawszy mowę, już w pierwszym okresie swej rekonwalescencji ukażą nam ten styl leżący w gruzach.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

SĄD IDZIE



P R O L O G

Gdy opuszczały siły, wylażem na parapet, wysuwałem głowę przez wąski lufcik. Na dole człapały kalosze, dziecinnymi głosami krzyczały koty. Przez kilka minut wisiałem nad miasmem, polykając wilgotne powietrze. Potem zeskakiwałem na podłogę i zapalałem nowego papierosa. I tak oto powstawała ta powieść.

Stukania nie dosłyszałem. Dwóch cywilów stało na progu. Skromni i zamyśleni, podobni byli jeden do drugiego, jak bliźnięta.

Jeden z nich obejrzał moje kieszenie. Kartki, porozrzucane na stole, starannie zebrał na kupkę, poślinił palce i przeliczył: siedem papierków. Widocznie dla cenzury, pociągnął dłonią po pierwszej stronicy, zgarniając litery i znaki przestankowe. Jedno machnięcie ręki — na pustym papierze sieroco poruszała się liliowa kupka. Młody jegomość zsywał ją do kieszeni marynarki.

Któraś z liter — zdaje się „z” — szybko popelzła na stronę, poruszając ogonkiem. Ale sprytny młody jegomość schwytał ją, oberwał łapki i przydusił paznokciem.

W tym samym czasie drugi notował w protokóle wszystkie szczegóły mego intymnego życia. Obstukiwał ściany, grzebał się w bieliźnie i nawet skarpetki wywracał na nice. Wstydzilem się jak na lekarskich oględzinach.

— Zamierzacie mnie aresztować ?

Dwaj cywile opuścili głowy w zmieszaniu i nie odpowiedzieli. Nie poczuwałem się do żadnej winy, ale rozumiałem, że z góry widać lepiej, i pokornie oczekiwałem swego losu.

Gdy skończyli, jeden z nich spojrzął na zegarek.

— Zostaliście zaszczyceni zaufaniem.

Ściana mego pokoju zaczęła rozświetlać się coraz bardziej. Oto stała się całkowicie przezroczysta. Jak szkło. Zobaczyłem Miasto.

Jak koralowe skały wznosiły się gmachy Świątyń i Ministerstw.

Na szpicach wielopiętrowych budowli wyrastały ordery i medale, herby i galony. Rzeźbione, lepione i lane ozdoby, całe z prawdziwego złota, pokrywały kamienne olbrzymy. Bwł to granit odziany w koronki, żelazo-beton, pokryty wymyślnym rysunkiem inicjałów i girland, nierdzewna stal obsmarowana kremem dla efektu. Wszystko świadczyło o bogactwie ludzi, zamieszkujących Wielkie Miasto.

A nad domami, wśród rozdartych obłoków, w czerwonych promieniach wschodzącego słońca, ujrzałem wzniesioną rękę. W tej pięści, zastygłej nad ziemią, w tych grubych, nalanych krwią palcach była taka potężna, niezwalczona siła, że oświadczyłbym ci, że słodki dreszcz zachwycenia. Przymrużywszy oczy, padłem na kolana i usłyszałem głos Władcy. Ten głos szedł prosto z nieba i niekiedy dźwięczał jak groźne odgłosy artyleryjskich dział, kiedy indziej jak pieściwe mruczenie samolotów. Dwaj cywile zamarli, z rękami wyciągniętymi na baczność.

— Wstań, śmiertelniku! Nie odwracaj wzroku od Bożej prawicy. Dokąd byś się nie ukrył, gdzie byś się nie schował, wszędzie ciebie dosięgnie, miłosierna i karząca. Patrz!

Od szybującej w niebie ręki padał olbrzymi cień. W kierunku, w jakim zaległ domy i ulice rozsunęły się. Miasto otwarło się jak rozcięty na pół pieróg. Widać było jego nadzienie: luksusowe mieszkania, a w nich ludzie, śpiący parami i pojedynczo. Wielcy, uwłosieni mężczyźni cmokali wargami jak niemowlęta. Zagadkowo uśmiechały się we śnie ich dobrze odżywione żony. Jednostajne oddechy wznosiły się ku różowiejącemu niebu.

Tylko jeden człowiek nie spał o tej porannej godzinie. Stał przy oknie i patrzył na Miasto.

— Poznałeś go, bajkopisarzu? Oto on, twój bohater, ukończony mój syn i wierny sługa — Włodzimierz.

Boski baryton grzmiał koło mego ucha.

— Depcz mu po piętach, nie odstępuj go ani na krok. W chwili niebezpieczeństwa osłoń go własnym ciałem. I podaj go ku chwale!

Bądź moim prorokiem! Niechaj stanie się światłość i strach padnie na wrogów od słowa, wyrzeczonego przez ciebie!

Głos umilkł. Ale ściana mego pokoju pozostawała przezroczysta jak szkło. I pięść, która zastygła w niebie, wciąż wisiała nade mną. Jeszcze bardziej niesamowity był jej rozmach, tłuste palce pobiły od natężenia. A człowiek ciągle stał przy oknie, patrząc na śpiące Miasto. Oto zapiął swój mundur i podniósł rękę. Wydawała się maleńka i słaba w porównaniu z Bożą prawicą. Ale jej gest był tak samo groźny i tak samo wspaniały.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Obywatel Rabinowicz S.J., lekarz-ginekolog, przeprowadził nielegalne poronienie. Przeglądając materiały śledcze, Włodzimierz Piotrowicz Głobow marszczył się z obrzydzeniem. Praca była skończona, dawno przyszedł świt, a tu nagle na zakończenie wyłazi ten nieprzyzwoity facet — w podniszczonej teczce bez numeru, z nazwiskiem z anegdoty. Jak na stanowisko miejskiego prokuratora — sprawa niezasłużenie drobna.

Kiedyś wypadło mu już oskarżać jednego Rabinowicza, a może nawet dwóch albo trzech. Czyż można ich zapamiętać? Że z racji swojej drobno-burżuazyjnej natury ustosunkowują się oni wrogo do socjalizmu, o tym wiedział obecnie każdy sztubak. Naturalnie, zdarzały się wyjątki. Na przykład, Ilja Erenburg. Ale za to z drugiej strony — Trocki, Radek, Zinowjew, Kamieniew, krytycy-kosmopolici... Jakaś wrodzona skłonność do zdrady.

Pod sercem z lekka kłuło. Włodzimierz Piotrowicz rozpiął mundur i spojrzął z ukosa na pierś, pod lewą sutkę. Obok blizny po kułackiej kuli widniało tam niebieskie serce, przesyte strzałą. Poglądził stary tatuaż, jeszcze z młodzińskich lat. Serce, przekłute strzałą, spływało blade niebieską krwią. A w drugim sercu przyjemnie ćmiło od zmęczenia i trosk.

Przed udaniem się na spoczynek prokurator stanął przy oknie, oglądając miasto. Ulice były jeszcze puste. Ale milicjant na skrzyżowaniu, zgodnie z regulaminem, pewnym ruchem ręki kierował całym ruchem. Na znak dyrygenckiej pałeczki niewidzialne tłumy zastygały, jak gdyby wrosnięte w ziemię, albo gwałtownie rzucały się naprzód.

Prokurator zapiął się na wszystkie guziki, podniósł rękę. Poczul: „Z nami Bóg!” I pomyślał: „Zwycięstwo będzie nasze!”



Deszcz spływał po twarzy. Skarpetki kleiły się do nóg. — Czekam najwyżej pięć minut — postanowił Karlinskij, nie wytrzymał i poszedł.

— Dokąd to, Jerzy Michajłowiczu?

Wpśród mokrego skweru Maryna wydawała się nieprawdopodobnie sucha.

— Proszę, tacy są współcześni rycerze — mówiła Maryna, uśmiechając się władczo i łaskawie. — Proszę tu do mnie, prędzej!

Zakreśliła pod parasolką suche, zacisne koło.

— Dzień dobry, Maryno Pawłowno. Myślałem — już nie przyjdzie. Nawet milicjant zaczął niepokoić się: czy przypadkiem, korzystając z niepogody, nie zamierzam wysadzić w powietrze pomnika Puszkina.

Maryna śmiała się.

— Przede wszystkim, muszę zatelefonować.

Bił deszcz, odbijając się od asfaltu. Na wodzie spływającej placem wyskakiwały bańki. Rzucili się naprzelaj, poprzez wodę i wiatr. Kabina z telefonem była wyspą na oceanie. Jerzy niepostrzeżenie wytarł ręce o kibić swojej towarzyszki.

— Pachnie od was mokrym gałganem — zachnęła się Maryna. Nie zdążył się obrazić, gdy już nakręciła numer i powiedziała: — Halo!

— Halo — stanowczo powtórzyła śpiewne zagraniczne słowo. Na górnej nucie jej głos zdrzął kapryśnie.

— Wołodzia, to ty? Żle ciebie słyszę.

By lepiej słyszeć, przysunęła się do Jerzego. Poczul pachnące ciepło jej policzka.

— Mów głośniej. Co, co? Siadajcie do obiadu beze mnie. Wrócę późno, zjem u przyjaciółki.

W słuchawce bezradnie bulgotało. To na drugim końcu przewodu mąż usiłował protestować. Jerzy ujął rękę Maryny i pocałował. Przebaczał jej teraz wszystkie urazy — nawet to, że buciki rozmiękły i że taka niedotykalska. Jej głos wykręcał się jak żmija.

— Wieczorem, jeśli łaska, idźcie na koncert. Tak, beze mnie. Bardzo cię proszę... Później wyjaśnię... Co mówisz? A-a-a... I ja ciebie także...

Zdradzała go — tego głupiego, naiwnego męża. — Ej, ty, prokuratorze! — znęcał się w myśli Karlinskij. — Słyszysz? Mówi „także”, żeby nie powiedzieć „całuję”. To dlatego, że ja! ja! stoję obok i dotykam jej dłoni.

— Czego się tak cieszyacie? — zdziwiła się Maryna, wieszając słuchawkę.

A Karlinskij jak gdyby naprawdę chciał potwierdzić jej przypuszczenia:

— Maryno Pawłowno, już od dawna chciałem zadać jedno niedyskretne pytanie.

— Proszę bardzo, nawet dwa... — wyraziła zgodę z góry zmęczonym głosem.

— Ty jesteś szatan, ale ja ciebie przechytrzę — zdążył pomyśleć Jerzy. — I słodkim głosem zapytał:

— Maryno Pawłowno, czy wierzycie w komunizm? I jeszcze drugie pytanie, jeśli wolno: — Kochacie swego męża?



— Do diabła, już rozłączyli! — Włodzimierz Piotrowicz posapał przez krótką chwilę w sztuczną telefoniczną ciszę. Maryna nie odzywała się. Za ścianą Sierioża odmieniał niemieckie czasowniki.

— Siergiej, chodź tu!

— Wołałeś mnie, ojciec?

— Przede wszystkim, dzień dobry!

— Dzień dobry, ojciec.

— Uczysz się? A ja już się napracowałem. Całą noc, do rana siedziałem, jak przekłęty. Słuchaj, dotrzyмай mi dziś towarzystwa. Bądź co bądź, mamy wychodne. Pogadamy, potem maszyną na spacer. Wieczorem machniemy się na koncert. Zgoda?

— A Maryna Pawłowna?

— Matka u przyjaciółki. Więc co, sztama?

Sierioża nie zaprzeczał.

— Siergiej, chciałem ciebie zapytać... W środę, na rodzicielskim zebraniu dużo o tobie mówiono. Chwalono, jak i po-

winno być. Ale potem nauczyciel historii — jakże on? — Walerian...

— Walerian Walerianowicz...

— O, o... właśnie, ten sam. Odwołał mnie na stronę i szepcze: „Zwróćcie uwagę, wielce szanowny Włodzimierzu Piotrowiczu. Wasz syn, uważacie, zadaje różne niewłaściwe pytania i w ogóle przejawia niezdrowe zainteresowanie...”

Prokurator pomilczał i, nie doczekawszy się odpowiedzi, powiedział jak gdyby od niechcienia:

— Powiedz, Siergiej, może ty babami interesujesz się?

Różowa luna osłepiła Sieriożę. — Zupełnie jak dziewica — zachwyił się Włodzimierz Piotrowicz. Wiedział dobrze, że grzechy Sierioży są innego rodzaju, ale ze względów wychowawczych — niech sam się przyzna! — przedłużał torturę:

— Tak. O kobietach czasem pomyśleć — nie szkodzi. W twoim wieku ja sam byłem w tym względzie nie ułomek. Można powiedzieć, najpierwszy parobczak we wsi... Ale po cóż z profesorem na takie tematy dyskutować? Ty byś mnie zapytał...

— Kiedy to wcale nie o to chodzi — błagalnym tonem powiedział Sierioża. — Ja o zupełnie inne rzeczy pytałem.

— Inne?

— No, pewnie. Różne zagadnienia historyczne. Także z filozofii. Na przykład, o wojnach sprawiedliwych i niesprawiedliwych.

— O wojnach? — zdumiał się Włodzimierz Piotrowicz. wciąż jeszcze udając, że nie wie, o co chodzi. — Cóż ty, na przyszyły rok wybierasz się wojsko odsługiwać? A instytut?

Spiesząc się, Sierioża wyjaśniał. O żadnych wstydlivych rzeczach nigdy nawet nie myślał. A teorię o wojnach sprawiedliwych i niesprawiedliwych stworzył jeszcze Marks. Potem rozwijał ją Lenin, przystosowując do nowych warunków dziejowych. Aby znaleźć argumenty, Sierioża pobiegł do swego pokoju i przyniósł jakieś zeszyty, wypełnione drobnym pismem.

— A Walerian Walerianowicz mówi, że Jermak słusznie dokonał podboju Syberii. Powstanie Szamila również słusznie zostało zdławione..

— Tak — głośno myślał Włodzimierz Piotrowicz. — Bez Sybiru żyć nie możemy. I bez Kaukazu — też nie możemy. Ropa naftowa. Mangan. O czym to rosyjski lud śpiewa? „Na cichym brzegu Irtysza siedział nasz Jermak zadumany...” Znasz?

— Kiedy Anglicy przyszli do Indyj, to oni też...

— Takim porównaniom daj spokój — zaniepokoił się Włodzimierz Piotrowicz. — Co nam Anglicy? Gdzie my właściwie żyjemy? W Anglii, czy jak?

Zamyślił się na chwilę: — Rzeczywiście, Anglia tu nie pasuje. Jaka tam Anglia?

— Ale historycznie ujmując...

— Historycznie, historycznie! Historii ucz się, ale i o dzisiejszych czasach pamiętaj. Co budujemy i co już mamy zbudowali? A właśnie. To znaczy, że w ostatecznym rachunku — w ostatecznym — rozumiesz? — wypada, że nasi przodkowie postępowali prawidłowo. I sprawiedliwie!

Ojciec miał rację. Ale Szamila także szkoda. Przecież nie mógł wiedzieć, że w Rosji nastąpi rewolucja. Chciał swój naród oswobodzić, a potem wyjaśniło się — i starał się na próżno i nawet ze szkodą dla socjalizmu!

— A znowu Jerzy Michajłowicz inaczej mi wyjaśniał. Cała rzecz — powiada — polega na tym, jaki punkt widzenia zająć. Dla jednych sprawiedliwie, a dla drugich — na odwrót. W takim razie gdzie jest prawdziwa sprawiedliwość?

Znowu ten Karlinskij! — Włodzimierz Piotrowicz miał chęć zakląć, ale powstrzymał się.

Ty, Siergiej, zanadto tą sofistyką nie przejmuj się. Naturalnie, Jerzy Michajłowicz to człowiek wykształcony i dobry znajomy Maryny Pawłownej... Ale to nie jest właściwe towarzystwo dla ciebie... A teraz wygarniaj-no po kolei, jakimi tam jeszcze pytaniami swoich nauczycieli zadręczasz?



— Cała rzecz, kochana Maryno Pawłowno, polega na tym, jaki punkt widzenia zająć. Spróbujmy zająć wasze stanowisko...

Karlinskij palił smacznego papierosa i przyglądał się jedzącej Marynie. Maleńkie, bezwstydne znamię, podobne do muszki, przydawało jej twarzy oslepiającej bieli. Ale oto obwisły fałdy policzków, nabrzmiała skóra na połączeniu szyi i podbródka. Gryząc ciastko, Maryna obnaża dziąsła, żeby nie powalać jaskrawo pomalowanych warg.

— Maryno Pawłowno!

Powoli odwraca nagą twarz, pokazując ją ze wszystkich stron.

— Jesteśmy przyjaciółmi, nieprawdaż? Dlatego też pozwalam sobie mówić bez żadnych przemilczeń. Przecież nie z miłości chyba... Karlinskij zniżył głos, przy sąsiednim stoliku dwóch młodzieńców z przejęciem popijało koniak... — to znaczy, chyba nie z miłości do ojczyzny i komunizmu wyszłicie za mąż? Taka mądra, taka piękna... Prawda, że jesteście piękna?

— Piękna — cicho śmiejąc się, przytaknęła Maryna.

— I mądra?

— I mądra.

— Lubię z wami rozmawiać. Jakbym jadł turecki pieprz w sosie pomidorowym. Kawiarnia również skłania do szczerości. Koloryt!

Jerzy wskazał podbródkiem, jak gdyby zapraszał do rozejścia się po sali. Młodzieniec przy sąsiednim stoliku twierdził z uporem:

— Uwielbiam brzęk kielichów...

Jego towarzysz przeżegnał się kawałkiem szynki, nadziejnym na widelec, przełknął i dodał przekonującym tonem:

— Ciało kobiety — to amfora, wypełniona winem.

— Nie czas by i nam wypełnić nasze amfory? — połapał się Karlinskij. — Ale za co wypijemy? Za ideały, o których milczycie tak starannie?

Maryna wzruszyła ramionami.

— Jerzy Michajłowiczu, nie umiem mówić na oderwane tematy.

— A na intymne?

— Tym bardziej.

— Ta-ak. Macie skłonność do zagadkowości. Mówiąc nawiasem, każda piękna kobieta pragnie wydawać się tajemniczą. A jednak przy was, Maryno Pawłowno, niebezpiecznie jest iść na szczerość. Cały czas słuchacie...

— Słucham...

— Słuchacie, zapamiętujecie, a potem...

— Nie, nie zapamiętuję wszystkiego, ale wszystko rozumiem.

— A ja na przykład wielu rzeczy nie rozumiem.

— Na przykład?

— Ot, choćby zważywszy waszą urodę... Jak wy możecie...

— Jak ja mogę, taka mądra i piękna, żyć z moim mężem?

Czy to chcieliście powiedzieć.

Karlinskij zamarł. Lekko stąpając, pokazując zęby w pyszczku, zwierzył się prosto na niego. Czarnobury lis, biała

lisica, kuna, srebrzysty soból, o, jakże długo wyczekiwany! Młodzieńcy przy sąsiednim stoliku już wyznawali sobie miłość:

— Witek, uczciwie przyznaję się przed tobą, że przez całe swoje życie nawet żaby nie skrzywdziłem.

— Dziękuję ci, Toleczku, za to, że spotkałem w tobie człowieka.



— To znaczy, Siergiej, że prawnikiem chcesz zostać? Dobrześ to obmyślił. Ojca zmienić na warcie, znaczy się? Zuchłłopak! A te wszystkie twoje zagadnienia i wątpliwości, prawdę powiedzieć, złamanego tynfa nie warte. Próżne, niedojrzałe rozmowy prowadzisz z tym twoim Walerianowiczem. Kaszę masz w głowie. Zielony jeszcze jesteś, żeby wielką politykę wyrozumieć.

Ty, na ten przykład, za byłych jeńców wstawiasz się. A mnie wiadomo lepiej niż tobie: to są tchórze i zdrajcy. Albo na przykład sprawa zarobków. Jakże to ministra do sprzątaczkii przyrównujesz? Trzysta rubli w zęby i wał, bracie, całym państwem kręcić?

Ty myślisz, głupsi od nas na górze siedzą? Podczas gdy ty niemieckie czasowniki odmieniasz i filozoficzne konspekty szykujesz, tam jest już wszystko wiadome, wyliczone, wykalulowane. I po co te twoje czasowniki są potrzebne i kto gdzie konspektów zażąda.

Jedno zrozum: najgłówniejsza rzecz — nasz wielki cel. Według niego wszystko i wymierzaj: od Szamila do Korei. Taki cel uświęca każde środki, usprawiedliwia wszystkie ofiary. Miliony, pomyśl, miliony dla tego celu zginęły, ostatnia tylko wojna ile kosztowała! A ty się pchasz z wszystkimi twoimi poprawkami — to niesprawiedliwe, to nieprawidłowe.

Wypadek ci jeden opowiem, na całe życie go zapamiętałem. Jeden kapitan otrzymał rozkaz: zdobyć takie a takie wzgórze i kropka. Strzelcy zmęczeni, rozgadali się, iść na śmierć nikomu nieochota. A tu akurat dezentera przyprowadzają. Tak — powiadają — i tak, chciał wywiać z pola walki. Kapitan złego słowa nie powiedział, na oczach wszystkich trzasnął go z rewolweru, posłał meldunek do dowództwa, a sam — z ludźmi do natarcia.

Otrzymał meldunek, sprawdzamy: co i jak? Okazało się — to w ogóle nie był żaden dezenter, a po prostu

inny oficer posłał go gdzieś za jakąś sprawą, a kapitan nie wiedział, albo zapomniał na gorąco.

Dawać tu kapitana! Samowola? Zastrzelił bez sądu i śledztwa? Za taką rzecz — nie pochwalą. Karna kompania, jak w zegarku.

Meldują: kapitana już nie ma, padł śmiercią walecznych.

Jakże teraz martwego kapitana przed żołnierzami poharbić? Oficerskie szlify w wątpliwość podawać? Może, gdyby on tego dezertera nie zastrzelił, nie poderwałby ludzi do natarcia i rozkazu nie wykonał?

A owe wzgórze jednak zdobyli!

Przyznam się, na wszystko, co się stało, z wysokości tego wzgórza spojrziałem. Teraz spróbuj i ty, popatrz! No, przyszły prokuratorze, dawaj swoją decyzję.

— Nie chcę być prokuratorem.

— Obrońcą chcesz być, za przykładem Karlinskiego, do prześwietnej adwokatury celujesz?

— Nie, zostanę sędzią.



— Poddaję się, poddaję się bez walki, Maryno Pawłowno. Całkowicie zgadzam się, że cel usprawiedliwia środki. I to w tym większym stopniu, im wyższy jest pożądaný cel.

Nadzwyczajnie to powiedzieliście: „nie wystarczy urodzić się piękną, piękność trzeba zawojować”. Brawo! Nawet nie podejrzewałem, że za taką powierzchownością w stylu Renoir’a kryje się taki doświadczony wódz.

Wiecie co, weźcie mnie do swego arsenału. Piękno wymaga hołdów, cel potrzebuje środków. Niech więc stanę się niegodnym środkiem waszej wszystko usprawiedliwiającej piękności. Nie pożałujecie tego.

A teraz wypijmy — za cel, za waszą przepiękną twarz, za konieczny sojusz celów i środków!

Karlinskij i Maryna stuknęli się kieliszkami.

— Skorzystacie z mojej propozycji?

— Nie wiem. Być może. Na razie dość na ten temat.

Maryna była roztargniona. Jerzemu przywidywało się dalekie wspomnienie z dzieciństwa. Mądry wąż-kusiciel wręczał jabłko jasnowłosej Ewie, nieroztropny Adam drzemał pod rajskim krzewem. Więc by uzupełnić obraz, posunął ku niej tacę

— Maryno Pawłowno, spróbujcie brzoskwini. Słodkie wino zazwyczaj zagryza się owocami.



Gruby człowiek podskakiwał po chłopięcemu, nerwowo krzątał się, nawet utykał z ugrzecznienia. Był o wiele starszy i grubszy od ojca, ale gdy ten zrzucił na podłogę kalosze, człowiek nagle schylił się, przycisnął je do złotych galonów i zaczął biegać dokoła, powtarzając zdrobniałe nazwy: — Kaloszki... numerki... kapelusik poproszę...

Serioża i Włodzimierz Piotrowicz weszli na salę.

Poruszyły się nuty i smyczki. Na scenę wypłynął konfeksjer, nieudane cudowne dziecko, wyłysiałe od muzycznych zajęć. Prawie wyśpiewał, starannie wyciągając każde słowo. Długi tytuł znakomitego dyrygenta i zaczął się koncert.

Serioża zobaczył, jak wydał policzki rudy trębacz, wyglądający na boksera. Skrzypkowie zajądło zamachali rękami.

Popłynęła muzyka.

Była kwiecieńskie wzorzysta, jak woda na ulicy, kiedy rozleją naftę. Szumiała i wrywała się ze sceny na salę. Serioża przypomniał sobie, że na dworze również chluszcze ulewa i przeciągnął się z przyjemności. Właśnie tak wyobrażał sobie rewolucję.

Burzuje tonęli w najbardziej naturalny sposób. Podstarzała dama w wieczorowej sukni usiłowała w podrygach wpełznąć na kolumnę. Zniosło ją. Jej mąż-generał pływał w szerokich rzutach, ale i on wkrótce utonął. Już i muzykanci mieli wodę po szyję. Wytrzeszczywszy oczy i wypluwając nadbiegającą falę, kurczowo piłowali pod wodą, na zgadywanego.

Ponowne natarcie. Samotnie, okrakiem na krześle, mignął dyrygent. Fale były o ściany, lizały portrety wielkich kompozytorów. Na powierzchni pływały damskie torebki i bilety. Od czasu do czasu, z dźwięcznej, zielonej głębin wypływała niespiesznie, jak biały, niedojrzały kawon, czyjaś łysina i znowu ginęła.

— Cóż za muzyka! — wykrzyknął Włodzimierz Piotrowicz. — To ci nie Prokofjew z Chaczaturjanem. Klasycyzm.

Jego również niezmiernie interesowała odbywająca się powódź. Ale on widział i rozumiał znacznie więcej, niż Serioża: muzyka nie płynęła sama przez się — kierował nią dyrygent.

Wznosił tamy, wyznaczał kanały i akwedukty, układał rozwydrzony żywioł w geometrycznie określone koryta. Dyrygent przewodził: zgodnie z podniesieniem jego ręki jedne potoki zatrzymywały się i zamarzały, inne rzucały się naprzód, wprawiając w ruch turbiny.

Włodzimierz Piotrowicz przeszedł niepostrzeżenie do pierwszego rzędu. Nigdy jeszcze nie siedział tak blisko dyrygenta i nigdy dotąd nie sądził, że ta praca wymaga takich wysiłków. Jeszcze by! Dawać baczenie i na flet i na bęben i zmusić wszystkich grać to samo!

Pot spływał z niego strumieniem, policzki trzęsły się. Grzbiet ochryple podrygiwał przy każdej pauzie. Z daleka wydawał się lekkostopym tancerzem, który tańczy nie nogami, lecz rękami. Ale tu, z bliska, to był raczej rzeźnik, który rozcina tusze i rąbie lód, za każdym ciosem wycharkując gęsty, urywany oddech.

A muzyka stawała się coraz to głośniejsza. Już nie wodospady i nie rzeki — te dawno pozamarzały — lecz lodowe bloki nabrały ruchu, jak w lodowcowym okresie. Jedna kra najeżdżała na drugą. Przenosiły się z miejsca na miejsce światy i przestrzenie. Nastąpiła nowa epoka z lodu i granitu.

— Przerwa! — ogłosił dźwięcznym głosem młodo jeszcze wyglądający konferansjer.

R O Z D Z I A Ł D R U G I

Całkowicie obnażona, Maryna robiła ćwiczenia gimnastyczne. W dużym lustrze bezszumnie skakały różowe owale. Było interesujące śledzić ich wesołą zabawę.

Przysunęła się bliżej. Rozmiary jej odbicia rosły, gdy oglądała każdą część osobno. W całości — przypominało śmigło. Od wąskiej kibici w górę i w dół biegły sprężyste skrzydła Biodra i ramiona równoważyły się nawzajem. A z boku — od piersi ku pośladkom — wyginała się litera S: sinusoid torsu.

Rzeczowo i wymagająco Maryna sprawdzała proporcje. Bez ceremonii gnioła piersi, kręciła głowę, masowała brzuch. Zwierciadło było dla niej warsztatem, kreślarskim pulpitem, sztalugami — miejsce pracy dla kobiety, która zamarzyła o piękności. Maryna nie upiększała siebie, nie usiłowała kokietować. Pracowała z decyzją i w natchnieniu.

Tego dnia — osiemnasty września — Maryna Pawłowna kończyła trzydzieści lat. Inne kończą swoją karierę w tak balzakowskim wieku. Ślicznotka na wydaniu, która przypadkiem trafiła na okładkę ilustrowanego czasopisma, w tym wieku rozplywa się, jak podgrzana galareta.

Ulicami, bulwarami idą na spacer kobiety, podobne do wykastrowanych mężczyzn. O krótkich nogach, jak ciężarny jamnik, albo podchełstane, jak struś, ukrywają pod sukniami swoje opuchlizny i krwawe zacieki, zaszywają się w gorsety, watują sobie piersi.

Maryna nie ma po co uciekać się do maskaradowych strojów. Potrafi być wytworną w każdej pozycji — nawet

na czworakach i z wysuniętym językiem. A niech kto spróbuje w takiej sytuacji zachować godność i ponętność!

Zastygła przed zwierciadłem. Nieprzyzwoita pozycja jeszcze bardziej uwydatniała opływowe linie jej pleców. Stać na czworakach, z otwartymi ustami jakoś nie wypadało. Ale Maryna chciała się przekonać, że nic nie jest w stanie zniweczyć urody jej ciała i twarzy.

Dla innych kobiet uroda jest środkiem pomocniczym. Pięknej kobiecie łatwiej wyjść za męża, znaleźć kochanka. Niektóre miotają ikrę, powołując się na macierzyńskie uczucia. (Jak zrzęcznie udało się uniknąć tego niesmacznego rozwiązania!) Inne znajdują niezrozumiałą przyjemność w zaślinionej, nocnej swawoli. (Biedny Włodzio, jakże mi go żal!) I nikt nie wie, że piękna kobieta godna jest stać się celem samym w sobie. A cała reszta — mężczyźni, pieniądze, stroje, mieszkania, samochody — to tylko środki, takie czy inne środki, oddane na służbę piękności.

Maryna robi jeden krok na stronę — jej odbicie pełźnie po szkle i znika. Tam gdzie był brzuch, połyskuje wazon z kwiatami, a wyżej — sterta pudełek i gipsowe popiersie. Maryna domyśla się, że to jej mąż, gdy jeszcze spała, przekradł się do jej pokoju i wznosił cały pałac różnych niespodzianek. Taki już jego zwyczaj, zawsze kupuje dużo i na łapu capu. Jest nawet popiersie Władcy, nie licząc cukierków, perfum i innych rzeczy, potrzebnych jej urodzie.

— I cóż tu robisz, o Najszanowniejszy? — zapytuje Maryna, nie odwracając się. — Wielkim ludziom nie przystoi podglądać obnażone damy.

Pragnie utrwalić się na śliskiej powierzchni zwierciadła. Wbrew prawom fizyki — na wieczność. Żeby nawet w jej nieobecności piękne odbicie pozostawało nietknięte. Ale osiągnąć taką rzecz — niełatwo.

W korytarzu już od dawna skrzypi podłoga. To małżonek wzdycha pod drzwiami, jak smarkacz podgląda przez dziurkę od klucza, śledząc poranną toaletę żony.

Maryna Pawłowna stoi przed lustrem, naga, pogardliwa. Bez zawstydzenia i bez satysfakcji odwraca się na wszystkie strony, żeby mężowi pod drzwiami wygodniej było patrzeć. Nie protestuje — niech nasyci wzrok przy okazji świątecznego dnia. Ale dzieciaka niech się lepiej od niej nie spodziewa.

Potem pospiesznie nakłada szlafrok i mówi: — Kto tam? Proszę wejść.

— Najlepsze życzenia, Marynko, w dniu twoich urodzin. Maryna całuje go w policzek.

— Dziękuję za podarunki, Włodeczku. Bardzo mi się podobają. A tylko ten przedmiot lepiej postawić w twoim gabinecie. Do mojego pokoju niezbyt pasuje: to zupełnie inny styl.



Po pierwszym toaście za zdrowie drogiej nowonarodzonej, wszyscy rzucili się na jedzenie i nareszcie Karlinskij mógł z bliska zająć się Maryną. Rozsiadłszy się po jej lewej ręce (z prawej, jak przystoi, siedział Włodzimierz Piotrowicz), rzucał zgryźliwe uwagi pod adresem gości, co bardzo bawiło piękną gospodynię, prowokując zazdrość pozostałych mężczyzn.

— Polityczną lojalność naszego zebrania uważam za zabezpieczoną. — Jerzy uczynił gest w kierunku śledczego Skromnych, starego przyjaciela rodziny Głobowych.

Maryna była w swoim żywiole. Śmiała się z dowcipów Karlinskiego, częstowała najbliższych sąsiadów, kładła sobie na talerz najlepsze kawałki, egzaminowała stroje pań, nie gardziła nawet Włodzimierzem Piotrowiczem, od czasu do czasu dotykając kolanem jego nogi pod stołem, i lekkim ruchem rzęs kierowała pracownicą domową, śledząc za nieprzerwanym korowodem win, sałatek i sosów. Toteż wszyscy odczuwali dotykalnie świąteczną obecność Maryny, jedli, pili i mówili dla niej jednej. I wszystkim, jak również i jej, było z tego powodu bardzo przyjemnie.

— Proszę zwrócić uwagę — pochylił się ku niej Jerzy — z jakim zapałem ten stróż państwowego bezpieczeństwa wychwała swoją latorośl. Zgodnie z moją obserwacją, wszyscy zawodowi więziennicy obdarzają dzieci czułą miłością. W przyrodzie istnieje równowaga między dobrem i złem...

Maryna Pawłowna uważała za wskazane dać ripostę:

— To widocznie dlatego, Jerzy Michajłowiczu, adwokaci w swoim środowisku rodzinnym są tacy okrutni i źli...

— Kamyczek do mego ogrodu? Ależ najbardziej humanitarne go człowieka musiałyby doprowadzić do wściekłości to rodzicielskie ślinienie się! Można by pomyśleć, że tu siedzą sami sadyści i oprawcy.

Istotnie, rozmawiano o dzieciach.

— A gdzie Sierioża ? — zapytała żona śledczego. Maryna nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć, że jej pasierb wyjechał razem ze szkołą na kopanie kartofli, gdy małżonek Skromnych znowu zaczął ciągnąć swoją zwykłą arię : „Bo mój Borieńka ..”. Wszyscy zachwycali się inteligencją dziesięcioletniego chłopca.

— Piję za urodziny Waszej przyszłej córki, Maryno Pawłowno ! — nieoczekiwanie zakończył śledczy. — Za narzeczoną mojego Borysa !

Czyż by ona była w ciąży ? — pomyślał Jerzy, ale spojrzawszy na beznamiętną twarz Maryny, uspokoił się ; ten śledczy gotów kolarzyć jeszcze nie poczęte niemowlęta.

Włodzimierz Piotrowicz również zdumiał się : ale też wąż u Arkadija Skromnych — wszystko wie ! Żeby jednak nie zdradzić się z przyjemną tajemnicą przed terminem, prokurator zadzwonił łyżeczką w kieliszek, prosząc o słowo.

— Chociaż ty, Arkadij Gawryłyecz, jesteś starym śledczym, to jednak niezbitych dowodów nie masz, a więc sprawę na razie umorzmy z braku corpus delicti. Wypijmy lepiej za wszystkie nasze dzieci, za trwałe rodzinne życie !

Goście posłuchali.

— Cóż to jest człowiek rodzinny ? To — człowiek poważny, i w przyjaźni, i w pracy i pod względem państwowym — człowiek pewny. Kto dzieciakami się obkłada, ten jest porządnym obywatelem. O rodzinie myśli, o przyszłości, o potomstwie, w ziemię pragnie wkorzenieć się. I cały jest na widoku.

Głobow otworzył dłoń, wielką jak talerz, ścisnął ją w pięść i kontynuował :

— Osobiście, jestem zwolennikiem licznej rodziny. Sam z takiej pochodzę. Nas Głobowych w świecie — jak grzybów w lesie. I strzelali nas, i rznęli, a przecież nie zginęło, nie niszczało głobowskie plemię. Młodszy brat — na Dalekim Wschodzie pułkownikuje, drugi — na Kaspijskim morzu rybnym kombinatem obraca, siostra w Leningradzie, w ubiegłym roku dySSERTACJĘ obroniła...

Palce prokuratora otwierały się, poczynając od małego A oto wskazujący. Według wszelkiego prawdopodobieństwa on sam był prokuratorem — prosty, mocny, z wypolerowanym paznokciem na końcu.

— A jednak są tacy — bezdzietność propagują ! Czytaliście we wczorajszej gazecie ? Neo-maltuzjanizm. Prawdziwy spisek. Bardzo jest ono na Zachodzie rozpowszechnione — to

n e o . A i u nas coś w tym rodzaju się zdarza. Trafila mi do rąk jedna sprawa...

Przechylony ponad butelkami, Głobow zaczął szeptać do sledczego. Goście wbili oczy w jedzenie — sztuczne poronienie.

Karlinskij zdołał opanować nudność, która nagle podeszła do gardła. Żeby rozerwać się, zaczął myśleć o Maltusie. W każdej teorii jest część prawdy. Nie można przecież rozmnażać się w nieskończoność. Zaludnimy Saharę, Antarktydę, a potem co? Toteż należałoby wynaleźć coś uniwersalnego.

Wiadomo, że ludzki zarodek w jakimś tak wczesnym stadium podobny jest do ryby. Po cóż więc na próżno mają ginąć rybne bogactwa kraju? We wspaniałej przyszłości wykorzystana się i te miłe rybki. Ostrożnie będą je wyjmować z macierzyńskiego łona i hodować w specjalnych stawach, przyzwyczajając do samodzielności. Niech sobie obrastają łuską i płetwami pod państwową ochroną jakichś głobowskich krewniaków. A znowu tuż przy zakładzie poronień — rybna fabryka, konserwy w olbrzymiej ilości. Z jednego szprotka, z drugiego kilka — według cech narodowych. I wszystko będzie w zgodzie z marksizmem. Znowu powrócimy do zagrychy ludożerców. Ale nie wstecz, nie ku pierwotnemu pożeraniu jadalnych bliźnich. lecz — że tak powiem — na wyższej i łagodniejszej podstawie. W postępowym rozwoju...

Nudności przeszły. Jerzy wpadł w zachwyt: może by podzielić się swoim oryginalnym pomysłem z Maryną Pawłówną? Zanim się zdążył zdecydować — bądź co bądź dama — Maryna Pawłówna powiedziała:

— Włodziu, co to za sekrety w towarzystwie? To nie taktownie. Jedz swoją rybę.



Zasyczała płyta. Zaziębiony tenor wyciągał starożytne tango, z dwudziestych jeszcze lat.

*Był dzień jesienny, z drzew opadały liście,
a w astrach kryształowych znużony smutek kwitł...*

Rosyjski emigrant z paryskiego burdelu śpiewał o nieodwzajemnionej miłości. I chociaż kryształowe astry nie istnieją, wszystkim zrobiło się przejmująco, gdy nieszczęśliwy tenor wykrzyknął w zdumieniu:

Ach, ach, te czarne oczy twoje!

— Ach, ach, te czarne oczy twoje, — podchwycił na niskiej nucie niewidoczny chór.

Mnie zniewoliły...

— martwił się biały emigrant i chór głucho szemrał: Mnie zniewoliły.

*By je zapomnieć, nie mam sił,
przed sobą ciągle mam ich żar.*

Włodzimierz Piotrowicz ostrożnie przesuwiał Marynę wśród tańczących par. Automatycznie, jak pod hipnozą Maryna wybijała takt. Kołysała nią bezwolna błogość. Zimny dreszczyk puszczał pęcherzyki, niby mineralna woda. Podnosiły się wzdłuż stosu pacierzowego ku szyi i po wyziębłej skórze karku aż do koniuszków naelektryzowanych włosów.

*Ach, ach, te czarne oczy twoje!
Kto was pokocha, ten utraci
na zawsze spokój, szczęście swe...*

— Ach, ach, te czarne oczy twoje! — jęczała Maryna.

Nie patrząc na nikogo, wiedziała, że wszyscy patrzą na nią i tylko nią jedną zachwycają się. Każdy z tych mężczyzn marzył o zatańczeniu z Maryną. A jej zachciało się iść i iść bez końca, do wtóru tej pieśni o nieodwzajemnionej miłości, iść przez cały świat, zmieniając kraje, epoki, partnerów, i, nikogo nie kochając, omdlewać od szczęścia, świadoma, że wszyscy ją kochają i że warta jest więcej, niż wszystkie inne.

— Dzisiaj ja sama wybieram muzykę i tancerzy! — oświadczyła Maryna i puściła płytę jeszcze raz. Odplynęła z Karlinskim, gdy tylko ponownie zakwitły nigdzie nie istniejące astry.

*By je zapomnieć, nie mam sił,
przed sobą ciągle mam ich żar...*

— podśpiewywał Jerzy do ciepłego ucha Maryny.

On sam nie mógł się spodziewać, że jego doświadczona dusza tak rozczuli się tym bulwarowym romansem. I chociaż w dalszym ciągu kpił z tego mieszczańskiego egzotyizmu, nie potrafił rozwiać jego wykwintnie płaskiego czaru.

W ananasowych gajach kwitną kryształowe astry. Przed luksusowo umeblowanymi hotelami, na tle szerokiego pejzażu spacerują tam i z powrotem przyzwoicie ubrani panowie z laseczkami i o złotym uzębieniu. Sympatyczne panie w buduarach i — jak to się nazywa? — kularach uprawiają konkury. A dokoła saksofony, cicerony, negliże. Gondole i kondony. Wytworne wykretasy. W serwisowym kieliszku płomienisty likier. Pietia + Tosia = Miłość. Lu-es.

A Maryna przyłgnęła do niego, pokorna i dowierzająca. Jak gdyby wreszcie zrozumiała, kto jest jej wybranicem. Jak gdyby nie było jej potrzeba nikogo, nikogo, oprócz Jerzego. I w życiu stała się możliwa — już jeśli nie miłość, to choćby zwyczajna czułość.

Właśnie wtedy, będąc na środku pokoju, Maryna zmieniła partnera. Na dany znak podskoczył do niej śledczy Skromnych, kręcąc kuprem, i pociągnął Marynę w ponowny wir.

Włodzimierz Piotrowicz odprowadził kpiarskim spojrzeniem osamotnioną postać Karlinskiego i, udając, że pali, znowu zwrócił się ku tańczącym.

Nad wygiętą szyją — twarz. Zastygła. Ciało pulsuje do muzycznego taktu, przebiera nogami. Ta śpiąca twarz kołysze się. Maryna idzie przez pokój, jak lunatyczka. Oto przysunęła się do swego tancerza, odeszła, znowu przysunęła się. Twarz kołysze się. Biała, surowa, jakby należąca do innego tułowia, nie bierze udziału w otaczającej ją krzątaninie. Splatają się nogi, sapie kolejny szczęśliwiec, oczekują swojej chwili następni męczycyźni. Ale twarz Maryny jest spokojna, jakby była nieobecna, jakby jej było wszystko jedno, kto ją i kiedy dostanie.

I ta martwa nieruchomość jej twarzy i ta długa kolejka, czekająca na ofiarę, która wpadła w zapamiętanie, powodują już nie zazdrość, lecz przerażenie w obliczu gwałtu, dziejącego się w jego domu, na oczach wszystkich, przy muzyce. Więc by jakoś zatrzymać tych ludzi, którzy zatracili wstyd i sumienie, prokurator podchodzi do schrypniętego do reszty patefonu, potyka się i, niby to niechcący, zrzuca go na podłogę.

◆

Jerzy nie mógł zasnąć. W ostatnich czasach zdarzało się po nocach : nagle przypominał sobie, że musi umrzeć i zaczynał bać się. Zdarzało się to najczęściej, gdy leżał na plecach.

Zadne niebezpieczeństwo nie groziło jego życiu i można było mieć nadzieję, że przeżyje jeszcze lat dwadzieścia pięć, a może nawet i całe trzydzieści pięć, jeśli będzie dbać o swoje zdrowie i przestanie palić. Ale sama myśl, że za te dwadzieścia pięć, czy choćby czterdzieści lat trzeba będzie umrzeć, stawała się nie do wytrzymania. To straszna rzecz, gdy ciebie już nie ma, a inni jeszcze istnieją.

Trumny i mogiły nie lękał się. Najważniejsze, że po śmierci niczego nie będzie, niczego i nigdy, na wieki wieczne. Gdyby go posłali do piekła, i to byłoby lepsze : niechby smażyli na patelni — zawsze jakaś świadomość pozostaje.

Przypomniał sobie, że w dzieciństwie zazdrościł słońcom, które żyją po sto pięćdziesiąt lat. A szczupaki, podobno — dwieście. Kiedy umarł ojciec, Jerzy dostał histerycznego ataku i wszyscy myśleli, że mu żal biednego tatusia, a on żałował samego siebie, domyślając się, że go czeka jego własna śmierć, a potem długo wszystkich rozpytywał o życie pozagrobowe, w nadziei, że istnieje.

Dlaczego odebrali wiarę ? Osobistą nieśmiertelność zastąpili komunizmem ! Czyż u myślącego człowieka może być jakiś cel, oprócz osobistego ?

Czując, że już umiera i zniknie za małą chwilę, Jerzy usiadł na łóżku i zapalił lampę. Kaszlnął i pomyślał, że w t e d y nawet kaszlać już nie będzie można. Potem zwilgotniałymi palcami dotknął krzesła, które zostanie (nóżki krzesła też zostaną !), podczas gdy Jerzego już nie będzie.

Opowiedzieć o tym strapieniu — nie ma komu. Każdy wyśmiej, a potem pomyśli : „ja także przecież umrę”. Współczucia nie doczekasz się.

Było tylko jedno wyjście — oszukiwanie samego siebie. Stosują je ludzie, odciągając siebie przy pomocy czegokolwiek od tej pustki, która doprowadza do wariactwa. Jedni zajmują się polityką, jak ten niedźwiedź Głobow, inni, jak na przykład Maryna... Maryna ! Oto gdzie trzeba szukać ratunku ! W tej kobiecie, najpiękniejszej ze wszystkich znanych mu kobiet.

Jerzy podniósł się, wyjął papierosy i zapalił, żeby lepiej uchwycić wyslizgujące się z głowy postanowienie. Wypuszczając

dym z ust, poczuł, że żyje, że pali, jak i powinno być, że naprawdę zaciąga się i wypuszcza dym z ust, czego umarli nie potrafią. Więc cieszył się, wypuszczał dym z ust i palił, i cieszył się ponownie.

Maryna istotnie stanowiła godny obiekt. On sam, na wiele dni przed tą nocą, intuicyjnie, jak koń w śnieżnej burzy, wybrał właściwą drogę. Zdeklarował się jako środek, jedynie środek dla użytku jej urody. Zachwycał się i przytakiwał, pożywał i korzystał się niewolniczo. Niejednokrotnie był poniżony i porzucony, jak dziś w czasie tańca. I dopiero teraz Jerzy mógł powiedzieć, położywszy rękę na sercu, że uczynił odkrycie — kto wie — może ważniejsze, niż archimedesowe.

Niechaj punktem oparcia stanie się dla niego Maryna! Ta niedotykańska, która ubrała sobie, że jest celem wszechświata, stanie się dla niego środkiem na bezsenność. A celem, celem będzie on sam i jego nad nią zwycięstwo. Pokona Marynę jej własną bronią, użyje każdego środka, byle udowodnić swoją przewagę.

— Boże, jakże poniżający będzie jej upadek! Już ja się postaram, możecie zaufać mojemu skromnemu doświadczeniu!

Jerzy zwinął się w rogalik i, przeczuwając, że słodko uśnie. Uśmiechnął się tak szeroko i z takim spokojem, jak już dawno do nikogo się nie uśmiechał. Wydało mu się, że będzie żyć bardzo długo, że przeżyje ich wszystkich i — być może — w ogóle nigdy nie umrze. Ale lampy na wszelki wypadek nie wyłączał.



Płyta stłukła się i wieczór był już popsuty. Mąż przekroczył ostatnie granice jej cierpliwości. Gdy ostatni goście pożegnali się, Maryna natychmiast wypowiedziała wojnę.

Włodzimierz Piotrowicz dość skutecznie parował pierwsze ciosy. Zaznaczył, że przyzwoita kobieta, tańcząc tango, nie pozwoliby Karlinskiemu gładzić siebie po plecach. Wówczas Maryna wypomniała mu gipsowe popiersie, ordynarne przemówienie przy stole, śledczego, z którym szeptał niemal przez cały wieczór, i, nie czekając na odpowiedź, biegiem poprowadziła rozwinięte natarcie.

Jej twarz świeciła się od gniewu. Rozpalona do białego, była jak ostrze gotowe wbić się, zaś ciało, opływowe jak tor-

peda, drżało w niecierpliwości, wymierzone na pewniaka w sam cel.

Skrajne metody nie przerażały Maryny. Rozumiała, że litość jest na wojnie równie niebezpieczna, jak zdrada. Sądziła, że to nonsens uważać kule dum-dum i trujące gazy za broń niehumanitarną. Maryna była dostatecznie rozsądna, aby domyśleć się, że nawet śmierć człowieka, którego gryzą zwykle termity, jest niezmiernie bolesna.

— Ach, tak? — powiedziała po usłyszeniu jakiejś imperytynencji. — Wobec tego wiedz — dziecka nie będziemy mieli: przeprowadziłam sztuczne poronienie.

Tak wyglądałby wybuch atomowej bomby: w pierwszej chwili nie podobna ustalić ilości ofiar i rozmiarów zniszczeń. Wszystko zostało starte z oblicza ziemi i już nie ma więcej z kim walczyć. Ale gdzieś tam, na skraju, przynajmniej jeden człowiek ocalał.

Ten człowiek wstaje, otrząsa się, kręci w palcach łyżeczkę od herbaty, która wpadła mu w rękaw, lecąc z wystawy jakiegoś (również rozniesionego wybuchem) jubilerskiego sklepu. Widzi, że oprócz tej łyżeczki, nic mu nie pozostało — ani domu, ani rodziny. Wspomina w dalszym ciągu, przekonywuje się, że tak długo wyczekiwana córka zginęła w katastrofie, więc skręca łyżeczkę w zawity węzełek, spostrzega ponadto, że został pohańbiony podwójnie — jako mąż i jako prokurator. I nie wie, co ma zrobić z pokręconą łyżeczką, a także — czym zawinił obywatel Rabinowicz, jeżeli jego własna żona... I mówi:

— Coś ty narobiła! Coś ty narobiła!

I żeby nie zabić, wymierza jej policzek.

Żeby jej nie zabił, Maryna ukryła się w swoim pokoju. Nie płakała. Siedząc przed lustrem, prowadziła puszką po znieważonym policzku i starała się nadać zwykły wyraz skrzywionym z bólu ustom, które wydawały się zbyt wielkie jak na rozmiary jej twarzy.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Spartak” był w natarciu. Środek ataku — zasłużony mistrz sportu, Skarłygin — przebił się ku bramce przeciwnika. Stosunek był zero do zera. Wszystkim zatkało oddech.

Tysiące widzów, w ich liczbie prokurator Głobow, wbiły spojrzenia w ciało sławnego sportowca i wspólnym wysiłkiem pchały go naprzód. Ale tysiące innych, które walczyły po stronie „Dynamo”, wznosiły na drodze Skarłygina niezliczone przeszkody, życzyły mu, żeby się potknął, upadł, skrzył kark. To dlatego piłka, kopnięta potężną nogą, nie leciała po prostej, jak można było od niej oczekiwać, lecz ciskała się w niezdecydowaniu, myliła się i wprowadzała graczy w zamieszanie.

Włodzimierz Piotrowicz wszelkimi siłami starał się pomóc „Spartakowi”. Naprężając mięśnie, zauważył, że obrona przeciwnika zaczyna słabnąć. Podwoił nacisk — obrona poddała się. I wówczas, już na oślep, uderzył i raz jeszcze uderzył, jeszcze i jeszcze...

Mecz futbolowy — to w najdrażliwszych chwilach gry zupełnie to samo, co posiadanie kobiety. Nie dostrzegasz, co się dzieje dokoła. Jest tylko jeden cel, przyzywający w rozwścieczeniu: Tam! Za każdą cenę. Niechby śmierć, wszystko, co chcecie. Byleby przebić się, osiągnąć. Byleby wbić do bramki ten gol, wyznaczony przez sam los. Bliżej, bliżej, szybciej... Bo już nie można czekać, nie można odkładać do innej okazji... Maryna, ja ciebie błagam, rozumiesz, błagam!

Środkowy napastnik, Skarłygin, przedostał się pod bramkę „Dynamo”. Bramkarz Ponomarienko, zręczny jak chłopaczek, aż tańczył z niecierpliwości, szykując się do skoku. A z tyłu już

dobiegali zadyszani obrońcy. — Wal, Sasza, Wal! — jęczał stadion.

Ponomarienko potoczył się jak fryga, z piłką przyciśniętą do brzucha. Skarłygin również upadł, ale natychmiast zerwał się jak długi, poderwany rykiem tłumu. Nie mógł już zatrzymać się, bowiem cel, dla którego wypadło mu tyle wycierpieć, był obok i tysiące ludzi żądały zwycięstwa, a do końca meczu pozostawało pół minuty. Skarłygin wymierzył cios. I znowu uderzył i jeszcze raz...

...Po remisowym zakończeniu spotkania Włodzimierz Piotrowicz obraził się.

— Tego sędziego należałoby przepędzić. To nie w porządku — unieważniać strzeloną bramkę.

— A twojego Skarłygina powinno się oddać pod sąd za ordynarne złamanie przepisów — pokpiwał sobie śledczy Skromnych, znany sympatyk „Dynamo”. — Czyż to dopuszczalne? Brzuch u człowieka — najbardziej delikatna część. Zwykłym uderzeniem pięści można zabić.

— Ale piłka była w bramce? Tak czy nie?

Obydwie drużyny już schodziły z boiska — zakurzone, ciężko dyszące, przy dźwiękach sportowego marsza. Włókł się maleńki Ponomarienko, zgięty jak trzy nieszczęścia. Olbrzymi Skarłygin utykał. Ze wszystkich trybun stadionu gwizdano mu i szczerzo. Więc jeszcze żałośniej włókł swoją zdrową nogę, byle jakoś usprawiedliwić to przegrane zwycięstwo.

— A jednak ja rozumiem Skarłygina — komentował Włodzimierz Piotrowicz, w oczekiwaniu, aż odpłynie tłum. — Na gorąco trudno połapać się. Walisz — i tyle. Kiedy bramkę masz obok — co tu w ceregiele się wdawać. Wszystkie sposoby są dopuszczalne...

Zaczął przeprowadzać jakieś analogie, poruszył politykę i jeszcze coś w tym rodzaju. Arkadij Gawriłowicz słuchał nieważnie.

— Antysemityzm w imię internacjonalizmu, czy internacjonalizm w imię antysemityzmu? — powtórzył pytająco, wyraźnie nie chwytając, w czym rzecz.

Głobow zaczął wyjaśniać, ale tamten przerwał w połowie zdania. Widocznie, za nic nie chciał ustąpić pierwszeństwa „Spartakowi”.

— To wszystko prawda... Ale piłka nożna — to nie polityka. I w ogóle, wiesz, ja nie bardzo lubię włączyć w tak skomplikowane sprawy. To już twoja prokuratorska rzecz teorie roz-

prowadzać. Ja jestem praktyk. Wytlumacz mi lepiej historię z tym twoim Rabinowiczem.

Prosto z dworca Sierioża przyjechał do babki.

— Wyrosłeś i opaliłeś się.

Nie wstając, wyciągnęła do niego rękę.

— Nie pchaj się do całowania. Zaczekaj — stronę dokończę.

Ponownie zastukała na maszynie.

— Jak tam kartofle? Deszczów przestraszyliście się? Patrzcie ich — młodzież! My w waszym wieku po więzieniach siedzieliśmy. Jeść chcesz? Weź zza okna, podgrzej. I opowiadaj, opowiadaj jak najszybciej. Potem zdążysz zjeść.

Babcia to zadziwiająca osoba. Gdyby wszyscy byli tacy, już dawno nastałby komunizm. Taką by do kolchozu posłać. Ona by im pokazała!

Ale po wysłuchaniu Sierioży Katarzyna Piotrowna zamilkła. Potem jeszcze zawzięciej zaczęła bić w klawisze. Maszyna trzeszczała jak kulomiot. Zgarbiona na krześle, babcia rozstrzeliwała z bliska, nie celując.

— Wiedziałam, że będą pomyłki. Trzeba przepisać. To twoja wina — pod samym nosem gadasz.

Założyła nowy papier. Sierioża tarł policzkiem o oparcie krzesła, zaglądał przez ramię.

— Całą stronice? Na nowo? Przez jedną jedyną pomyłkę? Wszystko jedno książka tego pisarza nikomu nie jest potrzebna.

— Jak to nie potrzebna? — zdumiała się Katarzyna Piotrowna. — Sam mówiłeś, że w poszczególnych kolchozach są jeszcze braki. A tu — tknęła palcem w rękopis — wzór przedstawiony. Elektryczne aparaty do dojenia, elektroplugi. Niech biorą przykład. Prawda, stylistycznie słaba i o miłości za wiele.

— Czytałem — machnął ręką Sierioża. — Wszystko to jest jedno wzorowo-pokazowe łgarstwo.

— Ciszej! Opamiętaj się!

Ale Sierioża już toczył się po pochyłej: Wiem... Sam widziałem... Wtedy babcia podniosła się. Gdyby nie zmarszczki — dziewczynka, no, po prostu dziewczynka. Ostrzyżona, wysmukła, w białym kołnierzyku.

— Tak... tak... Czy ty zdajesz sobie sprawę, co ty mówisz?

— Wiem... widziałem... — nie uspokajał się Sierioża.

— Niczego ty nie wiesz. To wrogowie mówią. Ci, którzy są przeciw... Jak możesz? Nie, jak ty możesz?

Babci brakowało tchu. Suche jak siano kosmyki stroszyły się we wszystkich kierunkach.

— Wcale nie jestem przeciw... I życie oddam i wszystko, co babcia chce. Ty jesteś, jak ojciec. Z wami nawet porozmawiać nie można. Gdyby mama nie umarła...

Zaszlochał i od razu wydał się maleńki. Miłe, głupie dziecko, kochana moja sierotka!

Miała chęć zapłakać razem z Sieriożą. Ale rozumiała, że nie wolno, trzeba przeciąć, trzeba być surową.

— Nie rycz. Jesteś przecież dorosły. Myśmy w twoim wieku po więzieniach siedzieli. Rewolucję robiliśmy.

Ale chłopiec już ryczał z twarzą u jej kolan. Jasny puszek kręcił się na karku.

— Dziś jeszcze pójdziesz do fryzjera. Uspokój się, za wroga ludu nikt ciebie nie uważa. Ale pewność siebie zupełnie jak u ojca. Cóżes ty w życiu właściwie widział? Nie rycz.

Sierioża czuł, jak mu podskakują łopatki i, dziwiąc się, płakał jeszcze bardziej.

— I z ojcem, bardzo proszę, mnie nie porównuj. Ja i on — to zupełnie różne osoby.

— A ja i ty? — pytał Sierioża, nie podnosząc twarzy.

Wiedział, że wstyd o to pytać, ale skoro już płacze, jak małe dziecko, to wszystko jedno.

— Na razie lepiej, żebyś do domu nie szedł. Tam u nich rodzinne kłótnie. Zamieszkaś u mnie.

— Babciu, a czy zgodzimy się ze sobą? Ja od moich zasad nie odstąpię.

— Jakie tam u ciebie zasady! Ty myślisz, że ja stara, niczego nie widzę, nie dostrzegam. Być może, więcej złego widzę, niż ty. Ale, Sierioża, ty przecież sam widzisz, trzeba wierzyć, koniecznie trzeba wierzyć. Przecież to nasz cel, przecież jemu oddane jest całe nasze życie.

Sierioża położył się na plecach i otworzył oczy.

— Wiesz co, babciu — powiedział wilgotnym, szczęśliwym głosem. — Przyszedłem do wniosku, że obecnie może nam pomóc tylko jedno — rewolucja światowa. Jak ty uważasz — światowa rewolucja będzie?

— Czyż można w ogóle wątpić? Naturalnie, że będzie! Czekaś, zaraz ci jedzenie podgrzeję — powiedziała babcia.

◆

Nie wiedząc, dokąd się podział, zawędrowali do planetarium. Przynajmniej tutaj ciemniej i taniej, niż w restauracji — zorientował się Jerzy. Maryna opierała się i na razie nie chciała iść do jego mieszkania, widocznie, jeszcze na to przedwcześnie.

Nad nimi rozrzucony na całej kopule płonął oświetlony wszechświat. Nawisł bilionami gwiazd i kręcił się powoli, poskrzypując na zakrętach, jak prawdziwe niebo. Odkrył wszystkie swoje omszone wnętrza i, wywaliwszy zawartość, pozwalał przekonać się, że Boga nie ma.

Wszechświat był pusty. Ta pustka była tak olbrzymia, że aż trudno ją było sobie wyobrazić, a przy tym tak pozbawiona celu w swej nieskończoności, że Jerzemu znowu, jak wtedy w łóżku, zrobiło się nieswojo.

Na szczęście, tym razem obok siedziała Maryna. W mroku jej perfumy pachniały mocniej, niż w świetle. Jej obecność przekonywała, że i on również istnieje. Co więcej, wносиła jakiś sens w ten gwiazdzisty bezsens, który rozwarł się nad głową. Przypominała o celu, o który trzeba walczyć. I zgodnie z poprzednim zamiarem, Jerzy zabrał się do wyznania miłości.

Mówił jej te wszystkie przyjemne głupstwa, jakie wypowiadają zakochani, że niby żyć bez niej nie może, męczy się i nie śpi. Maryna nie odpowiadała, jej oddech stał się ostrożniejszy i Jerzy postanowił przeprowadzić w całości obmyślony plan.

Sens planu polegał na tym, żeby udawać nieszczęśliwego. Nie, na jej litość Jerzy nie liczył, stawał na pochlebstwo — to było znacznie pewniejsze. Każdej kobiecie pochlebia, jeżeli ktoś cierpi z jej powodu, i jeśli jest kobietą uczciwą, zechce odwzajemnić się. Więc opowiadał jej na ucho, jaki jest słaby i mały i, poniżając siebie, podniecał jej miłość własną, ponieważ powinna była dojść do wniosku, że to ona spowodowała jego nicość.

Tymczasem w niebie stało się jaśniej, ponieważ weszło słońce. Było wielkie, jak melon, i zmuszało nędzne planety, żeby biegały za nim. Całą tą konstrukcją kierował astronom-profesor, przyczajony w kącie. Twierdził on, że Ziemia kręci się koło Słońca, a nie odwrotnie, jak zapewniają nieucy i ciemniacy, nawiedzeni przez diabła.

Jerzego to rozśmieszyło: Ziemia, prawdopodobnie, myśli, że jest Słońcem. Niech sobie myśli. Ale on wie doskonale, kto z nich jest celem, a kto środkiem, i gdzie jest prawdziwe

Słońce. Kręci się ono wyłącznie koło siebie samego, jedyne go ukochanego. Słońce nie ma żadnych innych celów, jego cel — ono samo.

A jednocześnie mówił :

— Maryno Pawłowno, proszę stać się moim Słońcem. Przecież wasza twarz to ośrodek orbity, po której kręcę się. Wszystkie moje najlepsze zalety — to jedynie odbite światło waszej wspaniałości...

I dalej w tym sensie, zawsze o tym, jaki on mały i nędzny w porównaniu z nią — on, on ! — bezcenny i najpierwszy.

— Zaraz nastąpi zaćmienie — zapowiedział profesor zagrobowym głosem.

Zaćmienie rzeczywiście zaczęło się — i jeszcze jakie ! Zaćmienia — sam profesor to przyznał — w życiu nie spotykają się, a jeśli niekiedy trafia się, to raz na sto lat. Słońce schowało się, jak gdyby je ktoś połknął. Pod spódnicą wszechświata zapadł całkowity mrok. Było mroczniej, niż w nocy, bo w nocy świeci Księżyc, a tutaj Księżyc dbał tylko o to, żeby zaćmiewać Słońce. Jedyne elektryczne gwiazdy ledwie dostrzegalnie mru-gały. Wtedy zrozumiał — oto właściwa chwila !

Maryna całowała, nie rozchylając zębów. I nagle, na jedno mgnienie, wysunął się ostry język, uciął dwukrotnie jak żądło i odskoczył. I znowu zaciśnięte zęby. I zaraz go odepchnęła. Ale już nie było wątpliwości : tu, w tej pustyni nieba, pod zagasłym słońcem, Maryna płaciła za pochlebstwo.

...Gdy zapalono światło, jej twarz zachowywała wyniosły spokój. Znowu odmówiła pojechania do jego mieszkania.

— Macie jakieś zajęcie ? Dokąd się spieszycie ? — dopytywał się Jerzy.

— Ważna sprawa — uśmiechnęła się Maryna, robiąc tajemniczą minę. — A wy, Jerzy Michajłowiczu, przekraczacie wasze uprawnienia. Zdążyliście zapomnieć, że Ziemia kręci się dokoła Słońca, a nie Słońce dokoła Ziemi ?

Przy pełnym oświetleniu okazało się, że kopała była niska i brudna. Trudno było zrozumieć, w jaki sposób mieści się na niej tyle nieba. Tłum skupił się u wyjścia. Tam, jakiś w nic nie wierzący starsuszek udowodniał przy ogólnym śmiechu, że jednak Bóg istnieje. A sześćioletni malec przyczepił się do ojca :

— Tatusiu, Ziemia jest okrągła ?

— Okrągła.

— Zupełnie okrągła ?

— No, tak, jak globus.

- I ziemia kręci się ?
— Pewnie że się kręci, Misza, przecież ci przed chwilą pokazywano.
— I słońce jest większe od ziemi ?
— Wielekroć większe.
— Znaczy się, to wszystko nieprawda ! — powiedział chłopczyk i gorzko zapłakał.



Tu i tam, nad głową fruwały nożyce. Szczebiotały, przelatując od ucha do ucha. Sierioża siedział w fotelu, starając się nie poruszać, żeby tamtemu, za plecami, było wygodniej go strzyc.

To bardzo kłopotliwe, gdy dorosły mężczyzna grzebie się w twoich włosach. Powinienby zająć się pożyteczną sprawą, a on wszystkie swoje zdolności marnuje we fryzjerni. A ty siedzisz przed nim, jak burżuj, i nie śmiesz odetchnąć.

Niklowana maszynka szczypała szyję. Zadawała ból. W kącie między okiem i nosem wlała łza. A wytrzeć nie można : nie wiadomo co sobie pomyśli.

Wielcy rewolucjoniści także hartowali się zawczasu. Rachmietow sypiał na gwoździach...

— Niżej głowę — zakomenderował fryzjer.

Sierioża zgiął się, ile tylko mógł. Życzył sobie, żeby go bolało jeszcze bardziej. Zdzierajcie skórę, a on nie ustąpi. Trzeba kształtować swoją wolę : a nuż go kiedyś będą torturować.

W rękach kata błysnęła brzytwa. Zwaliwszy się pierśią na Sieriożę, podgalał na skroniach. Nagle zerwał się i ściągnął serwetkę.

— Czy mam uperfumować ?

— Nie warto, bardzo dziękuję — czerwieniąc się, powiedział Sierioża.

— Wszystkiego sześćdziesiąt kopiejek — upierał się dręczyciel, całym swoim dumnym wyglądem wyrażając pogardę do biednego Sierioży.

— Nie o to chodzi. Po prostu nie lubię zapachu wody kolońskiej.

I na odczepne wsunął mu piątkę. Ojciec zawsze dawał napiwki stróżom i szoferom.

Czując świeży chłodek na karku, Sierioża ruszył ku wyjściu, wzdłuż szeregu na biało ubranych mistrzów. Każdy ścisnął w rękę niklowany instrument, każdy metodycznie i surowo dręczył swego klienta.

*Czyk-czyk-czyk,
czyk-czyk-czyk...*

A w lustrach podbródki, policzki, łyse i kędzierzawe głowy. Pochylone, zadarte, przecięte grymasem, z pianą mydła u ust.

*Czyk-czyk-czyk,
czyk-czyk-czyk...*

Wszystko było spokojne, higieniczne, nikt nie krzyczał i nie płakał. Ale nawet żarówki w żyrandolu tchnęły aromatem nie do zniesienia.

...W poczekalni nieogoleni mężczyźni w skupieniu czekali na swoją kolejkę. Sierioża zapatrzył się na nich, otworzył niewłaściwe drzwi i zbaraniał.

Był to salon dla pań. Tutaj farbowano i fryzowano. Nad zapachem martwego wonnego mięsa pływał czad przypalonych włosów.

Na przedzie, obwiązana prześcieradłem, na wpół leżała kobieta. Jej twarz była gęsto osmarowana blado fioletową kaszą. Twarz rozpływała się, gdy masażystka zanurzała w niej swoje wypielęgnowane ręce. A potem twarz zaniepokoiła się i odkleiła powieki.

— Sierioża, jakieś tu trafil? Nie bój się. Nie poznałeś mnie? To przecież ja — Maryna.



Późnym wieczorem Głobow przyjechał do sądu. Nocny dozorca otworzył bez wahania: uznawał on dziwactwa prokuratora i był mu oddany.

— Idź, stary, spać — powiedział Włodzimierz Piotrowicz i łaskawie poczęstował papierosem. A sam poszedł przez korytarz wszędzie włączając światło.

Sala była pusta, stół był pusty i puste sędziowskie fotele z państwowymi herbami na oparciach. Ale to całe rzeczowe,

znane do najmniejszych drobiazgów otoczenie wydawało mu się jeszcze bardziej uroczyste, niż w godzinach dziennych.

Prokurator lubił tu przyjeżdżać w godzinach pozastużbowych i przygotowywać oskarżające przemówienia wprost na miejscu. Jak gdyby to nie była próba, lecz prawdziwa procedura, idąca zwykłym trybem, przy pełnym składzie sędziowskim, w surowej nocnej ciszy.

...Na daremnie oskarżony starał się wszystko zagmatwać, nie przyznawał się do winy i prosił o uniewinnienie.

— Nie, obywatelu Rabinowicz, nie macie prawa żądać litości! Lepiej wspomnijcie o tych matkach, któreście kaleczyli. Pomyślcie o nieszczęśliwych ojcach, którzy nie doczekali się potomka! I o dzieciach, naszych dzieciach, które zostały przez was zniszczone.

Więc milczał przygwożdżony przestępca, i milczał sędzia. I milczał ruchliwy adwokat, przypominający Karlinskiego. Wszyscy zgadzali się z tym, co mówił prokurator.

Oskarżał Rabinowicza, ale pamiętał o wszystkich wrogach, którzy nas otaczają. To dlatego jego słowa trafiały prosto w cel. Od niedozwolonego zabiegu — jeden krok do morderstwa, a od niego — niedaleko i do znacznie poważniejszej dywersji.

I wrogowie zaniepokoiłi się. W ciszy, głęboką nocą knuli swoje podstępny. Szukali czułego miejsca, żeby ukłuć najboleśniej. I oto wstaje adwokat, podobny do Karlinskiego, i publicznie oświadcza: żona samego prokuratora zrobiła niedawno sztuczne poronienie.

Marynę wyprowadzają pod rękę na powszechny widok. Ale nawet i w godzinie hańby jej twarz pozostaje piękna, jak zawsze. Patrzy przez ciebie na wylot, tak że chciałbyś się obrócić, patrzy, jak gdyby za twoimi plecami było wielkie lustro, a ona rozmawia nie z tobą, lecz przygląda się sobie.

A oczy obiecują, wabią. Ale spróbuj tylko, przysuń się, zaraz opuszczą się puszyste powieki i z jakąś namiętną pogardą, z zawsze tym samym, zawczasu przygotowanym grymasem, wykrzywi parzące usta: — Ach, zostaw!

— No, cóż, sądzicie ją, obywatele sędziowie! Sądźcie ją, jeśli to konieczne. Ale pamiętajcie, pamiętajcie o wrogach, którzy nas otaczają!

I milczy sala, i milczy sędzia i taka dokoła grobowa cisza, jakby tu nie było żywego ducha.

I znowu wstaje adwokat, naszczuty przez wrogów, i oświadcza, że syn prokuratora szkodliwe myśli kultywuje. Zaś Sierioża

sam podchodzi do stołu i potwierdza na cały głos : — Aby osiągnąć piękny cel — powiada — potrzebne są piękne środki.

— Głupi szczeniaku ! — krzyczy do niego Włodzimierz Piotrowicz. — Przecież ci wyjaśniałem, do czego ta dobroć prowadzi. Twoje piękne środki mogą nas tylko doprowadzić do zguby, a my musimy zwyciężyć, zwyciężyć za wszelką cenę. Sądźcie go, obywatele sędziowie, jeśli to uważacie za konieczne ! Sądźcie i mnie razem z nim za moją słabość ! Niech raczej ucierpią dziesiątki i nawet setki niewinnych, niż by miał się uratować jeden wróg...

Kiedy prokurator Głobow wyobraził sobie takie widowisko i przed sądem własnego sumienia zważył wszystkie argumenty, oskarżające przemówienie już było gotowe. Nie napisane na papierze i nawet nie wypowiedziane głośno, dźwięczało w uszach jak wykonany wyrok i rwało się na zewnątrz — wymownym słowem. Wówczas Włodzimierz Piotrowicz wyprostował się i, patrząc uporczywie w okrągły herb, zdobiący sędziowskie oparcie, głośno, tak żeby go było słychać w najdalszych końcach sali, wybijał słowo po słowie :

— Nie pozwolimy żadnym Rabinowiczom, żeby podrywali fundamenty naszego społeczeństwa ! Nie pozwolimy, żeby wrogowie nas zniszczyli, my sami ich zniszczymy !

Następnie obszedł pusty gmach, powoli, przez wszystkie korytarze. Zaglądał do każdego kąta — czy ktoś się nie kryje ? Wszedł na drugie piętro i starannie, po gospodarsku sprawdził wszystkie drzwi, wszystkie zasuwę. W tym domu on jest gospodarzem, ponieważ to on w nim oskarża.

I Włodzimierz Piotrowicz słyszy, że na dole, w opuszczonej sali, odbywa się dalej ceremonia, którą puścił w ruch.

— Sąd idzie !

— Sąd idzie !

Te słowa grzmiały ze wszystkich stron, na podstawie jego oskarżeń odbywają się sprawy, zapadają postanowienia, kogoś przywożą i kogoś odwożą.

A kto wykrył Rabinowicza, inaugurując ten łańcuch procesów ? — prokurator Głobow. Kto w trudnej chwili zastąpił zarówno sędziego, jak przysięgłych ? Znowu — on i nikt inny. On pierwszy, gdy inni milczeli, wstał i oskarżył. Wszyscy myśleli : Rabinowicz — to drobiazg, anegdota, nędzny, śmieszny człowieczek, ale on oskarżał, nie zwracając uwagi ani na świad-

ków, ani na adwokatów. Jeszcze nic się właściwie nie stało. A on już oskarżył. I od tego zaczęło się wszystko.



Obchodząc drugie piętro, Włodzimierz Piotrowicz zajrzał do garderoby dla pań, spotykanej w każdej instytucji — była więc i w miejskim sądzie. A zajrzał tam nie z ciekawości, lecz dla sprawdzenia — czy kogoś tam nie ma? Było pusto i tylko napisy na ścianach zwróciły jego uwagę. Przeczytał, roześmiał się, pomyślał, że zaraz trzeba powiedzieć nocnemu dozorczy, żeby zaraz jutro starli, i natychmiast o tym zapomniał. Ale ja te napisy pamiętam.

Wę wspólnym ustępie, po zamknięciu się w maleńkiej, zacisznej kabinie, nareszcie jesteś sam na sam ze sobą. Tutaj możesz robić, co ci się żywnie podoba. Nikt nie zobaczy, nie przeszkodzi. Mężczyźni w takich wypadkach wypisują zazwyczaj same nieprzyzwoitości. Kobiety okazują się lepsze od nas, piszą one słowa miłości i oburzenia.

Kola, dbaj o siebie.

Twoja mama.

Piotr! Nienawidzę ciebie!

Nigdy nie będę twoją!

Miły Fiedia! Kocham was!

Wspomnij, gdziekolwiek się znajdziesz.

I dziesiątki innych zdań, wszystkie o miłości i rozstaniu. Ten, do kogo zwracają się te słowa, nigdy się o nich nie dowie. Zresztą pisane są nie po to, aby je czytano. Po prostu rzucono je w przestrzeni, na wiatr, w najdalsze oddale. Tylko Bóg, albo przypadkowy dziwak-amator może podjąć te modlitwy i zaklęcia.

Pragnąłbym tak samo wierzyć w słowo, jak wierzą te kobiety. I chciałbym siedząc w moim pokoju, podobnym do kabinki w ustępie, wśród głębokiej nocy, gdy wszyscy śpią, pisać słowa krótkie i proste, bez ukrytych myśli i adresów.

Na początku było słowo. Jeżeli to prawda, pierwsze słowo było równie piękne, jak napisy w ustępie dla pań, w miejskim sądzie. Kiedy zostało wypowiedziane, cały świat stał się czymś w rodzaju katalogu cen. Wszędzie wisiły tabliczki z nazwami — „choinka”, „góra”, „infuzorium”. Z bezsłownej pustki wy-

skakiwały planety i gwiazdy. I każda rzecz została nazwana swoim słowem i słowo stało się sprawą.

— Sądową sprawą — poprawia mnie Władca. — Słyszysz, bajkopisarzu! Jeżeli już słowo — to słowo oskarżycielskie. Jeżeli już sprawa — to sprawa sądowa. Słowo i sprawa! Słyszę.

Sąd idzie, sąd idzie przez cały świat. To już nie tylko Rabinowicza, schwytanego na gorącym uczynku przez prokuratora, lecz nas wszystkich, ilu tylko jest razem, każdego dnia, każdej nocy prowadzą na sąd i badanie. I to właśnie nazywa się historia.

Dźwięczy dzwonek. — Nazwisko? Imię? Rok urodzenia? I właśnie wtedy zabierasz się do pisania.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na zebranie przed Ogrodem Zoologicznym stawiła się tylko Katia.

— A gdzie pozostali? — zapytał Sierioża. — Czyżby stchórzeli? Przecież umówiliśmy się jeszcze w kołchozie.

Paramonow nie przyjdzie, ma dziś w instytucie seminarium marksistowskie.

Katia chowała w rękawy wyzięble paluszki.

— Kwalifikuję jego postępowanie jako zwyczajne tchórzstwo. Wy, Katia, na przykład, stawiliście się. U Was w szkole też zapewne są poranne zajęcia. Aleście nie stchórzeli.

— I Wy także, Sierioża, Wy także.

Zatkało ją od tego „Wy”, jednocześnie intymnego i pełnego szacunku. Wszyscy jej mówili „ty” — nauczyciele, koleżanki, konduktorzy trolejbusów i tramwajów. I nagle, jakby byli zakonnymi — „Wy, Katia”, „Wy, Sierioża”. A Sierioża jeszcze podkreślał: „Wy, Wy”. Sprawa była niebezpieczna, należało pozbyć się dziecinnych zwyczajów.

— Popatrzcie, Katia — skinął w stronę Ogrodu Zoologicznego. — To zupełnie przypomina planetę Mars. Powiadają, że tam roślinność jest czerwona, a nie zielona.

Jesień stała w największym nasileniu. Drzewa w parku zmieniły kolor. Kołysały fantastyczną, nie z tej ziemi czerwienią listowia. I chociaż Katia nic nie wiedziała o innych planetach, natychmiast zakiwała radośnie wielkimi okularami.

— Tak, macie rację, zupełnie jak na Marsie.

W kasie Zoo kupili bilety po dwa ruble — dla dorosłych — i weszli.

Wszyscy biegli popatrzeć na zwierzęta, a tu, na początku marsjańskiej alei, przy stawie, z którego znikły zbyt delikatne pelikany, nie było prawie nikogo. Jedynie para młodzieńców w jednakowych demi-sezonowych paltach i jednakowych kapeluszach. Jeden z nich wsuwał pręcik między kraty, starając się zwrócić uwagę dzikich kaczek, drzemających na brzegu. Od czasu do czasu nawet kwakał jak kaczka. Widocznie jednak jego kwakanie wypadało nie dość naturalnie, bo mądre ptaki nie odpowiadały.

— Siadajcie-ż — powiedział Sierioża. — Tu jest całkowicie bezpiecznie. Proponuję omówić program naszego towarzystwa.

— A jak to towarzystwo będzie się nazywać? — zapytała Katia i natychmiast zaproponowała: — Wymyślmy jakąś ładną, dźwięczną nazwę, w rodzaju „Młodej Gwardii”. Na przykład, „Wolna Rosja”.

— Nie, Katia, widzicie, z całkowicie pewnych źródeł wiadomo, że zagranicą istnieje już taka szpiegowska stacja radiowa — „Wolna Europa”. Mogą powiedzieć, że my i tamci to jedno. Koniecznością jest odcięcie się od wszelkich wrogów. W przeciwnym razie skorzystają imperialiści.

Sierioża ożywił się. Nie lękając się przeziębienia, zdjął czapkę i wymachiwał nią w takt swoich słów. Przed Katią otworzył się komunistyczny, świetlany świat.

Najwięcej zarabiała sprzątaczkę. Ministrowie zaś, żeby nikt ich nie mógł podejrzewać o interesowność, otrzymywali nędzną pensję. System pieniężny, tortury, kradzieże — zniesiono. Nastąpiła całkowita wolność i tak pięknie wypadło, że nikt nikogo nie zamykał i każdy miał według swoich potrzeb. Na ulicach widniały plakaty Majakowskiego. A także plakaty, ułożone przez samego Sieriożę: „Uważaj! Możesz obrazić innego człowieka!” To na wszelki wypadek, żeby nikt nie zapomniał. A jeśli kto zapomni — pod rozstrzał.

Zresztą w wykładzie Sierioży wszystko to wypadało o wiele bardziej harmonijnie i Katia nie widziała jasno tylko jednego szczegółu: czy od razu zbrojną siłą obalić rząd, czy też raczej zaczekać, aż inne kraje skończą z kapitalizmem? Sierioża radził zaczekać na światową rewolucję, przyznawał jednak, że potem — choć to bardzo przykre, trzeba będzie rząd obalić siłą.

Katia poprosiła o włączenie do programu jeszcze jednego punktu: o wspólnym nauczaniu młodzieńców i dziewcząt w wyższych klasach średnich szkół. Po czym dotknęła czapki Sierioży i nieśmiało dodała:

— Skoro już jesteśmy w Zoo, chodźmy zobaczyć tygrysa. Niezadowolony Sierioża zachmurzył się.

— To dla dobra sprawy, dla dobra konspiracji — wyjaśniła Katia.

— No, cóż — zgodził się po namyśle. — Jeżeli dla dobra konspiracji — to można.



— Starzy Flamandowie malowali nagie ciało, jakby chodziło o stertę różnego jedzenia. Proszę spojrzeć, w tych flamandzkich damach tkwi śmietankowe masło i świeże bułki i nawet ich własne damskie rodzyнки.

Karlinskij spojrział z ukosa na Marynę. Słuchała go z niezależną miną. Tak jakby wszystko, co mówił, było jej dobrze znane. Robiła mu uprzejmość, pozwalając oprowadzać się po muzeum.

Dokoła wisiały kobiety i martwe natury. Na wspaniałych zadach widniały ledwie dostrzegalne zmarszczki. Tak wygląda herbata na spodeczku, jeśli leciutko podmuchać, żeby szybciej ostygła. Albo — jeżeli dotknąć zbyt dojrzałe jabłko. Przez jasno żółtą skórkę wystąpią ciepłe plamy — ślad po dotknięciu.

Wśród tego rozwydrzenia nagich ciał Maryna była najbardziej ubrana. Karlinskij zaczął z bardzo daleka.

— Dlaczego mówimy: „poznać kobietę?” Cóż wspólnego między poznaniem i miłością? Z jakiejż to właściwie przyczyny grzech pierworodny dokonał się nie gdzieś w krzakach malin, lecz pod jabłonią poznania?

Maryna liznęła skórę nad górną wargą. Skóra była delikatna i miała słodkawy smak. Od tej zagranicznej maści twarz staje się gładka jak posadzka.

— Każde poznanie składa się — powiedziałbym — z dwóch elementów, ze związku i rozróżnienia. Nieprawda-ż, cokolwiek poznajemy, przede wszystkim wiążemy, łączymy z innymi rzeczami, po drugie, odróżniamy od nich, jako coś oryginalnego. W akcie seksualnym — proszę mi wybaczyć wulgarne powiedzenie — tkwią pra-elementy poznania. Adam i Ewa połączyli się w miłosnych objęciach i natychmiast zrozumieli różnicę: gdzie mężczyzna, a gdzie kobieta. Połączywszy się, odróżnili się, a odróżniwszy się, połączyli. I w taki sposób, po poznaniu samych siebie, zaczęli poznawać całą resztę.

Maryna rozsiała się pod „Bachanalią” Rubensa, otworzyła torebkę i na wszelki wypadek raz jeszcze przejrzała się. Jej twarz nie mieściła się w okrągłym lusterku. Żeby wszystko sprawdzić, trzeba było długo kręcić głową.

— Proszę kontynuować, Jerzy Michajłowiczu. A więc zatrzymaliśmy się na grzechu pierworodnym. Co dalej?

— Od pierworodnego grzechu rozpoczęło się poznawanie świata. Mężczyzna i kobieta, światło i mrok, dobro i zło, aż wreszcie Hegel nazwał to wszystko jednością w sprzeczności. Ale w istocie ludzkiej myśli, kochana Maryno Pawłowno, w jej podstawowej istocie ukryty jest akt płciowy, dwa sprzężone organy, tak bardzo niepodobne do siebie. Głowa i mózg — to tylko poznawczy dodatek do naszych organów seksualnych.

— To dowcipne — zauważyła Maryna bez uśmiechu. Doceniała wynalazczość Jerzego, ale rozumiała, że piękna kobieta nie powinna niczemu dziwić się, nawet gdyby przed nią wykladał swoje teorie sam Hegel.

— A jakże zwierzęta, Jerzy Michajłowiczu? Przecież one również, że tak powiem, rozmnażają się. A jednak z jakichś powodów nie mogą zdobyć się na filozoficzne myślenie.

Karlinski już dawniej wziął zwierzęta pod uwagę: zwierzęta są bezwstydne, a we wstydzie zawiera się istota zarówno miłości jak poznania.

— Przejdźmy do działu starożytnego Egiptu i tam dotrzemy do istoty rzeczy — powiedział, wycierając spocone czoło. Ich rozmowa nabierała charakteru niemal naukowego.



W pomieszczeniach na zimę było ciepło i wilgotno, jak w oranżerii: zwierzęta miały ogrzewanie. Ale jedynie węże, przytulnie zwinięte pod szkłem, czuły się, jak we własnym domu. Inne zwierzęta mieszkaly tu jak na kolejowym dworcu. Snuły się z kąta w kąt, drapały się nie wiadomo dlaczego, czekały.

— Czekają na wolność — stwierdziła Katia. — Marzą o wyrwaniu się z tego śmierdzącego więzienia.

W ciasnych kłitkach, skąpo posypanych sianem, podskakują na swoich szcudłach australijskie kangury. Małpy z pośpiechem uczą się gestów neurastenicznego inteligenta. Jak maszyny do pisania skrzeczą papużki, zgromadzone w jednym pomieszczeniu. A słoń jest niepoprawnie samotny.

Na jesiennym chłodku pozostał mało kto : wilki, nie różniące się niczym od psów, rysie podobne do powiększonych kotów. Ogólną ciekawość wzbudzała owca. Widocznie, wsadzono ją do klatki z braku prawdziwych zwierząt, albo dla uzupełnienia względów naukowych. Jeżeli już siedzi za kratami — to nie na próżno.

Katia z całego serca żałowała wilków i niedźwiedzi. Skłaniała się ku pogładowi, że ogrody zoologiczne należy znieść, podobnie jak więzienia. Sierioża przeciwstawiał swoje racje : Nauka wymaga ofiar. W imię światowego postępu. Ale w przyszłym społeczeństwie zwierzyńce zostaną całkowicie przebudowane. Zamiast tych nor — obszerne, jasne klatki. Kolczasty drut w kształcie gałęzi drzew, żeby go nie było widać. Zwierzęta będą się czuły prawie jak na wolności.

Słuchając jego przemówienia, Katia popłakała się.

— A jeżeli one nie uwierzą, że to dla ich własnego pożytku ? Sierioża, mój miły, ja nie mogę, nie chcę, żeby ciebie zaaresztowali. Gdzież ja się wtedy podzieję ?

Zdjęła zażawione okulary i stała się bezradna, jak wszystkie kobiety. Było zbyt wstydliwie i niezręcznie pocieszać Katię. Masz ci, związał się ze szczeniacką ! A wybierali się obejrzyć tygrysa dla dobra konspiracji. Gdyby nie czekająca go walka, to by ją pokochał. Ale Rachmietow także dusił w sobie wszystkie osobiste uczucia. Paweł Korczagin również.

Zrobiło mu się żal samego siebie, że taki dobry, taki uczciwy, gotowy zginąć dla innych.

W dziale drapieżnych zwierząt znowu spotkali dwa demisezonowe palta. Jedno z nich mówiło, zwracając się do lamparta :

— I cóż ty, zebro, możesz w zestawieniu z człowiekiem ? Popatrz, Toleczku, ogonem machnęła, oblizwała się. A skórę ma całą w rodzimych znakach. Ot, taką zebkę dobrze by w domu nad łóżkiem powiesić.

Lampart patrzył na niego okrągłymi ślepiami, które ze zdumienia zrobiły się dziecinne. Dziwił się temu żywemu pożywieniu, zawiniętemu w palto i spodnie, niby cukierek w bibułkę. Najwidoczniej, lampart niedawno przybył do Zoo i niebardzo wiedział, co i jak.

Tygrys spał na prawym boku, dotykając kraty. Miał pasiasty grzbiet i wydawało się, że to odciski prętów, przy których rozwalili się.

Gdy otwierano drzwi na ulicę, zwierzęta wojowniczo łypały ślepiami i zrywały się. Zaczynały spieszyć się, jak pasażerowie na prowincjonalnej stacji przed nadejściem pociągu.

Jedynie tygrys nie ruszał się. Spał jak zabity.



Prokurator przekreślił się na prawy bok. Lubił spać za dnia po nocnej pracy. Gdy dokoła jest jasno, ciało odpoczywa, ale umysł czuwa. I sen jest jak gdyby spokojniejszy.

Gdy zasypiamy, jest tak jakbyśmy siadali przed telewizją, którą zapomnieliśmy nastawić. Przedmioty rozplywają się, dal gaśnie, nogami z waty ludzie stąpają po ziemi, również z waty. Nie odróżniasz rysów krewnych i znajomych, którzy ci się przyśnili. Wszystko — jak w rękach u sztukmistrza. Ale wszystkiemu wierzy się z góry, jak dziecko. Oto — Maryna, a oto — Karlinskij, który mówi :

— Bogowie i zwierzęta nie znają wstydu. Wstyd jest naszym monopolem. Kiedy Adam i Ewa zamienili się z małp w ludzi, zaczęli się wstydić. Upadek — poznanie — wstyd. Odseparować nie można !

Twarz Maryny rozplywała się na wszystkie strony. Postać Karlinskiego także wydawała się dość przeźroczysta. Jego dłonie pływały w ciemnym powietrzu, podnosząc się i opadając — jak dwie meduzy. Cały topniał w uśmiechach i niedopowiedzeniach.

— Wstyd — to tabu, naruszane przez nas. Właśnie dlatego naruszamy, że jest nam wstyd. Cóż przyjemniejszego dla człowieka, jak naruszać to, co zakazane ? I w tym cała nasza odrębność od bogów i od bydła...

— Sam jesteś bydlę — chciał powiedzieć Głobow i zanie-mówił. Ekran telewizji wyogromniał, jakby postawiono przed nim powiększającą soczewkę.

Na pierwszym planie wzdęło się podobne do zwierzęcia stworzenie z kocimi łapami i kobiecą mordą.

— Wolę sfinksy — oświadczyła Maryna. — Są o wiele piękniejsze od waszych wstydzających się małp.

— To wy jesteście egipskim sfinksem ! — wrzasnął Karlinskij, wpadając w radosne przerażenie. — Was by do muzeum, w charakterze eksponatu !

Jego chuderlawa postać rozpyliła się we mgłę. Włodzimierz Piotrowicz znajdował się w Egipcie w Muzeum im. A.S. Puszkina.

Muzealne sale podobne były do zoologicznego ogrodu. Różne starożytne ludy były do tego stopnia zastraszone i przesądne, że składały kult nawet lwom i baranom. Ale rysowali jeszcze bardzo kiepsko: do ludzkich nóg przyprawiali zwierzęce głowy i na odwrót.

Nie starczyło czasu, by rozejrzeć się w tych wszystkich szczegółach. Przed nim, na marmurowym piedestale, dumnie leżała Maryna, wyciągnąwszy przednie łapy.

— Kici-kici-kici! — zawołał na nią Głobow.

Podpełzła bliżej. Jaka szkoda, że ja śpię, i jak dobrze, że Karlinskij wyparował — ledwie to sobie przypomniał, a już Maryna, miaucząc, położyła mu na ramionach swoje łapy, zaopatrzone w pazury. Jej twarz dymiła, jak filiżanka czarnej kawy. Głobow przytknął wargi do aromatycznego napoju, zapadając w sen coraz głębiej i głębiej.



Karlinskij długo stał nad zwierzęciem z bazaltu. Z trudnością wydusił z siebie kolejny aforyzm:

— Karny kodeks karze sodomie, żeby nie stała się zbyt pociągająca dla ludzi.

— Wy właściwie o czym? — ocknęła się Maryna.

Obejrzeliby jeszcze Francuzów, ale Jerzy już nie reagował nawet na Renoir'a. Do tej przeklętej Izydy możesz mówić choćby o akuszerstwie: ani wstydu, ani ciekawości. Jak bydlę. A może naprawdę — bogini...

— I mnie także zachwycają sfinksy, Maryno Pawłowno. Kto pozna Waszą ogoniastą damę, przed tym, być może, staną otworem tajemnice stworzenia.

— Być może — odpowiedziała Maryna, przydając swojej twarzy tajemniczy wyraz, jak przystało sfinksowi.



Zanim Głobow zdążył otworzyć oczy, ni stąd ni zowąd zjawiał się obywatel Rabinowicz. Odbywał swoją karę jako przewodnik w Muzeum sztuki imienia A.S. Puszkina. Cóż to za zbrodnicze niedbalstwo skierować go właśnie tutaj!

Bezczelny i narzucający się, jak wszyscy Żydzi, dał do zrozumienia : tam, na górze polecono mu towarzyszyć prokuratorowi. Po pieszczotach ze sfinksem (podpatrzył, ścierwo !) prokurator — powiada — musi v o l e n s n o l e n s zapoznać się z pewnym tajnym materiałem.

— Tylko uważaj — żeby mistyki ani-ani !

— Dobra — obiecał Rabinowicz.

Nad pneumatycznymi drzwiami jaśniał cytat z utworów Władcy :

WIELKI CEL WYTWARZA WIELKĄ ENERGIĘ.

Za cytatem otwarta przestrzeń, w środku — szklany słoje. a w słoju — mózg zakonserwowany w spirytusie, pocięty zwojami, jak ziemska skorupa. Powoli kołysały się jego półkule. Dokoła, przez cienkie rurki, kolby i retorty, poprzez łączące lewary obiegał zielonkawy roztwór.

Rabinowicz zachichotał.

— Jak ja tu trafiam, to za każdym razem troszeczkę się lękam.

Palec mu zadrżał gdy dotknął nim galaretowatej grudki. Ale ta pulsowała w dalszym ciągu, jakby nic się nie stało.

— Nie czuje. Wciąż myśli i myśli, nowe idee wynajduje. Być może w swoich odczystych stronach miał ukochaną dziewczynę. A na schadzkę nie pójdzie — nóg nie ma. Na tych zwojach daleko nie upełnie...

Ja bardzo się przejmuję, obywatelu prokuratorze, żeby on od tego ciągłego rozmyślania nie zwariował. Przecież cała światowa cywilizacja zejdzie na psy! Rozbiliśmy jakiś tam głupi atom i już się niepokoimy. A tu, wyobrażacie sobie, w tym słoju — łańcuchowe reakcje mózgu. Wybuchy idei, samumy luźnych myśli. Nie dopatrzysz czegoś — gorzej niż bomba wodorowa. Nie tylko nasza skromna planeta, nawet galaktyka w kawałki się rozleci. Prawdę powiedziawszy, to ja się trwożę za Pana Boga...

— Nie rozleci się ta twoja galaktyka, nie dopuścimy — ośmielił go Głobow. — A o Bogu zapomnij, Boga idealisci wymyślili... Przyznaj się Rabinowicz, jakiego rodzaju idee tutaj fabrykują się? Czy przypadkiem nie jakaś reakcyjna bzdura wyłazi z tych mózgowych reakcyj?

— Cóż znowu, obywatelu prokuratorze! — obraził się Rabinowicz. — Wyłącznie same wzniosłe cele i wielkie ideały. A z nich cała reszta, zgodnie z prawami dialektyki. Różne tam

kultury, renesanse. U nas bez oszukaństwa. Pragniecie przekonać się osobiście ?

— Ano, jazda, zadziałaj ! Tylko szybciej. Mitrężyć nie mogę : czas już zbudzić się.



— Oświadczam Wam szczerze, jak na ostatnim sądzie. Czy to moja rzecz, starego Izraelity, bronić sprawy Chrystusa ? Ale w imię obiektywizmu muszę zaznaczyć : on także, obywatelu prokuratorze, miał swój szlachetny cel.

Były ginekolog wparł oczy w sufit. Na jego wyschniętych policzkach zapłonął liliowy rumieniec.

— Człowieczego Syna posadzić na Bożym tronie, pokochać bliźniego bardziej niż siebie samego, — to wszystko bardzo postępowe, mówiąc między nami, oczywiście na tamtym historycznym etapie. No, a co z tego wynikło ? Nie, wy tylko posłuchajcie, co z tego wynikło !

Z górnego piętra dobiegał stuk młotków. To odbijali rączki u jakiejś tam Wenus z Milo. Zapachniało przypalonym mięsem — to płonęli heretycy.

— Zaraz hugenotów złączą rznąć ! — cieszył się Rabinowicz. Ale prokurator burczał, niezadowolony :

— Cóż za barbarzyństwo ! Rozumiem jeszcze — bałwochwalcy, mahometanie, poważne ideowe różnice... A tu przecież prawie żadna różnica — jednowiercy.

— Dla was żadna różnica. A według ich nieoświeconego mniemania, ci hugenoci, być może, diabłu się zaprzędali ? Czyż można pozwolić, żeby jednocześnie były dwa chrześcijaństwa ? To taki sam nonsens, jak dwa socjalizmy. Ot, choćby wziąć naszego Tito...

— Tito — faszysta, szpieg, amerykański sługus !

— O, właśnie, przecież mówię : diabłu zaprzędali się.

Wybuch świątecznej radości przerwał ich spór. Chrystus kokieteryjnie przegięty na krzyżu, brawurowo rozrzuciwszy krwią opływające ręce, odprawiał zwycięski taniec nad oszalałym tłumem.

A dokoła już szeptali między sobą średniowieczni panikarze i narzekacze. Że niby o cośmy walczyli ? Zdrada ! Przerodziło się ! Że niby z wielkiego celu pozostały same środki, ten cel ich usprawiedliwił, a one go skompromitowały.

— A czy ja mówię inaczej? — kłopotał się Rabinowicz.
— Każdy porządny cel zjada sam siebie. Ze skóry wyłazisz, żeby do niego się dostać, a jakieś raz się dostał — patrzysz — wszystko wyszło na odwrót.

— Przeliczyli się twoi jezuici, pozwolili na pomyłkę.

— Ależ tu nie ma najmniejszej pomyłki. Wszystko zgodnie z prawem. Każdy kulturalny człowiek rozumie, że cel usprawiedliwia środki. Czy jawnie, czy skrycie, ale bez tego z miejsca nie ruszysz. Jeżeli wróg nie chce się poddać, należy go zniszczyć. Proszę powiedzieć — czyż nie tak?

A skoro wszystkie środki są dobre, należy działać w sposób zdecydowany. W imię Pana Boga samego Boga nie oszczędzaj. I tu już koniec, następny cel wyłazi na pierwszy plan dziejowej sceny. Popatrzcie, popatrzcie, obywatelu prokuratorze, — nowiuteńki, prosto ze sklepu.

Znowu, niby książka z obrazkami, otworzyły się ściany muzeum. Narysowane anioły zaczęły bić narysowanymi skrzydłami.

— Znowu mi jakieś popie agitki podsuwasz — nachmurzył się Głobow.

— Jakże można, towarzyszu prokuratorze! Przecież to najprawdziwszy Leonardo da Vinci. Indywidualizm. Oświecenie. Swobodnie myśląca jednostka. Ta sama jednostka, która ustaliła się na miejscu Chrystusa i stopniowo zaczęła rozprawać wkoło siebie burżuazyjne porządki. A na razie — proszę popatrzeć — czyż taki cel nie zasługuje na zastosowanie każdego środka? Gracja, erudycja, marcepan!

— Nie życzę sobie dłużej patrzeć — odwrócił się Głobow przeczuwając jakiś podstęp.

Ale wydawało się, że Rabinowicz go nie słyszy.

— W imię tej wolności jedna jednostka drugiej jednostce zaczyna wyciskać kichy. Widzicie, jaka konkurencja? Teraz to już i do nowego celu niedaleko. W imię komunizmu...

— Zamilcz! Zatrzymaj tę maszynę!

Ale już było za późno.

*„Zburzymy stary świat przemocą
aż do przyciesi i w ów dzień...”*

— P a l l

ROZDZIAŁ PIĄTY

Włodzimierz Piotrowicz wystarał się o urzędowy bilet dla Sierioży, więc razem zachwycali się wojskową defiladą.

Wypełniony piechotą i czołgami plac widzieli bardzo dobrze. Ale główna trybuna znajdowała się daleko z boku i, co się tam działo, Sierioża nie widział.

— Uśmiecha się! — zauważył ojciec, który jakimś cudem orientował się we wszystkim, co się działo. Sierioża stanął na palcach i znowu niczego nie zobaczył oprócz niebieskich plam, obrzeżonych złotem. Wydawało mu się, że ojciec fantazjuje, gdy ktoś z tyłu stwierdził solidnie odkarmionym basem :

— Tak, uśmiecha się i zrobił taki gest.

— Wcale nie taki, tylko zupełnie inny — poprawiła kościśta dama, uzbrojona w teatralną lornetkę. I zaraz zaczęła skomleć :

— Na niebo patrzy, sokół jasnooki! Na swoje sokołeta patrzy!

Bombowce szły w zwartej formacji. Ich prosty, ciężki lot miał w sobie tyle dostojeństwa, że przychodziła chęć przewrócić się szczenięcym zwyczajem na grzbiet, na znak pokory i zachwycenia. Ale, przygniatając ludzi do ziemi, były one zbyt poważne, zbyt zajęte swoją wzniosłą, wszystko pochłaniającą sprawą, żeby rozmieniać się na drobne i sztydzić z pokonanych. Bijąc w powietrze, jak taranem, szły dalej, ku nie wiadomo gdzie znajdującemu się celowi, w zestawieniu z którym Sierioża — jak to on sam od razu zrozumiał — był po prostu niepotrzebny. Nawet cały ten plac był dla nich w najlepszym wypadku chwilowym punktem orientacyjnym.

Ojciec już go targał za ramię.

— Gdzie patrzysz, Siergiej? Na lewo, bardziej na lewo! Widzisz — ręką wymachuje, pozdrawia demonstrantów.

— Rodzony nasz! Ukochany! — jęczała koścista dama, wykręcając się w lewo. Wydawało się, za chwilę z jej ust zaczną bluzgać piana. Sierioża poczuł się nieswojo, że zachowuje się tak obojętnie. Wstydził się, że dotąd nie potrafił w pstrej gromadzie, poruszającej się na trybunie, odszukać tego, czyje dumne imię podniecało wszystkich, jak wino.

To o nim w tłumie rosły szept. To o nim z głębi swych łon obwieszczały megafony. Jego portrety wszelkich rozmiarów, wszystkie bardzo do siebie podobne, przepływały przez plac, niby żaglowe okręty. Przechodząc obok, demonstranci nie patrzyli sobie pod nogi, lecz wykręcali się całym ciałem do tyłu, aby jeszcze raz, choćby z daleka, zwrócić się ku niemu.

Ale Sierioża wydawało się, że on sam, jakimś dziwnym sposobem, był nieobecny. Wszystko świadczyło, że jest, a jego tak jakby i nie było.

— Dostrzegłeś nareszcie? — dopytywał się Włodzimierz Piotrowicz. — Co ty — ślepy jesteś, czy krótkowidz?

Sierioża wyteżył ostatnie siły i do błękitnej plamy, znajdującej się nieco na stronie, dodał w myśli brakującą twarz.

— Teraz widzę.

Nabrał odwagi i zapytał:

— Kiwa głową i uśmiecha się i macha ręką?

— Tak, to — on, to — Władca — potwierdził ojciec.



Na demonstrację Jerzy nie poszedł. Udał, że jest chory i przez cały poranek szukał jazzowej muzyki. Odbiornik — niemiecki. Można słuchać nawet Bi-Bi-Si. Budziło wesołość to skakanie do góry i na dół po wszechświatowej skali.

Po paryskiej reklamie następowało zawodzenie Arabów. A ot szczepiły się ogonami dwie audycje. Z jakiejś skandynawskiej kirchy transmitowano modlitwy. A obok, ni stąd ni zowąd, ukraińskie contr-alto, przemyte bornym kwasem, opowiadało o osiągnięciach przodującego tokarza, Nalewajki, który ku dniu święta wykonał roczny plan.

Palce wibrowały. I w nich także drżał eter. Fale radiowe okręcały szyję, jak kolejno narzucane pętle. A z brzucha, z pusty zapadłej piersi huczało i trzęsło się w odpowiedzi czarne

namagnesowane niebo, tu i tam przefastrygowane błyskotliwym piaseczkiem telegrafu.

Jerzy był anteną. A tak bardzo chciałby być nadawcą. Móc wysyłać potężne fale każdej długości. „Uwaga! Uwaga! Karlinskij przed mikrofonem. Słuchajcie mnie, słuchajcie tylko mnie!”

Radiostacje wrzeszczały jedna przez drugą, każda o swoich sprawach. Otoczyły go ze wszystkich stron, jak przekupki na targu. Jerzy miotał się, szarpiąc guzik aparatu, ledwie nadążając nastawić go na jedną albo drugą.

Usta wyśpiewywały psalmy, buty wystukiwały pod stołem brazylijską sambę. A cóż mógł on ofiarować światu od siebie samego? Jakież tam pot-pourri z Freuda i hawajskiej gitary? Kim jestem i gdzie jestem, oryginalny, jedyny, jeżeli nastał czas, aby wszyscy jednocześnie mówili?

Nareszcie Jerzy chwycił falę „Wolnej Europy”. Konfidencyjnym tonem (widocznie, sam był w strachu) speaker obiecał coś pikantnego, coś bardzo specjalnego, akurat na rocznicę październikowej rewolucji. Głos otrzymał były podpułkownik lotnictwa, który posiwił od ciężkich krzywd zaznanych na ciężkiej sowieckiej służbie. Gdy jednak głos byłego podpułkownika, odzywający się po tamtej stronie, wypowiedział: — „Drodzy bracia i sios...”, — natychmiast zaczęło się gniewne, zaporowe hurkotanie. To ruszyły do boju nasze stacje zagłuszające.

Bębenki w uszach rozbolały od armatniego i kulomiotowego trzasku. Po „Wolnej Europie”, po amerykańskiej muzyce jazzowej i paryskiej reklamie przechodził huraganowy ogień. Na bezbrzeżnych elektronowych polach rozpoczynała się bitwa.

Jerzy przeskoczył przez martwą zonę i nabrał tchu. W oddali cichły wystrzały. A naprzeciw niosły się brawurowe marsze i okrzyki „hurra!” To czoło demonstracji przechodziło przed trybuną.

Tego Jerzy nie mógł już znieść. Gwałtownie, zrywając kontakty, wyłączył radio. Tak właśnie ukreca się łebek schwytanego ptaka. Wydało mu się nawet, że słyszy chrzęst łamanych kręgosłupów szyjnych.



Z przyzwyczajenia prokurator nazywał Katarzynę Piotrównę mamusią. A jakież to mamusia, skoro nawet już nie teściowa? Po drugim małżeństwie Głobowa prawie się nie

spotykali. Ale w dni świąteczne — 7 listopada i 1 maja — zawsze ją odwiedzał.

Mamusia śmiała się: — Co, prokuratorze, nie masz nic do roboty? Rewolucję sobie przypomniałeś? I poila go herbatą, gęstą jak czerwone wino.

Na ścianie — mapa Korei, podziobana chorągiewkami. Gdy urodził się Sierioża, na tym samym miejscu wisiała mapa Hiszpanii. Czerwone gałganki, przyklute szpilkami, biegły wzdłuż linii frontu. Jeśli chodziło o upodobania, starucha była konserwatystką. Co rana, z wielką dokładnością przedstawiała chorągiewki.

Głobow ziewnął, zaskrzypiał krzesłem i podał do przodu potężną pierś, obwieszoną odznaczeniami.

— Ależ i kałdun ci urósł — niedługo na ministra cię awansują. Żeby się tylko twoja nowa małżonka gdzie indziej nie zapatrzyła. No, no, nie obrażaj się, przecież żartuję. Wykładaj całą prawdę o swoim życiu. Ciągłe z żoną wojujesz?

Nie mógł jej oszukiwać.

— W domu — niedobrze.

Na nabrzmiałej twarzy ostro wystąpiły skuły i szczęki — zawzięta chłopska złość.

— Sami, mamusiu, wicie, urodziłem się i wyrosłem w środowisku zdrowym pod względem moralnym i fizycznym. A tu różne figle-migle, inteligentkie kawałki. Całymi tygodniami w milczenie się zabawiamy, nawet obiady jadamy osobno. Jakbym nie mężem był, a jakimś wspomagającym środkiem... Ja jestem człowiek prosty, z samych nizin podniosłem się, dużego stanowiska dochrapałem się...

— Tylko nie chwal się, chwalić się nie masz czym.

— O, tymi własnymi rękami i ziemię orałem i wyroki śmierci podpisywałem...

Jego pięści wypełzły na środek stołu, jak dwa czołgi. Nie dochodząc do cukiernicy, zatrzymały się i, drapiąc serwetę, wprawiając w brzęk zastawę opadły dłońmi do góry, wystawiając mięsiste podbrzusze. Włodzimierz Piotrowicz poskarżył się na słabe serce.

Przy takim wysokim ciśnieniu konieczny jest całkowity spokój. A jakże tu się nie przejmować, jeżeli w domu burdel, w biurze ciągłe nerwy, a na międzynarodowej arenie — także nie letnisko w Kisłowodsku.

Opowiedział pod wielkim sekretem, że w „...garii” i w „...wacji” wykryto dywersyjne ośrodki. W N-skim obkomie

grupa zbrodniarzy przygotowywała przewrót. Bezczelność wrogów doszła do tego stopnia, że starają się siać panikę, w wyniku czego najbardziej nieprawdopodobne wieści, jedną bardziej zwiariowana od drugiej, krążą po mieście. A to że w zapalkach znaleziono bakterie raka, przysłane przez obcy wywiad (podłubiesz taką zapalką w zębach — i już po tobie!). A to że pod wpływem kosmicznych promieni kobiety zamiast niemowląt męskiej płci rodzą wyłącznie dziewczynki (na szkodę naszej armii!).

Uszy prokuratora nalały się krwią, ciemną i zawieszistą, jak ropa naftowa. Rozpuchnięta szyja zwisała za kołnierz. Potrzebny jest, och, jakże potrzebny dobry upust krwi, głośny publiczny proces, który by oczyścił atmosferę!

Starej było chłodno, okręcała się szalem, wyjedzonym przez mole, wspominała jakichś znajomych z przedpotopowych czasów.

— Tak, zdarza się... Płuźnikow Konstanty. Któżby się spodziewał? — japoński szpieg. Dopiero potem przyszło mi do głowy: przecież ten Płuźnikow jeszcze w Genewie kumał się z mniešzewikami... Ale zdarza się, że i nie wiadomo za co, niewinnych...

— Czy mamusia wie, jak to jest, gdy czołgi idą do natarcia? — ochryplym głosem zapytał Głobow i wstał. — Czołgi miażdżą wszystko po drodze. Zdarza się — swoich własnych żołnierzy, rannych. Czołg nie może omijać. Jeżeli zacnie skręcać przed każdym rannym, zostanie rozstrzelany z pepanców. Więc musi miażdżyć, musi miażdżyć!

Chora twarz prokuratora była bolesna i uroczysta. Katarzyna Piotrowna mimowoli wstała za jego przykładem.

— Cóż ty mi, Włodziu, abecadło wykładasz? Nasz cel wart jest wielu ofiar. Ale tylko dla tego celu, tylko dla niego, rozumiesz?

Ledwie dostała i po starczemu cmoknęła go w poczerniały, nalany krwią policzek. Jakby rzeczywiście była mamusią, tą zapomnianą niepiśmienną, prawdziwą mamusią, która przeżegnała go w daleką drogę, kiedy odchodził ze wsi...

Prokurator już był w kaloszach i raz jeszcze podszedł do mapy. Zwisające na szpilkach czerwone gałganki pokryte były czystym pokojowym kurzem. Widać, od dawna nikt ich nie tykał: na koreańskim froncie nie było zmian.

— Trockizm, najczystszej wody trockizm! — zachwycił się Jerzy Michajłowicz. Odkrycie przewyższyło wszelkie oczekiwania. Toż te dzieciaki już całą organizację założyły. Chłopcy i dziewczęta zabrali się do światowej rewolucji!

Podczas gdy Karlinskij czytał program, Katia rozglądała się po pokoju. Przygnębiał ją ten nadmiar mebli, wciśniętych do jednego pokoju i przemieszanych z książkami i obrazkami, które gęsto oblepiły ściany. Była nawet autentyczna ikona. Nie w honorowym kącie, lecz umieszczona kulturalnie nad odbiornikiem radiowym, obok japońskiego sztychu.

— Cieszę się, że mam okazję poznać was, Katarzyno... Przepraszam, a jak po ojcu?

Katia z trudem przypomniała sobie ojcowskie imię, krępujące jak nowa sukienka, na którą wszyscy zwracają uwagę.

— Pomówmy szczerze, Katarzyno Grigorjewno. Wasz przyjaciel wybrał śliską drogę. Proszę mu to przekazać razem z tym traktatem.

— Sierioża? Siergiej Włodzimierzowicz?

Ach, te okularnice, te panny-podfruwajki z nieproporcjonalnie wielkimi przegubami rąk i niedorozwiniętą piersią! I ta pierwsza ukryta miłość na ideowej kanwie! Najwłaściwszy materiał dla psychologicznego eksperymentu. Coś w rodzaju staroświeckiego dramatu — zderzenie się uczucia i obowiązku.

Przyjrzał się z upodobaniem porcelanowej rzeźbie na etażerze. Kozłonogi satyr otworzył objęcia uciekającej nimfie. Przykryła rękami fasadę, natomiast nie zajęła się niemniej ponętym tyłem. Karlinskij pogładził papierosem jej błękitnawe plecki.

— Rewolucja, partyjny maksymalizm, demokratyczna koszula w stylu dwudziestych lat — pomachał zeszytem, który przyniosła mu Katia. — Zupełnie w taki sam sposób rozumowali trockiści...

Katia była nieprzyjemnie zdziwiona: cóż z tym mają wspólnego wrogowie ludu, dywersanci, szkodnicy? Takich trzeba niszczyć bez litości, jak to czyni Beria. A przecież organizacja Sierioży, na razie bezimienna, walczy o wolność, o prawdziwą sowiecką władzę. Drgnęła z obrzydzeniem, przypomniawszy sobie karykaturę z dziennika: Trocki, czy Tito, czy jakiś inny sprzedajny morderca w kształcie ogoniastego szczura sie-

dział wraz ze swoją również ogoniastą ferajną na kupie ludzkich kości.

Jerzy nie precyzował, co to takiego ci trockiści. O wiele zabawniej było wystąpić w roli ortodoksa. On, który przez całe życie bronił oszustów i spekulantów, nagle zabierze głos jako adwokat pierwszego w świecie mocarstwa.

Dziarsko zerwał się z kanapy, ustawił się w melancholijnej pozie, stosowanej zazwyczaj przy obronie trudnych klientów. Ojcobójcy, malwersanci, stręczyciele małoletnich wymagają patosu i retorycznej gestykulacji. Inna sprawa drobna kradzież albo pijacka awantura. Wtedy nie szkodzi pożartować i powiedzieć coś słonego. Za to poważna zbrodnia wymaga współczucia. Adwokat — to sumienie przestępcy, znieważone przez sprawiedliwość.

— Gdybym nie znał kochanego Siergieja Włodzimierzowicza, nie był przyjacielem jego ojca, gdybym wreszcie nie poznał Was, Katarzyno Grigorjewno, to ja, to ja...

Długi cień Karlinskiego skakał wpośród japońskich sztychów. Wyrzucając ręce, wyłaził na sufit. Zbijał, zaprzeczał.

— Nie wolno dopuścić, żeby. Całemu światu wiadomo. Albo — albo. Niechaj. Marksizm, nihilizm, napluzizm. Frakcja, akcja. Lewackie zagięcie, prawicowe odchylenie. Reasumując. Wymaga ofiar. Wielkiego celu. W imieniu. Cel, cel, cel.

— Żeby osiągnąć piękny cel, potrzebne są piękne środki — słabo zaprzeczyła Katia.

Karlinskij nasrożył się: ta cicha woda dobrze jeszcze nie wie, z czego dzieci się rodzą, a proszę, mędrkuje, wyobraża sobie, że jest Zofią Perowską.

— Piękne środki? Mokrej plamy po was nie zostanie, ani po waszych środkach... A wy sami, jeżeli dać wam władzę... A jeżeli ja, na przykład, zapragnę zostać cesarzem... Albo przynajmniej wysadzę w powietrze pomnik Puszkina na Twerskim Bulwarze... Po główce mnie pogładzicie? A czy nie wszystko mi jedno, w jakim mamrze mam siedzieć? Reformatorzy! Piękna w socjalizmie chcecie, swobody w niewolnictwie?

Połapał się na czas i znowu przeszedł na język powszechnie zrozumiały.

— Obiektywnie. Logika walki. Koło historii. Agenci imperializmu. Wstecz. Kto nie z nami. Otoczenie. W jednym kraju. Zaiste. Obiektywnie.

Przygnębiona Katia milczała.

— Rjanie, kontr, ksizm, sizm, sizm...

Macja, kacja, zacja, nacja...

Pjalizm, pjalizm...

Jektyw ..

Humaniucja, P f e r d !

Katia została pokonana.

A przecież Sierioża ją uprzedzał: „Bo imperialiści mogą wykorzystać”. I wykorzystali — rekiny kapitału. Rekiny i agenci, gangsterzy i samuraje. Poskręcani jak smoki, nadęci jak żaby, wyciągnęli ręce ze wszystkich karykatur i plakatów, ze złych japońskich obrazków, zwabili w sieci, otoczyli kołem — wrogowie. Kto ich przyprowadził? Czy może Karlinskij, który udowodnił wszystko, jak dwa razy dwa cztery (kacja-macja, logia-mogia), czy też Sierioża Włodzimierzowicz, który przysłał ją do tego typu ze swoim drobno-burżuazyjnym programem? Czy też ona sama — obiektywnie — nie chciała, a, rozumiecie, obiektywnie, ułatwiła platformę, wyjawiała i dopuściła?

— A zeszycik radzę zlikwidować — krzyknął za nią Jerzy Michajłowicz. — I w wolnej chwili proszę zastanowić się, co jest droższe.... w imieniu... Wymaga ofiar... Ej! Katarzyno Grigorjewno...!

Wyszedł na schody. Posłuchał, jak stukają jej obcasiki w dźwięcznym mroku bramy. Dziewczę — z charakterem. Ale przynajmniej prokuratorski synalek stanie się teraz ostrożniejszy. Niech nie wplątuje w hazardowe zabawy tych, którzy zachowują wolność. Wolność niezależnego myślenia.

Przechylił się przez poręcz i pluwał w pustą przestrzeń, podobną do studni. Długo nie było odpowiedzi. Od wpatrywania się w czerniejącą pod nogami kamienną głębię zakręciło mu się w głowie. A zaraz potem wilgotne klaśniecie rozległo się tak wyraźnie, że Jerzy pluwał jeszcze raz.



Alkoholu Głobow kategoriycznie odmówił — bolało serce. Jako honorowy gość, miał prawo nie pić. Z tej całej, niezmiernie wesołej, wyłącznie męskiej kompanii on jeden zachował jasność widzenia, siorbając dla przyzwoitości pieniącą się wodę mineralną.

Arkadij Gawriłowicz, śledczy sędzia, zaciągnął go w kącik. Pod brząk noży i kieliszków rozmówka wypadła intymna, ciekawym uszom, gdyby się znalazły, niedostępna.

— Ten twój Rabinowicz u nas teraz zamieszkał. Przeprowadzili. Ale ty, prokuratorze, masz oko... ! Sznajper ! Robin Hood ! Thiel Eulenspiegel !

Obejrzał się po złodziejsku i niemal wsadził usta w szyję prokuratora.

— Pamiętasz, dawałeś do zrozumienia... Jeszcze we wrześniu ? Od razu domyśliłem się... Pokopaliśmy trochę głębiej i, mówiąc między nami, sprawa wyszła taka, że paluszki lizać.

— Czyżby polityka ?

— Ależ z ciebie żartowniś, Włodzimierzu Piotrowiczu. Niby to sam nie wiesz... Według twoich znaków wszystko zaczynałyśmy... I żeby to tylko on jeden... ! Tutaj, bracie, w ogólnopństwowej skali... Medycyna ! Chwytasz smród ? I wszyscy z tych... z nosami... tych, co to kosmopolici... Bez wyjątku... !

Odskoczył do stołu, wołając żalonym tonem, jak baba :

— Opychajcie się, chłopczyki, nie krępujcie się ! Od tego i kawalerskie przyjęcie, żeby każdy sam siebie częstował !

Włodzimierz Piotrowicz postanowił wytrwać do końca. Podobali mu się ci chłopcy, koleżki ze wspólnej służby Arkadija Gawryłczyca — o twarzach otwartych, jak dłoń, o czystych, jak szkło życiorysach, o nieskazitelnym sumieniu. Dobroduszni chłopcy, wprowadzający w przerażenie, kto wie, czy nie pół świata.

Niektórzy z nich byli wielce utalentowani : rekordzista w skokach do wody, inny znowu śpiewa, jak w operze, trzeci artystycznie gwizdże. Wszyscy byli w cywilu (tylko jeden Głobow w mundurze), ale doskonale wiedział — to są kapitanowie, majorzy, nawet dwóch podpułkowników. Niewidoczna, groźna armia siedziała przy świątecznym posiłku.

Rozmawiano o dzieciach, o piłce nożnej, również o wakacyjnych urlopach. Jeden chwalił Kisłowodsk, kto inny stanowczo wolał krymskie wybrzeże. Jeden z dwóch podpułkowników (ten, co artystycznie gwizdże) ogłosił, że kupuje „Pobiedę” :

— Pojutrze pieniądze trzeba wpłacić, a ja ciągle kolor wybieram : beżowa czy szara.

Rozpalił się spór. — Beżowe auto jest bardziej eleganckie — upierał się Arkadij Gawryłcz. Odpowiadano mu, że beżowa „Pobieda” — to zbyt banalne.

Włodzimierza Piotrowicza radował nieprzymuszony nastrój, panujący na zebraniu. Koledzy biurowi zwykli mówić o swojej pracy, pokazywać jeden drugiemu swój ideowo-polityczny poziom. A ci, odwrotnie, wyglądają na najzwyczajniejszych, pow-

szednich ludzi, polityka ukryta jest wewnątrz, w głębi duszy, w tajemnicy — tam, gdzie u reszty śmiertelników tkwią jedynie wady i grzechy.

Jakże mylą się pisarczyki ze sprzedajnej prasy Zachodu, przedstawiając tych ludzi w charakterze jakichś mrocznych przestępców. Przecież to niesłychanie miłe towarzystwo — dowcipni rozmówcy, doskonali ojcowie rodzin. Wielu z nich, jak opowiadał Skromnych, lubi w wolnym czasie łapać ryby, inni sami gotują obiady, majstrują zabawki dla dzieci. Jeden starszy śledczy od specjalnie ważnych spraw, w godzinach odpoczynku robi rękawiczki szydełkiem, wyszywa poduszki i serwetki, twierdząc, że ręczna robota rozwija system nerwowy. Ale jeśli zajdzie potrzeba...!

Za oknem rozległa się honorowa salwa. Jak gdyby wyleciał korek z bardzo wielkiej butelki. Również i Włodzimierz Piotrowicz musiał spróbować szampana. Pozwolił sobie tylko na jeden kielich.

— Proponuję toast! Którego geniusz daje nam natchnienie! Niezłomnie naprzód! Do boju! Od zwycięstwa do zwycięstwa!

Stół upodobił się do pola bitwy. Krwawiły wina. Pasztesy wyjeżdżone na szczęty, jak wojenne drogi w mokry jesienny czas. Połamane szkielety śledzi, niedopałki. Pstre i rude plamy.

Hałas zacichał w miarę tego, jak pili. Inni pod gazem zaczynają krzyczeć, awanturować się, a ci — kieliszek po kieliszku, butelka po butelce — milkli i sztywnieli. Głobowowi nawet wydawało się, że za każdym łykiem stopniowo trzeźwieją. Osowiałym, skoncentrowanym spojrzeniem każdy obrzuca swoje szeregi, przysłuchuje się.

Jakiś młodzik, widocznie zwykły poruczniczek, nie wytrzymał:

— A ja wczoraj w „Metropolu” widziałem „Upadek Berlina”...

Jak do magnesu ze wszystkich stron wyciągnęły się ku niemu szyje i uszy. Wszyscy zamarli w wyczekiwaniu.

— Bardzo podobało się! — zapiszczał mówca, przestraszony powszechną uwagą. — Wszystkim radzę. Bardzo, bardzo...

I w pośpiechu zatkał usta pierwszym napotkanym łososiem.

Nastąpiła cisza. Nawet przestali stukać się kieliszkami. Pili w milczeniu, zagryzali w milczeniu. Jeżeli będzie trzeba, tak samo umrą w milczeniu.

Sledczy, Arkadij Gawryłyycz ledwie trzymał się na krześle.

— O kogo pytasz, prokuratorze? Jaki tam Rabinowicz? Nic ja nie wiem, nic nie słyszałem o żadnych Rabinowiczach. Co? Sam opowiadałem? Przyśniło ci się.

W oczach, posiekanych czerwonymi żyłkami, zastygło szczerze zdumienie.

— Zuchy, chłopaki! Czujnie pijecie — mrugnął do niego Głobow.

Oczekiwał, że przy tych słowach cała drużyna stanie na baczność i zaryczy dźwięcznym szeptem: — Na chwałę ojczyzny! Ale wszyscy byli pijani, wszyscy byli niemi jak ryba, którą jedli wśród innych zakąsek.



Żeby zmylić ślady, Katia szła na piechotę. Zeszytik nosła w rękawie. Rwała kartkę po kartce. Strzępy papieru rozcierała w dłoniach i niepostrzeżenie, po trochu sypała na bruk.

Sledzono ją. Kto mianowicie — nie mogła sprawdzić, choć oglądała się stale. Zbyt ludno było dokoła. Naród walił tłumem, nie wybierając drogi, na wieczorną zabawę, na świąteczną iluminację.

Miasto dziś wyglądało jak odpowiednio spreparowany system krążenia krwi. W szkole, na lekcji anatomii, pokazywano jak to jest urządzone. Człowiek, przepiłowany na pół, obłupiony całkowicie ze skóry, składa się z mnóstwa rozgałęziających się naczyń rozlicznej grubości i zabarwienia.

Wielu ich było tutaj poświęconych dla wieczornej uciechy. Przez szklące się żyły domów, we wszystkich kierunkach strugą płynęła przechłodzona krew. Płonęła przesadnym, nad-elektrycznym światłem.

Przed domem Sierioży Katia zatrzymała się. Przeszła na drugą stronę. Jego okna były mroczne, jak dwa groby. Katia złożyła palce na krzyż, żeby w głupi sposób nie wywołać nieszczęścia.

Ale już było za późno. Nieszczęście już się stało. Podczas gdy ona biegła po schodach, Jerzy Michajłowicz zdjął słuchawkę zadzwonił gdzie trzeba, i w oknach zrobiło się ciemno. A może, jeszcze nie zadzwonił i Sierioża spokojnie śpi, zapomniawszy o nieszczęsnej Kati. Albo spaceruje z innymi, snując trockistowskie plany. Wszystko jedno — już niczym mu nie

pomoże. Sama jest winna, porozrzuciła papierki. Przyjdą ich śladem, znajdą jego mieszkanie.

Gdzieś daleko, z tyłu już zaczął się pościg. Już myszkują po bruku, szukają pod kaloszami, w kałużach. Nachylają się.

Do jutra wszystkie te strzępy będą zebrane razem. Wyprasowane żelazkiem, sklezione syndetikonem. Wszystkie dwadzieścia cztery kartki, niezniszczalne jak hydra, u której odrastają głowy, w niebieskiej okładce, poliniowane w skos, i cały wypisany drobnym pismem drobno-burżuazyjny program Sierioży. Na widoku. Przed sąd. Przed sprawiedliwy, straszny sąd.

Ziemia podskoczyła. W niebo, odrzucone wstecz, wdarły się trąby z lanego żelaza. To gdzieś za Uniwersyteciem pękła aorta. Potrzebna jest klamra. Ale przewiązać już nie zdążyli: popękały inne naczynia. I różnobarwna krew bryzgnęła w zenit jak fontanna.

Przy grzmotach honorowych salw Katia wracała do domu. Nie zadzierała głowy do góry, nie liczyła armatnich wystrzałów. Każde nowe uderzenie wydawało się jej ostatnim. Oto zaraz wyschną arterie, opróżnią się dziurawe żyły i ogromne, podarte serce udusi się w serdecznym ataku. A ono wciąż biło i biło, wstrząsając asfaltem pod nogami i oświecając twarze przechodniów różowym albo zielonym blaskiem.

Katia postanowiła powróżyc: jeżeli uderzy pięć razy, pójdzie do dyrektora szkoły, albo do rejonowego komitetu, albo jeszcze gdzieś dalej. Zaraz jutro. W tajemnicy przed Sieriożą uratuje go, rozplącze szpiegowskie sieci, wyjaśni, że zaszła pomyłka, że Jerzy Michajłowicz wszystko nałgał i że powszechny pożytek jest najważniejszy.

Przy czwartym uderzeniu Katia jeszcze miała nadzieję — dociągnie do pięciu. I wtedy właśnie serce zatrzymało się na nowym uderzeniu. Od razu nastąpiła taka cisza, że przyszła chęć położyć się do łóżka i napłakać dowoli. Ostatecznie, do tego miała prawo. I tego prawa nikt jej nie odbierze.

Późną nocą, kiedy pogasną światła i ludzie, znużeni świętem, usną nieprzebudzonym, słodkim snem, na opustoszałe ulice miasta wychodzą dwaj w cywilu. Spacerują po cyrkułe, z góry im wyznaczonym, snują jakieś marzenia, albo półgłosem prowadzą serdeczne rozmowy. Jeden z nich nazywa się Witek,

drugi — Tolek. Wiedzieć coś więcej — nie stało się naszym udziałem.

Tolek mówi do Witka :

— Słuchaj, Witek. Czas już byłby i kanalizację przystosować do solidnej pracy. Ileż to tajnego materiału splywa rurami bez żadnej kontroli ! Projekty, konspekty, miłosne listy, bruliony literackich utworów, a nawet przepisane na czysto.

Opowiadają, że pisarz Gogol, który żył w dziewiętnastym stuleciu, wsadził do pieca swój poemat pod tytułem „Martwi duszą”. Po dziś dzień nie wiadomo, co on tam wypisywał.

A teraz palić nie ma gdzie : centralne ogrzewanie. Teraz każdy stara się swoje sekrety porwać na drobne kawałki i do sedesu spuścić, żeby zachować całkowite incognito. To należy wziąć pod uwagę.

Na przykład, przy każdym domu postawić specjalną drogę, albo sito i dozorcem najsurowiej nakazać, żeby zapisany papier wybierali. No, a prawdziwe brudy, różne tam siusiu, gazety niech płyną, dokąd pragną, na wolność. „Płyn, czółno moje, z falą swobodną...”. Ty, Witek, jak uważasz, dobrze pomyślane ?

Witek milczał w zamyśleniu, oglądając okoliczną pustkę. Potem powiedział łagodnie :

— Grzebać się w każdym śmieciu to nie jest naukowe podejście. Szczerze mówiąc, Gogol mnie nie interesuje. Ale jest inny pisarz, nazwiskiem Herbert Wells. Tyś „Walkę światów” i „Niewidzialnego człowieka” czytał ?

— Nie, nie czytałem — ze smutkiem przyznał się Toleczek.

— A ja jego „Maszynę czasu” prawie na pamięć znam. Jednakże w obecnej chwili przejmuję mnie osobiście inny wynalazek. Także naukowo-fantastyczny. Aparat — myśłoskop. Coś w rodzaju twojej dragi, tyle że bardziej udoskonalony. Żeby myśli i różne przeżycia odgadywał. Żeby nawet takich, co ustnie milczą i na piśmie się nie wypowiadają, można było automatycznie kontrolować. Każdej chwili i na każdą odległość. Fajne, co ?

— Jak ty, Witeczku, to nazywasz ?

— Aparat-myśłoskop.

— Tak, myśłoskop to nie byle co.

Zamilkli i zagłębili się w marzeniach. Ale marzyli zgodnie, o jednym i tym samym. Marzyli o następujących rzeczach.

W naszym stuleciu — stuleciu telewizji i radia, w epoce energii atomowej, skierowanej ku ogólnoludzkiemu celowi, —

dobrze by było mieć w każdym cyrkule taki myśloskop. Ot, siedzę ja na przykład, szkodliwy element, w swoim słabo zaludnionym mieszkaniu i z góry wiem, że wszystkie moje bezideowe myśli i zbrodnicze plany w rejonowym myśloskopicznym punkcie widoczne będą jak w kinie. I staram się o niczym takim nie myśleć. Ciągle o niewinnych rzeczach rozmyślam, na temat bab, albo żeby wódki się napić, a nawet o tym, żeby uczciwie pracować dla ludowej szczęśliwości. A jednak aż mnie podrywa, żeby o czymś zbrodniczym pomyśleć. Skręcam się na krześle, arytmetyczne zadania rozwiązuję, żeby tylko rozzerwać się.

Akurat ! Przesączył się do głowy zgniły pomysł : jakby tu, myślę, nauczyć się myśleć w sposób niewidzialny ? Walę w ten pomysł geometrią, dyferencjałami, koniugacją w cerkiewno-słowiańskiej mowie. Wiersz Lermontowa „Sam jeden wychodzę na drogę...” cztery razy pod rząd wyrecytowałem. A ten pomysł lezie jak gad, rozkręca się : jakby tu, myślę, jeszcze jedną rewolucję zrobić ? I właśnie w tej chwili cap — złapali mnie.

— Jak się macie, obywatelu. A o czym żeście to w myślach rozprowadzali przed czterema minutami i siedemnastoma sekundami ? My wszystko wiemy. A jeżeli nie wierzycie, zdjęcie możemy pokazać.

— Nie wypieram się — zawiniłem. Jestem godnym pogardy najmitą cudzoziemskiego mocarstwa. Od dziecinnych lat zajmowałem się sprawą restauracji kapitalizmu i podpiłowywaniem kolejowych mostów...

Cisza ! Dwaj w cywilu chodzą po mieście. Dwaj w cywilu. Powoli, solidnie posuwają się przez uśpione ulice, zaglądają do zmartwych okien, do bram i za płoty. Nie ma żywego ducha.

Jeden nazywa się Witek, a drugi Tolek. A ja trzęsę się ze strachu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie zwracając uwagi na mróz, Katarzyna Piotrowna, w grubych walonkach i czapce z nausznikami, codziennie zgłaszała się po wiadomości do prokuratury. Jej częste wizyty były jak najbardziej niewłaściwe. Ale Głobow nie miał śmiałości powiedzieć jej wprost. Po aresztowaniu Sierioży stara zupełnie oszalała. Czepiała się gorzej niż kiedykolwiek. I za każdym razem sekretarz, podśmiewując się z szacunkiem, meldował :

— Do was, Włodzimierzu Piotrowiczu, znowu ta starsza osoba — w walonkach. Czy mam wpuścić ?

Była teściowa bębniła, spacerując po gabinecie :

— Nie może być. Nie wierzę. Ani w szpiegostwo, ani w dywersję.

Głobow dopytywał się nie wiadomo który raz :

— Przy rewizji znaleziono w jego rzeczach coś kryminalnego ?

— Nic, zupełnie nic.

Od walonek po podłodze rozlewały się brudne kałuże. Po jej odejściu, Włodzimierz Piotrowicz zamykał drzwi na klucz i własnoręcznie wycierał podłogę ścierką, przyniesioną z domu i ukrytą pod szafą. Potem nakręcał numer i pytał :

— To ty, Arkadij Gawryłycz ? Mówi Głobow. Jest coś nowego ?

Tamten odpowiadał suchym tonem :

— Jak dotychczas — nic.

I wieszał słuchawkę. I tak powtarzało się codziennie.

Co dnia, po powrocie z pracy, Jerzy mył się i cieszył. Nie wiadomo dlaczego, patrzenie na brudne mydliny sprawiało mu przyjemność. Zawsze jest tak : im brudniejsza woda spływa do zlewu, tym przyjemniej. Prawdopodobnie, to samo odczuwają ludzie przy spowiedzi.

Jeżeli Maryna przyjdzie, będzie mógł czystym palcem dotykać jej twarzy. Tuż koło ust. Trzeba jeszcze namydlić się : a nuż przyjdzie dzisiaj.

W ostatnich miesiącach robił wszystko z wyrachowaniem. W miarę przybliżania się, oddalony cel pochłaniał go bez reszty. Żył po to, żeby zdobyć Marynę. Nawet spał i jadł z myślą, by wzmocnić się przed schadzka. Czyścił zęby, jakby szykował się do pocałunków. Dzień przechodził za dniem, żeby miała czas wynudzić się i, przeczekawszy dla przyzwoitości, skapitulować.

Ktoś zastukał. Przeczekał, aż minie drzenie w kolanach i otworzył.

Ale to nie była Maryna. Starając się wcisnąć jak najdalej do pokoju, sąsiadka wysuwała naprzód kopertę i lubieżnie szeptała :

— To dla Was panienska zostawiła. Młodziutka, niby pączek.

Marynie to pochlebi, że ją biorą za młodziutką panienkę, trzeba to jej powtórzyć — kombinował, otwierając kopertę.

„Towarzyszu Karlinskij ! — Złożyliście zdradziecki donos na Siergieja Włodzimierzowicza, ale on i tak nie jest trockistą, tylko uczciwym rewolucjonistą, a Wy jesteście tchórz i nikkczemnik”.

Jerzy pokręcił liścikiem, zajrzał do koperty jeszcze raz, nic nie znalazł, odłożył list do kolekcji. Przy okazji opowie Marynie o tym eksperymencie. Na pewno bardzo to ją rozbawi.

Potem Jerzy umył ręce, jak Poncjusz Piłat. Nie chciał mu się wspominać Kati i Sierioży. Poncjusz zapewne nie wiele myślał o Chrystusie, gdy poszedł umyc ręce. Poncjusz miał, być może, swój własny cel, którego nie znali ewangelisci. Wytarł dokładnie wszystkie palce po kolei, zwrócił się ku drzwiom i tupnął nogą :

— Gdzież Wy jesteście, Maryno Pawłowno ? Czekam na Was. Jestem przygotowany.

◆

Sędzia śledczy wyszywał na kanwie. Wybrany na serwetkę wzór był niezmiernie wyszukany : na czarnym tle wyginały się esy-floresy tulipanów.

Gdy przyprawiano Sieriożę, związał robótkę, zbierał porzrucane na całym stole kordonki, zamykał wszystko do ogniotrwalej kasy i rozpoczynał przyjazną pogawędkę. Jak dołąd, szło pierwszorzędnie.

— Tak, toście bardzo celnie zauważyli. Nic nie można powiedzieć. Takimi opiniami u góry bardzo interesują się... No, ale kołchozy, co z nimi zrobić ? Tu przecież także... Sami wiecie...

Słuchając o kołchozach, wzdychał w zatroskaniu. Czasem spierał się, kiedy indziej wyrażał zgodę i tak posuwali się coraz dalej.

— A znowu, wiecie, prasa, szczerze mówiąc...

Sierioża również w dziedzinie prasy miał swoje propozycje, dziwiąc się, że go do tej pory nie zwolnili.

— No, młody człowieku — powiedział wreszcie śledczy — omówiliśmy szczegółowo wasze poglądy. Należałoby jeszcze spreczować — jak się Wam udało wejść w kontakt z obcym wywiadem.

Zdawał się zachęcać go całym swym współczującym wyglądem : Nie krępujcie się. Po cóż ukrywać ? Wszyscy tam znajdziemy się. Głupstwo przecież !

— Proszę bez głupich żartów — Sierioża zbladł. — Jeszcze nie jestem skazany, jestem oskarżony.

Śledczy uśmiechnął się i rozsunął kotary. Światło dnia było tak czyste, tak przeźroczyste, że pragnęło się zaczerpnąć oddech całą piersią.

— Chodź no tu. Słyszysz ? Do ciebie mówię.

Zaraz uderzy — pomyślał Sierioża i twarz zrobiła mu się z drewna.

— Spójrz w okno !

Sierioża zobaczył plac, na którym bywał dawniej nie raz, zobaczył wejście do metra, człowieczków, dających weń nura, małe trolejbusy i samochody, w których również jechali ludzie, i każdy jechał, dokąd chciał. A z góry padał śnieg, prawdziwy, żywy śnieg.

— Ci wszyscy tam — to są oskarżeni. Widziałeś — ilu ich jest ?

Sledczy pokazał snujący się pod nimi tłum. Potem pogładził Sieriożę po ostrzyżonej głowie i powiedział pieszczotliwie :
— A ty, bracie, już nie jesteś oskarżony. Ty jesteś skazany.



Wszelkie starania były na daremne. Dali mu to do zrozumienia w pewnej wysokiej instytucji :

— Lepiej nie pchaj się. Tobie ufają — nie masz się czego bać. A bronić go nie radzimy. Tylko sam siebie powalasz. Zapomnij i rób drugiego, dopóki jeszcze możesz. A ten — już nie jest twoim synem.

Ale babcia nie dawała mu spokoju.

— Rób starania ! Dobijaj się ! Czy może ojcem nie jesteś ?

Ojciec ! Inni mają dzieci — jak to dzieci. Instytuty kończą. Aspirację. Nawet u Skromnych, chłopak wpadł, ale przynajmniej na kradzieży. Ojciec, żeby odstraszyć, skórę mu złoił i łeb sprawie ukreślił. A to — potrzebne było ? Z dziesięcioletniej szkoły do więzienia — ojcowskie imię pohańbił. I to jeszcze w takich czasach !

— Nie, mamusiu — odpowiedział Głobow, patrząc na jej mokre walonki. — Przeprowadzają wielkie aresztowania. Nie mogę.

— Coście powiedzieli ? Boję się ? Nie, to nie to. Czyż kiedykolwiek bałem się ? To mnie wszyscy bali się... Zrozumcie, przecież jestem prokuratorem. Sumienie mi nie pozwala. Ja codziennie, różnych ludzi, być może, mniej winnych...

— Czyja-ż ta przyszłość ? Moja ? Jakoś dam sobie rady bez przyszłości. Zdrajca, a nie syn.

— Dajcie spokój. Co tu ma do rzeczy słowo honoru rewolucjonistki ? Staroświecko brzmi, Katarzyno Piotrowno. A ja wiem z pewnego źródła...

— A nie. To niesłusznie. Syna utracić, to nie łatwo...

— Dość tych wyrzutów ! Wy sama... A o bracie, o bracie zapomnieliście ? Zwiął zagranicę, to wy, pewnie...

— Już wcześniej domyślałem się. Ale gdybym wiedział. do jakiego stopnia...

— Czyś ty, stara, zwariowała ! Nie wydawałem go. Słyszysz ? Nie wydawałem.

— Odejdź. Ręce przy sobie. Z rękami, mówię, z rękami precz !

Jużem ci opowiadał, kto doniósł. Dziewczynisko z jego własnej ferajny. Nauczyciel mi podszeptał. Historyk. Przyszła do dyrektora... Że niby po radę... Ten chciał załagodzić, ale...

— Dziewczynka, dziewczynka, toż mówię ci po rosyjsku.

— No wiesz. Tego już za wiele. Ani dziewczynek, ani chłopczyków jeszcze nie dusiłem. Za to wrogów...

— Stul pysk, stara wiédzmo, dopóki i ciebie nie zamknęli! Po tym, coś powiedziała, nie życzę sobie więcej...

— Bardzo dobrze. Od dwudziestu pięciu lat dopiekasz. Dosyć mam twego kontrolowania.

— I obejdzie się. Nie przychodź.

Kiedy stara poszła, Włodzimierz Piotrowicz łąpał oddech przez kilka minut i zawołał sekretarza. Lekceważącym tonem, jakim zwykle mówi się o osobach obojętnych, wydał polecenie.

— Proszę przysłać sprząteczkę. Niech wytrze parkiet po tej obywatelce. Nabrudziła swoimi walonkami, jak w stajni.



Zadzwonił telefon. Maryna oderwała się od kart, rozrzuczonych w skomplikowanym pasjansie, ale słuchawki nie zdjęła. Pochylona nad aparatem, z ciekawością słuchała przeciągłego dzwonięcia.

Wydało się jej nagle, że słuchawka lekko podskakuje. Jeszcze trochę, a sama zeskoczy z wygiętych widełek i rozdrażniony głos Karlinskiego zacznie głądzić na stoliku: — Chowacie się? Nie chcecie podejść do telefonu? Proszę uważać nasze stosunki za zerwane!

Możliwość wykrycia jej postępowania była tak oczywista, że Maryna przeszła do sąsiedniego pokoju i stamtąd, niewidoczna, całkowicie bezpieczna, przysłuchiwała się dzwoniącemu telefonowi.

— Jak on się męczy, biedak, jak on mnie pragnie! — myślała z triumfem, wstrząsając się przy każdym nowym dzwonku.

Już od trzech miesięcy Jerzy groził, że odejdzie. Albo ona podda się, albo rozstaną się. — Nie życzę sobie ani jednego, ani drugiego — wykręcała się Maryna. Wówczas dał jej dwa tygodnie czasu „na kobiece kaprysy” i odsunął się, dojmując miłością, strasząc samotnością. Zbliżał się wyznaczony termin.

Telefon dzwonił tak długo, że aż dostała bólu głowy, po

czym zamilkł, obrażony. Maryna wróciła na kanapkę, do swoich kart i wątpliwości. Zgadzały się ze sobą. Były łyzy, były listy, były dalekie podróże i urzędowe gmachy, para nieznanych waletów obiecywała przyjemne komplikacje, ale króle odchodziły od niej jeden za drugim.

Maryna nie wierzyła kartom, ale musiała przyznać, że w ostatnich czasach w jej stosunkach z mężem, rzeczywiście, wszystko się rozprzęgło. Przestał dokuczać jej swymi rozmowami o zwartej rodzinie i wzajemnym zrozumieniu małżeńskim. Przepadał gdzieś całymi wieczorami i najwidoczniej zapomniiał, że — chociaż pokłóceni — mieszkają pod jednym dachem.

A tu jeszcze w najmniej właściwej chwili zamknęli Sieriożę i wszystkich znajomych mężczyzn zmiotło niby wiatrem. Nawet Skromnych nosa nie pokaże.

Jedynie pikowy król pozostawał jeszcze przy niej. Pozbyć się go tak łatwo nie mogła. Któż, jeśli nie on, szczerze, po królewsku oceni jej urodę i cóż to za uroda bez hołdów i wymagań?

— Jesteście moim celem, moim bogiem — lubił powtarzać Jerzy, udowadniając z właściwą mu erudycją, że wzniosły cel wymaga środków, nawet tego celu nie godnych, i że Bóg, którego niestety nie ma, bardzo cierpiałby w samotności, gdyby nie wymyślił człowieka, składającego mu hołdy i wszelkie usługi.

Tak — to prawda. Czyż kobieta nie jest najbardziej samotną istotą w świecie, czy jest coś gorszego ponad jej samotność?

Trzasnęły główne drzwi, kroki męża zagrzmiały w przedpokoju.

— Jesteś w domu? — zdziwił się zza ściany na głos Maryny. — Pieniądzy potrzebowałem, umyślnego chciałem już posłać. Sekretarz tu z dziesięć minut, raz za razem się dobijał. I nikt do telefonu nie podszedł.

— Spałam — skłamała machinalnie i niezbyt szczęśliwie, bo mąż doskonale wiedział, jaki czujny ma sen. O wiele prawdopodobniej byłoby wrócić ze spaceru lub ze sklepu. Ale Włodzimierz Piotrowicz nie zakwestionował jej odpowiedzi i nie zatrzymał się w drzwiach jej pokoju, jak to bywało dawniej. Przemaszerował obok, klucz pstryknął w jego gabinecie — mąż zamknął się u siebie.

Wówczas zrozumiała, że Karlinskij nie zadzwoni ani dziś, ani jutro. Być może, w ogóle już na nią nie czeka. I nawet nie żąda od niej zgody na żadne paskudztwa.

Podeszła do lustra i, ujrawszy swoją zasmuconą, starzejącą się z każdym dniem twarz, już-już chciała zapłakać, ale przypomniała sobie na czas, że to nie wskazane: od łez marszczy się skóra.



Tej nocy Głobow uderzył w gaz. Zresztą nie upił się koniakiem, ani wódką, a tylko poczuł w sercu taką czułość, że zaczął chodzić z kąta w kąt, mrucząc dziecinną kołysankę:

*Śpij, śpij, maluśki
zaśpiewam ci do poduszki.*

I tylko tyle. Mógł sobie na to pozwolić. Nikt go nie widział, nikt nie słyszał. Był sam.

Ręce, splecione na piersi, same objęły go i uniosły. Włodzimierz Piotrowicz lubił to swoje wielkie, niezgrabne cielsko, lubił i kołysał je do snu. Było mu dobrze razem z nim, takim bliskim i tak dawno nie mytym. Posapując z wdzięcznością, przyciskało się do niego, wparte w koszulę, i huśtało się w takt kołysanki.

*Śpij, śpij, mój maluśki,
Zaśpiewam ci do poduszki.
Zaśpiewam ci do poduszki,
śpij, śpij, mój maluśki.*

I tak długo, bardzo długo, w nieskończoność.

A na rękach — tak jakby dziewczynka. Małeńka, nienarodzona córka.

— Śpij, miła, śpij, moja mądralo — namawiał ją, klepiąc po ciepłutkich pleckach. — Wszyscy śpią. Bawić się nie masz z kim, Sieriożki nie ma w domu. Sieriożka oszukał nas, opuścił. Jest dla nas obcy. Sieriożka — brzydal.

Żeby szybciej ją uśpić, Głobow zaczął przerabiać do rytmu kołysanki wszystkie znane mu pieśni. Nie wiadomo dlaczego, wszystkie były o wojnie i Głobow często zbijał się z melodii, nucąc zbyt bojowo i zamasyście.

I zaraz mu przerwano. Krzykliwy głos Maryny dobiegał z korytarza i przeszkadzał w śpiewie. Więc położył dziewczynkę

na otomanie, przykrył kitem i po schowaniu butelek pod stół utworzył gabinet.

Ujrawszy go, Maryna zrozumiała wszystko. Ale zostać samej w sypialni wydawało się jej jeszcze straszniejsze.

— Puść, Włodeczku! Nie mogę zasnąć. Boję się bez ciebie — mówiła, drżąc od zimna i upokorzenia. A on stał przed nią, kosmaty, w samej bieliźnie i zagradzał wejście swoim ogromnym, rozrośniętym ciałem.

Maryna nazywała go pępuszkiem i kociaczkiem (a jakież z niego kociaczek? — nie kociaczek, tylko prokurator), prosiła się do niego na otomanę (widzisz ją! już wywąchała!) i obiecywała nie gniewać się za hałas, rozlegający się po całym mieszkaniu. Brała jego ręce, ciężkie jak wiosła i, rozpiąwszy szlafrok, kładła je sobie na piersi, przyciskała do bioder. Pokonywując wstręt, Maryna gładziła swoje ciało jego dłońmi, ale gdy je puszczała, zaraz opadały obojętnie. A gdy spróbowała zepchnąć go z progu i siłą wejść do gabinetu, Włodzimierz Piotrowicz po prostu zrobił krok tam, gdzie Maryna kręciła się na daremnie, odsunął ją wstecz i zamknął drzwi.

...Butelki były pod stołem. Ale dziewczynki pod kitem nie znalazł. Prawdopodobnie, kołyszając ją, zbyt czule ścisnął brzuszek i niechcący rozgniół. Lub, co prawdopodobniejsze, porwano ją, podczas gdy zawracał sobie głowę Maryną.

No, oczywiście! Jakże mógł nie domyśleć się od razu? To Maryna wszystko urządziła. Raz już zabiła jego córkę, a teraz znowu o to samo jej chodziło, tej szlai! Nie daremnie czuliła się, chciała na otomanę. Widzicie, otomana jej potrzebna!

A gdy już wykrył wszystkie jej chody, Maryna nastąpiła lekarzy-morderców z samym Rabinowiczem na czele. Swoimi wdziękami odwracała uwagę, a tymczasem, za jego plecami mordercy w białych kitlach rozdeptali święty sztandar nauki, dokonywując swoich mrocznych czynów.

W szafie ktoś siedział, nie poruszając się. Włodzimierz Piotrowicz zdjął ze ściany kozacką szablę z hartowanej kaukaskiej stali, szablę z jego nazwiskiem, ofiarowaną na dowód uznania przez 4-ty konno-gwardyjski pułk.

Szafa poddała się już po dwóch ciosach. Tylko brzęczało szkło, leciały drzazgi i ze ścian sypała się sztukateria. A wrogowie, wysliznąwszy się oszukańczą drogą, pochowali się w szczelinach, okopali się po wszystkich kątach.

Daremnie Maryna krzyczała pod drzwiami, żeby natychmiast przerwał dziką awanturę, groziła, że ucieknie z domu,

że go zdradzi, że popełni samobójstwo, albo doniesie do organizacji partyjnej, że jest alkoholikiem. Nie, już mnie nie zwiedziesz ! Już twoje sposoby znane są całemu światu ! Więc w radosnym rozwścieczeniu rąbał, kłuł, szlachtował wszystko, co trafiło pod rękę.

Nie było mu szkoda ani karelskiej brzozy, ani kryształów, ani poduszek z puchu. I po cóż te nędzne sprzęty ? Skoro wrogowie przedostali się do twego domu, trzeba zniszczyć wszystko dokoła i zetrzeć z oblicza ziemi nawet sam dom wraz z wrogami, którzy w nim zasiedli.

Szabla odskoczyła od ściany, boleśnie uderzyła go po głowie i stłukła żyrandol. Ale i w mroku, zalany krwią, w dalszym ciągu zadawał ciosy w powietrze, w pustkę — wszędzie gdzie przyczaili się wrogowie.

Prokurator skończył, utrudzony, i podszedł do biurka, zrąbanego wszerz i wzdłuż. Tam, koło okna bieląło w ciemności cudem ocalałe popiersie. Prokurator włożył szablę w pochwę i złożył meldunek :

— Władco ! Wrogowie uciekają ! Zabili moją córkę, ukradli syna. Żona mnie zdradziła, a matka wyrzekła się. Ale oto stoję przed tobą, cały w ranach, opuszczony przez wszystkich, i mówię : — Cel osiągnięty ! Zwyciężyliśmy ! Słyszysz, Władco — zwyciężyliśmy ! Czy słyszysz mnie !

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Władca — umarł.

Od razu uczyniła się pustka. Przyszła chęć usiąść i, podniósłszy twarz ku niebu, zawyc tak, jak wyją bezdomne psy.

Teraz te pozbawione władcy psy włóczą się po całej ziemi i wachają powietrze : zateśniły. Nigdy nie szczekają, tylko warczą. Z podwiniętym ogonem. A jeśli zaczynają poruszać ogonami, to tak — jak gdyby płakały.

Na widok człowieka odbiegają na stronę i długo patrzą — czy to nie on ? — ale nie podchodzą.

Czekają, zawsze czekają i kogoś tam błagają przeciągłym spojrzeniem : — O, przyjdź ! Nakarmij ! Uderz ! Bij, ile chcesz (niezbyt mocno, bardzo proszę !) Ale koniecznie przyjdź !

I ja wierzę : on przyjdzie, sprawiedliwy i surowy. Zmusi do skomlenia z bólu i podskakiwania na łańcuchu. A ty podpełzniesz do niego na brzuchu, zajrzysz w oczy i położysz mu na kolanach kosmaty łeb. A on będzie klepać po nim dłonią, śmiać się i mrużyć coś uspokajającego w swoim przemądrzałym, władczym narzeczu. A kiedy uśnie, będziesz strzec jego domu i ujadać na wszystkich przechodniów...

Tu i tam już słyhać skomlenie :

— Spróbujmy żyć na wolności i zabawiać się po wilczemu.

Ale ja wiem, zbyt dobrze wiem, że one żarły przedtem, te sprzedajne bydłaki — te pudle, pekińczyki i mopsy. Ja nie chcę wolności. Potrzebuję Władcy.

Ach, jakaż pieska tęsknota ! Gdzież zaspokoję swój przesywający, przydługi, w ciągu tylu lat nienasycony głód ?

Ileż ich zagubionych w świecie, bezdomnie włóczących się psów !

O, suki o podłużnych oczach i wąskich, kąśliwych mordach ! O, doświadczone, złe, samotne samce !



Obmyli go, zabalsamowali, położyli na cokole.

Niezliczone tłumy biegły ku niemu — pożegnać się i popatrzeć. Wlewały się ze wszystkich ulic na ściśniętą domami przestrzeń i tam utykały.

Wyjście było tylko jedno — tamtędy, gdzie wśród kwiatów, otoczone wartą, spoczywały martwe zwłoki.

Ale tam nie puszczano : oczekiwano rozkazu. A rozkazów ciągle nie było. Bowiem ten, który rozkazywał, leżał teraz martwy.

Plac, wydeptany nogami, stał się ciasny. Nie mógł pomieścić tylu ludzi, pragnących pożegnać się i popatrzeć. A ludzie wciąż przybywali, z każdą minutą było ich coraz więcej. I kiedy otwarło się wąskie przejście, było już za późno. Ktoś huknął na cały głos, rad że ma okazję rozedrzyć dźwięczną grdykę :

— Chłopcy ! Zdradzono nas ! Jesteśmy — w dupie !

I tu dopiero zaczęto dusić się w tłoku.



Na żądanie Maryny okno zawieszono dywanem i zgaszono światło. Wzrok przeszedł w końce palców. Jerzemu wydawało się, że palce pomrują.

Rozbierając Marynę, mógł sprawdzić jak skomplikowana jest jej budowa : arki, absydy, kopuły. Cebule prawosławnych katedr, przypominające piersi, strzeliste bramy, jak brzuch, zaostrowany ku dołowi.

Ale wszędzie przeważała gitara : ramiona, kibić, miednica. Nie próżno Picasso tak lubi gitarę i skrzypce : to kobiece ciało w przekroju.

Lecz pożądania — nie było.

Jerzy przypomniał sobie, z jaką niecierpliwością włókł się do tego celu, jakie środki stosował, byle go osiągnąć... A teraz pożądania — nie było.

— A jeżeli w ogóle nic z tego nie wyjdzie ? — zatrwożył się, rozumiejąc, że nie wolno mu denerwować się, że mężczyzna

powinien być w takich wypadkach spokojny, jak sztukmistrz, od którego oczekują różnych cudów. I w coraz większym strachu przed swoim zdenerwowaniem, chwycił się rękami za absydy, kopuły i arki, rozłożone przed nim. Już nie prawdziwą namiętność, lecz odrobinę pożądania starał się wyjęczeć u swego bezsilnego ciała, które go zdradziło tak haniebnie, tak głupio w takiej ostatecznej chwili.

Sprężyny łóżka zadźwięczały siedmiostrunną gitarą.

Jerzy zacisnął zęby i natężył się, jak gdyby podnosił kule, każda trzypudowej wagi. Wreszcie wywołał w pamięci paczkę pornograficznych zdjęć, leżących od dawna w tajemnej skrytce, i, przebierając w myśli najbardziej nieprzyzwoite, modlił się do Boga: — Panie! Dopomóż!

A idealnie zbudowana kobieta leżała nieruchomo obok niego, pozwalając mu zadrzeć się nad nią, ile zechce. Z całej opustoszałej duszy, całym ciałem, omdlewającym od nadaremnej roboty, Jerzy nienawidził jej — już zdobytej, lecz niedostępnej — marząc tylko o tym, żeby ją wypędzić z największą rozkoszą, gdy tylko będzie to możliwe.

— No, cóż, Jerzy Michajłowiczu, osiągnęliście swój cel? — kpiąco zapytała Maryna. — Dlaczegoż tak zwlekacie?

Jerzy nie odpowiedział. Zamknął oczy, chociaż w zupełnej ciemności nie miało to żadnego sensu.



Prokurator nie bardzo rozumiał, jak się to mogło wydarzyć. Stał spokojnie, razem ze wszystkimi, czekając aż zaczną puszczać, i nagle zorientował się, że tłum unosi go po linii krętej, przez plac, ku przejściu, wąskiemu jak strzelecki rów.

Wystarczyło dotrzeć do niego, a już dalej otwarta była prosta droga do środka miasta, gdzie wśród kwiatów, na cokole spoczywał zmarły Władca. Prokurator wedle swoich sił pomagał ciągnąć się w tym kierunku, chociaż przebierać nogami w tym tłoku było równie trudno, co przemawiać z pełnymi ustami.

Ale im szybciej zbliżał się do celu, tym bardziej znosiło go na bok. A linia zakręcała i zakręcała, waląc go z nóg.

Ludzie przepychali się jeden przez drugiego, potykali się, przewracali. Na miejsce jednego powalonego wstawało pięć-

ciu nowych. Walka nie zacihała. Każdy starał się dostać do przejścia, wąskiego jak strzelecki rów.

Prokurator był zanadto solidnym człowiekiem, żeby brać udział w bójce. Nie pchał się, nie rozpychał, nie wymyślał. I nagle czyjaś można dłoń, szeroka jak ten plac, uchwyciła go wpoprzek ciała, zacisnęła w pięści, że ledwie się nie udusił, i, uniósłszy nieco nad ziemię, zaczęła nim młócić na lewo i na prawo.

— Puść! Boli! — jęczał prokurator. — Przecież tu sami swoi. Nie ponoszą żadnej winy. Jest tu wiele kobiet, dzieci, są nawet inwalidzi wojenni, którzy dali ci sławę.

Ale dłoń nie wypuszczała go z chwytliwych, martwo zacisniętych palców. Cierpiąca i rozwścieczona, waliła nim jak kłonicą w tłum, wyjący z bólu.



Spieszyć się nie było po co. Maryna powstała koło budki, gdzie sprzedawano dzienniki, żałobne niby kobiety z rzesami, podczernionymi tuszem. Potem odwróciła się plecami do łokuczliwej ulicy i oglądała nieoświetloną wystawę sklepu z kosmetykami.

Zobaczyła w niej siebie, jak w kiepskim lustrze. Przechodzili po niej ludzie, jechały trolejbusy, przebijane na wylot flaszeczkami perfum i piramidami różnobarwnych mydełek.

— Od tych wszystkich środków psuje się uroda — pomyślała, patrząc spode łba na własne odbicie. Ale jej twarz zamącona wstydem i złością, rozdeptywana przez cienie przechodniów, była jeszcze dostatecznie piękna.

— Zaraz jutro wypróbuję argentyńską pomadkę do ust — zdecydowała Maryna.



Udało mu się uciec. Skaleczył sobie nogę, przelazł przez ogrodzenie bulwaru i bez czapki schronił się pod ciężarówkę... Bulwar był przestronny i pusty.

— Dziewczynkę, dziewczynkę stratowali! — z daleka dobiegał krzyk.

W zaułku, ogarniętym półmrokiem, zebrali się ci, którym udało się wyrwać z tłumy.

— Stratowali ! Stratowali !

— To nie chodzi o moją. Moja sama upadła. Nikt jej nie tratował. I okulary jej rozbili wcześniej niż ja i jeżeli o wiek chodzi. wcale nie dziewczynka, tylko pełnoletnia.

— Dziewczynka, dziewczynka — uparcie zapewniali w tłumie. — Należy zatrzymać winowajcę... Pod ciężarówkę się wczółgał... Czego gęby otwieracie ? Winowajcę, winowajcę...

— Moja — sama winna. Niech się nie pcha pod nogi. Sam także upadłem. A winnych tu nie ma. Bez ofiar obejść się nie można. A wszystko w imię celu.

Nie miał już siły iść dalej. Położył się, by odpocząć, na śniegu, ciepłym jak parujące mleko. W sąsiedztwie, między zaspami, wciąż szukali winowajcy, radzili o nieznaną dziewczynce :

— Może to szkodnik jaki, dywersant, wróg ludu ? Czy to nie on sztuczny tłok sprowokował ? Milicję należałoby zawołać ! Śledczego, prokuratora ! Pod sąd takich trzeba ! Pod sąd !

E P I L O G

Niedaleko rzeki Kołomy, za pagórkiem kopaliśmy rów — Sierioża, Rabinowicz i ja.

Przybyłem do tego obozu później, niż tamci — w lecie pięćdziesiątego szóstego roku. W pewnej wysokiej instancji zainteresowano się moją powieścią, do zakończenia której brakowało mi tylko epilogu. W nieszczęście wklepała mnie wspomniana powyżej draga, zainstalowana w asenizacyjnej rurze mojego domu. Bruliony, które codziennie uczciwie wrzucałem do sedesu, bezpośrednio dostawały się na biurko sędziego śledczego, Skromnych. I chociaż ważna osobistość, której rozkaz wykonałem, być może niedostatecznie dokładnie, w owym czasie już nie żyła, a nawet uległa przewartościowaniu ze strony szerokiej opinii społecznej, jednak dostałem się w śledztwo za kalumnię, pornografię i rozgłaszanie tajemnic państwowych.

Nie zapierałem się: dowody były niezbite. A przy tym Włodzimierz Piotrowicz Głobow, wezwany w charakterze świadka, przedstawił dokumenty, ponad wszelką wątpliwość udowadniające moją winę. Jak ustaliło śledztwo, wszystko, co napisałem, było owocem złośliwego zamysłu, nieuzasadnionego wymysłu i chorej wyobraźni.

Specjalne zarzuty wywołał fakt, że bohaterzy pozytywni (prokurator Głobow, adwokat Karlinskij, gospodyni domu Maryna, dwóch młodzieńców w cywilu) zostali przedstawieni nie dość wszechstronnie w ich praktyce życiowej, lecz ze złośliwą satysfakcją pokazania czytelnikowi od nietypowej strony. Natomiast osoby negatywne (morderca dzieci Rabinowicz, dywersant Sierioża i jego współpracowniczka, Katia, która zbyt późno uświa-

domiła sobie swoje błędy, za co została stratowana przez wzburzony lud), chociaż w moim oszczerczym utworze poniosły zasłużoną karę, nie zostały zdemaskowane do reszty w swojej reakcyjnej istocie.

Nie licząc na pobłażanie, prosiłem tylko, aby, wzięwszy pod uwagę przeprowadzoną krytykę, pozwolono mi przynajmniej w epilogu wprowadzić pewne poprawki, rzucające właściwe światło na moje postacie. Pozwolono mi to uczynić, ale w ramach procesu własnej reedukacji, bez odrywania się od ziemnych robót, przewidzianych na Kołymie.

Kiedym się dostał, wkrótce dołączyłem do Sierioży i Rabinowicza. Nie było trudno osiągnąć umieszczenie we wspólnej ziemiance i pod wspólną strażą. Po amnestii obóz opustoszał. Takich ciężkich przestępców, jak my, pozostało tu ledwie jakieś dziesięć tysięcy. Władza złagodniała i postanowiła utworzyć brygadę szturmową w składzie trzech ludzi, przydzieliwszy nam osobistego konwojenta z dobrym automatem.

Zresztą w naszej brygadzie przodownikiem pracy stał się jedynie Sierioża, który uważał za konieczne przyspieszać nadzieje wspaniałej przyszłości. Rabinowicz i ja z uwagi na nasz starczy wiek, nie mogliśmy za nim nadażyć.

Sierioża z zaciętkim zapalem wpajał w nas zasady nowej moralności. Czterystugramową rację chleba, otrzymywaną przeze mnie co dzień, dodawano do takich samych racyj moich przyjaciół. Całym wspólnym chlebem zawiadywał Rabinowicz, a podczas obiadu dzieliliśmy kilogram i dwieście gramów na trzy równe części. Dziwiłem się.

— Jakiż z tego pożytek? Tak czy owak, każdy z nas zjada swoje czterysta gramów, a nawet mniej, bo Rabinowicz potajemnie odgryza od cudzych porcyj po kawałeczku.

— Nie szkodzi, nie szkodzi! — podnosił we mnie ducha Sierioża. — Racja chleba nie jest ważna, ważna jest zasada równego podziału żywności.

Kiedyś, wygrzebując łopatą zmarzniętą ziemię, wybrałem odpowiednią chwilę.

— Jak tam, Sierioża, cóż pisze ze stolicy wasz szanowny tatuś?

Wzruszył ramionami z udaną obojętnością.

— Bajkopisarzu (z uwagi na mój dawny zawód, nazwano mnie tu bajkopisarzem), my nie prowadzimy ze sobą korespondencji. Babcia zawiadamiała jakoś — otrzymał awans.

— A widzicie, Sierioża ! — zawołałem, ciesząc się, że trafia się okazja porozmawiania na przejmujący mnie temat. — Widzicie, jakie wyżyny osiągnął ten państwowy działacz ! Możecie nie wątpić w moją szczerłość, kocham Waszego ojca dawną, nierozzerwalną miłość. Jakże wysoko cenię Jemieljana Pugaczowa, który przybrał postać Aleksandra Suworowa, huk czołgów na kamiennym bruku, oszalały ryk głośników radiowych — całą wytworną niezdarność naszej bohaterskiej epoki, która dumnym pochodem idzie przez ziemię, podzwaniając orderami i medalami.

I jeżeli wbrew wskazówkom, otrzymanym z góry, nie ochroniłem Waszego taty własnym chuderlawym ciałem, to, proszę mi wierzyć, jednak szukałem okazji, by dokonać tego heroicznego czynu, ale okazja uratowania Waszego tatusia nie zdarzyła się. On sam wszystkich ratował, sam wszystkich prześladował. Ach, gdyby tak próbowano go ukamienować ! Z jaką radością umarłbym za niego i zamiast niego ! Ale go nie kamienowano...

Niewątpliwie, moje wyznania sprawiały Sierioży przykrość, bo zmienił temat rozmowy.

— Tak, bajkopisarzu. Ojciec uznał mnie za odstępcę od wiary. A za to macocha, Maryna Pawłowna, któż by mógł pomyśleć ! Wczoraj otrzymałem od niej paczkę.

— Poznaję was, rosyjskie kobiety ! — zachwyciłem się, łykając ślinkę. — Od czasów dekabrystek ! Księżna Wołkońska Trubieckaja. Pamiętacie — jak to u Niekrasowa : „Rozpędzonego konia zatrzyma, do płonącego wejdzie domu”. A paczka co zawiera ?

— Pudełko czekoladek z likierem.

— I to wszystko ?

— Wszystko.

Cóż było robić. Dobrze, że choć z likierem. Podarowaliśmy naszemu konwojentowi połowę paczki, a sami, nie wylażąc z rowu, urządziliśmy luksusowy piknik.

Rabinowicz, jak zwykle, zabawiał nas w chwilach odpoczynku. W ostatnich czasach działo się z nim coś dziwnego. Pyć może, zwariował z powodu lekarzy-morderców, których uznali za niewinnych, Rabinowicza sądzono w związku z ich sprawą, a potem nie wiadomo dlaczego zapomniano go zrehabilitować. Ale najprawdopodobniej i po prostu z wrodzoną żydowską chy-

trością udawał nienormalnego, pamiętając, że u nas do nerwowo chorych ustosunkowują się pobłażliwie i bardzo często wypuszczają do domu wariatów.

W każdym razie od pewnego czasu to co mówił, było ciemne i mało zrozumiałe. Ciągłe rozprawiał o Bogu, o historii, o jakichś tam celach i środkach. Niekiedy wychodziło bardzo zabawnie

Właśnie i teraz, zjadłszy ostatnią czekoladkę, Rabinowicz wyciągnął spod watowanej kacabai jakieś żelastwo, pokryte ziemią i rdzą.

— Nu, obywatelu bajkopisarzu, a to jak się Wam podoba ? — zwrócił się do mnie, bezmyślnie uśmiechnięty.

— Archeologiczne odkrycie ! — ucieszył się Sierioża i z miejsca zaczął fantazjować ! — Tędy podróżował w jakimś tam szesnastym wieku, czy może wcześniej nawet, nieznanym nikomu Jermak. Kto wie — może dotarł do samej Ameryki ! Uprzedził Krzysztofa Kolumba ! Trzeba to do muzeum, pod szkło, dla podtrzymania pierwszeństwa !

— Pierwszeństwo nie ulega wątpliwości, jednakże, wypadnie oddać władzy — rozumowałem. — Bądź co bądź, sieczna broń.

Był to miecz, do połowy przeżarty wilgocią, z masywną rękojeścią w kształcie krucyfiksu.

— Jak się to Wam podoba ? — dopytywał się Rabinowicz. — Zwróćcie uwagę, dokąd Boga przytaranili. Żeby było za co trzymać mężobójczy oręż ! Powiecie może, że nie ? Był celem, a stał się środkiem. Żeby chwycić było poręczniej. A miecz — odwrotnie : był środkiem, stał się celem. Zamienili się miejscami. Aj-ja-jaj ! Gdzie teraz Bóg, gdzie miecz ? W przedwiecznej zmarzliźnie i miecz i Bóg.

— Dajcie sobie spokój z Waszymi religijnymi przeżytkami — powiedziałem, odsuwając się z obawą (widać, nie na próżno trafił tu ten obywatel Rabinowicz). — Całemu światu wiadomo — żadnego Boga nie ma. Należy wierzyć w dialektykę, a nie w Boga.

Jakże się spłoszył ten chuderlawy Żyd, ostrzyżony na zero w porwanych, oblepionych błotem porciętach, z tym rdzawym mieczem pod pachą.

— A ja co mówię ? Czy ja się sprzeczam ? Nigdy w życiu.

Schwyciwszy miecz oburącz, podniósł go jak parasol i zaczął nim żgać prosto w niebo, nawisłe nad naszym rowem.

— W imieniu Boga ! Z pomocą Boga ! Zamiast Boga !
Przeciw Bogu ! — powtarzał, jakby był prawdziwym szaleń-
cem. — I oto Boga nie ma. Została tylko dialektyka. Czym
prędzej dla nowego celu kujcie nowy miecz !

Chciałem mu odpowiedzieć, gdy nagle żołnierz, który nas
chronił przed ucieczką, obudził się na swoim pagórku i krzyknął:

— Ej, wy tam, w rowie ! Dosyć jęzoramami obracać ! Praco-
wać trzeba !

Zgodnie chwyciliśmy za łopaty.

CO TO JEST
REALIZM SOCJALISTYCZNY ?

I

Co to jest realizm socjalistyczny? Co oznacza to dziwne, kłujące uszy zestawienie? Czy realizm może być socjalistyczny, kapitalistyczny, chrześcijański, mahometański? I czy w ogóle istnieje w naturze to irracjonalne pojęcie? Może go nie ma? Być może, wszystko to sen, który przywidział się wystraszonemu inteligentowi ciemną, zaczarowaną nocą stalinowskiej dyktatury? Ordynarna demagogia Żdanowa, czy starcze dziwactwo Gorkiego? Fikcja, mit, propaganda?

Jak słyszeliśmy, pytania tego rodzaju często powstają na Zachodzie, są gorąco omawiane w Polsce, pojawiają się w naszym środowisku, podniecając bardziej namiętne umysły, wpadające w herezję zwątpienia i krytykanctwa.

A w tym samym czasie sowiecka literatura, malarstwo, teatr, film wychodzą z siebie, by udowodnić własne istnienie. A w tym samym czasie produkcja soc-realistyczna reprezentuje miliardy zadrukowanych arkuszy, kilometry płótna i filmowej taśmy, stulecia godzin. Tysiące krytyków, teoretyków, specjalistów od sztuki, pedagogów łamią sobie głowy i wyężdżają głos, żeby ustalić, wyjaśnić i wytłumaczyć materialistyczną istotę i dialektyczny byt tego soc-realizmu. A i sama głowa państwa, pierwszy sekretarz KC, odrywa się od najpilniejszych gospodarczych spraw, by wypowiedzieć ważne słowo na temat estetycznych zagadnień kraju.

Najbardziej dokładną definicję realizmu socjalistycznego daje Statut Związku Pisarzy Sowieckich: „Realizm socjalistyczny, stanowiący podstawową metodę sowieckiej literatury pięknej i krytyki literackiej, żąda od twórcy autentycznego, osadzonego w historycznych konkretach przedstawienia rzeczy-

wistości w jej rewolucyjnym rozwoju. Przy tym autentyczność i konkretna historyczność artystycznego przedstawienia rzeczywistości powinny iść w parze z zadaniem ideowego przekształcenia i wychowania ludzi pracy w duchu socjalizmu”¹.

Ta niewinna formuła stała się fundamentem, na którym wzniesiono cały gmach soc-realizmu. Włączono w nią i związek realizmu socjalistycznego z realizmem przeszłości i odróżniającą się od niego nową wartość. Związek polega na a u t e n t y z m i e przedstawienia, różnica — na umiejętności uchwytowania r e w o l u c y j n e g o rozwoju życia i wychowania czytelników i widzów w zbieżności z tym rozwojem — w d u c h u s o c j a l i z m u . Dawni, czy też, jak się ich często określa, krytyczni realiści (ponieważ krytykowali społeczeństwo burżuazyjne) — Balzac, Lew Tołstoj, Czechow — przedstawiali życie zgodnie z prawdą, takie jakie było. Ale nie znali oni genialnej nauki Marksa, nie mogli przewidzieć nadchodzących zwycięstw socjalizmu, a już w każdym razie nie mieli pojęcia o realnych, konkretnych drogach, prowadzących ku tym zwycięstwom. W tym tkwiła ich tragedia, „historyczne ograniczenie”.

Natomiast realista socjalistyczny jest uzbrojony w naukę Marksa, wzbogacony doświadczeniem walk i zwycięstw, natchniony nigdy nie słabnącą czujnością swego przyjaciela i nauczyciela — partii komunistycznej. Przedstawiając współczesność, słyszy on pochód historii, zagląda w przyszłość. Ogląda niedostępne dla zwykłego oka, „dostrzegalne oblicze komunizmu”. Jego twórczość to krok naprzód w zestawieniu ze sztuką przeszłości, najwyższy szczyt w artystycznym rozwoju ludzkości, najbardziej realistyczny realizm.

Tak w kilku słowach wygląda ogólny schemat naszej sztuki — zadziwiająco prosty, a jednocześnie dostatecznie elastyczny, żeby zmieścić i Gorkiego i Majakowskiego, i Fadiejewa, i Gorkiego i Erenburga, i setki innych, wielkich i małych soc-realistów. Ale niczego z tej koncepcji nie zrozumiemy, jeśli będziemy ślizgać się po powierzchni suchej formuły i nie wmyślimy się w jej głęboki, ukryty sens.

U podstaw tej formuły — „autentyczne, osadzone w historycznych konkretach przedstawienie rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju” — zakłada się pojęcie celu, tego wszechobejmującego ideału, w którego kierunku niezmiennie i

1. „Pierwszy Wszeczwiązkowy Zjazd Pisarzy Sowieckich”. 1934. Sprawozdanie stenograficzne. Moskwa, 1934, str. 716.

rewolucyjnie rozwija się zgodnie z prawdą przedstawiana rzeczywistość. Utrwalanie ruchu do celu i współdziałanie ze zbliżaniem się do celu, przy jednoczesnym przerabianiu świadomości czytelnika w zgodzie z tym celem — oto zadanie podjęte przez realizm socjalistyczny — najbardziej celową, kierunkową sztukę współczesności.

Cel — to komunizm, znany w swej młodości pod nazwą socjalizmu. Poeta nie tylko pisze wiersze, ale i pomaga swymi wierszami w budowaniu komunizmu. Jest to równie naturalne, jak i to, że obok niego analogiczny trud podejmuje rzeźbiarz, muzyk, agronom, inżynier, niewykwalifikowany robotnik, milicjant, adwokat i wszyscy inni ludzie, a także maszyny, teatry, armaty, gazety.

Jak cała nasza kultura, jak całe nasze społeczeństwo, tak i nasza sztuka jest do szpiku kości teleologiczna. Jest podporządkowana wyższemu przeznaczeniu i przez to uszlachetniona. W ostatecznym rachunku żyjemy tylko po to, aby jak najszybciej zrealizować Komunizm.

Naturze ludzkiej właściwe jest dążenie do jakiegoś celu. Wyciągam rękę w tym celu, by otrzymać pieniądze. Idę do kina w tym celu, by spędzić czas w towarzystwie ładnej dziewczyny. Piszę powieść w tym celu, by zyskać sławę i zyskać wdzięczność potomstwa. Każdy mój świadomy ruch jest podporządkowany jakiemuś celowi.

Tak daleko idące zamiary nie są właściwe zwierzętom. Zamiast tego posiadają one instynkty, które działają szybciej niż nasze marzenia i obliczenia. Zwierzęta gryzą, ponieważ gryzą, a nie w celu ugryzienia. Nie myślą o jutrzejszym dniu, o bogactwie, o Bogu. Żyją, nie stawiając przed sobą żadnych skomplikowanych zadań. A człowiekowi koniecznie potrzeba czegoś takiego, czego nie posiada.

Ta właściwość naszej natury znajduje ujście w gorączkowej, pracowitej działalności. Przerabiamy świat według naszego podobieństwa, przyrodę przetwarzamy na rzecz. Bezcelowe rzeki zamieniły się na drogi komunikacyjne. Bezcelowe drzewo stało się papierem, spełnieniem przeznaczeń.

Równie teleologiczny charakter posiada nasza zdolność oderwanego myślenia. Człowiek poznaje świat i przydaje mu swoją własną celowość. Zapytuje: „po co potrzebne jest słońce?” — i odpowiada: „po to, żeby świeciło i grzało”. Animizm pierwotnych narodów — to pierwsza próba zaopatrzenia

bezmyślnego chaosu mnóstwem celowych ustanowień, zainteresowania obojętnego wszechświata interesownym ludzkim życiem.

Nauka nie uwolniła nas od dziecinnego pytania : „po co ?” Poprzez związki przyczynowe, przez nią wprowadzone widać ukrytą, zniekształconą celowość zjawisk. Nauka powiada : „człowiek pochodzi od małpy”, zamiast powiedzieć : „przeznaczenie małpy — być podobną do człowieka”.

Niezależnie od tego, jak powstał człowiek, jego zjawienie się i los są nieoddzielne od Boga. To wyższe pojęcie celu, dostępne jeśli nie naszemu pojęciu, to przynajmniej naszemu życzeniu, aby taki cel istniał. To konieczny cel wszystkiego, co istnieje i nie istnieje, i nieskończony (prawdopodobnie bezcelowy) cel sam w sobie. Albowiem jakie cele może posiadać Cel ?

W historii zdarzają się okresy, kiedy obecność Celu staje się oczywista, kiedy drobne namiętności zostają pochłonięte przez dążenie ku Bogu, który zaczyna otwarcie przyzywać ludzkość ku sobie. Tak powstała kultura chrześcijańska, uchwytyjąc Cel w jego znaczeniu, być może, najmniej dostępnym. Następnie epoka indywidualizmu ogłosiła swobodę jednostki i zaczęła ją uwielbiać jako Cel, za pośrednictwem renesansu, humanizmu, nadczłowieka, demokracji, Robespiera i wielu innych modlitw. Obecnie wstąpiliśmy w erę nowego, wszechświatowego systemu — celowości socjalistycznej.

Z jej szczytu, oglądanego w myślach, splywa oślepiające światło. „Wyobrażany świat, bardziej materialny i odpowiadający ludzkim potrzebom, niż chrześcijański raj...” — tak nazwał kiedyś komunizm sowiecki pisarz, Leonid Leonow.

Brakuje nam słów, aby opowiadać o komunizmie. Zachłystujemy się od zachwyty i, aby pokazać oczekujące nas wspańiałości, w zasadzie stosujemy negatywne porównania. W owym komunizmie nie będzie bogatych i biednych, nie będzie pieniędzy, wojen, więzień, granic, nie będzie chorób i, być może, nie będzie nawet śmierci. Każdy będzie jeść, ile zechce, pracować, ile zechce, a praca, zamiast cierpień, przyniesie samą radość. Zgodnie z obietnicą Lenina, porobimy klozety z czystego złota... I w ogóle co tu dużo mówić !

*Byście obejrzeć mogli tamten świat,
opowieść z jakich słów i barw mam utkać ?
Tam jak dziewica każda prostytutka
i czuły, jako matka, nawet kat !*

Umysł współczesnych nie jest zdolny wyobrazić sobie cośkolwiek piękniejszego i bardziej wzniosłego od komunistycznego ideału. Jedyne, na co potrafi się zdobyć to puścić w ruch stare ideały w postaci chrześcijańskiej miłości, lub kultu swobodnej jednostki. Ale wysunąć jakiś cel, bardziej świeżej daty, na razie nie jest w stanie.

Zachodni liberał-indywidualista, albo rosyjski inteligent-sceptyk znajdują się w stosunku do socjalizmu zupełnie na takiej samej pozycji, jaką zajmował w stosunku do zwyciężającego chrześcijaństwa mądry, kulturalny rzymski patrycjusz. Nazywał on nową wiarę w ukrzyżowanego Boga barbarzyńską i naiwną, śmiał się z wariatów, którzy uwielbiają krzyż — tę rzymską gilotynę, i uważał za nonsens naukę o Trójcy Świętej, Niepokalanym Poczęciu, Zmartwychwstaniu i tak dalej. Ale nie czuł się na siłach wysunąć jako tako poważnych argumentów przeciw istocie chrystusowego i d e a ł u . Prawda, mógł jeszcze twierdzić, że najlepsze w moralnym kodeksie chrześcijaństwa wzięte zostało od Platona (współcześni chrześcijanie także twierdzą nieraz, że swój szlachetny cel komuniści wyczytali u Platona). Ale nie mógł oświadczyć, że Bóg, pojęty jako Miłość i Dobro — to zło, nikczemność, potworność. I czyż możemy powiedzieć, że powszechne szczęście, obiecane w komunistycznej przyszłości — jest złe ?

*Czyż nie wiem, że dławiącym się w udreće
nigdy by w dziejach jasny świt nie nastął,
i czyliż dla mnie szczęście stu tysięcy
nie będzie bliższe szczęścia kilkunastu ?*

(Borys Pasternak)

Brak nam siły, by obronić się przed czarującym pięknem komunizmu. Żyjemy zbyt wcześnie, aby wymyśleć nowy cel, aby wyskoczyć z siebie — w komunistyczne oddale.

Genialne odkrycie Marksa polegało na tym, że potrafił on udowodnić, iż ziemski raj, o którym wielu marzyło już przed nim, — to cel, wyznaczony ludzkości przez sam los. Z dziedziny moralnych dążeń poszczególnych jednostek („gdzieżeś, wieku złoty ?”) komunizm z pomocą Marksa wyszedł na scenę historii powszechnej, która odtąd osiągnęła niebywałą celowość i przekształciła się w dzieje dojścia ludzkości do komunizmu.

I wszystko od razu znalazło się na swoim miejscu. Żelazna konieczność, surowy, hierarchiczny porządek okuły potok stu-

leci. Małpa wstała na tylne łapy i rozpoczęła triumfalny pochód ku komunizmowi. Pierwotny gromadzki ustrój był potrzebny, bo z niego wyszedł ustrój niewolniczy; ustrój niewolniczy był potrzebny dla zjawienia się feudalizmu; feudalizm był konieczny, aby zaczął się kapitalizm; kapitalizm znowu był niezbędny dla powstania komunizmu. Wszystko! Przepiękny cel osiągnięty, piramida ukoronowana, historia dobiegła kresu!

Prawdziwie religijny człowiek zawsze sprowadza różnorodność życia do swego bóstwa. Po to właśnie wierzy w swój Cel, aby odrzucać wszystkie pozostałe cele. Taki sam fanatyzm, czy, jeśli wolicie, pryncypializm przejawia się w stosunku do historii. Konsekwentny chrześcijanin, jeśli tylko chce być konsekwentnym, całe życie świata przed Narodzeniem Chrystusa powinien uważać za wstęp do historii Jezusa Chrystusa. Z punktu widzenia monoteisty poganie istnieli tylko po to, aby doświadczyć na sobie woli jedyne Boga, i w końcu, po przejściu odpowiedniego przygotowania, przyjąć jedynobóstwo.

Czyż można wobec tego dziwić się, że w innym systemie religijnym starożytny Rzym stał się niezbędnym etapem na drodze ku komunizmowi, a krzyżowe wyprawy tłumaczą się nie „same przez się”, nie jako płomienne porywy chrześcijaństwa, lecz poprzez rozwój handlu i przemysłu, przez akcję wszędobylskich sił produkcyjnych, warunkujących obecnie bankructwo kapitalizmu i triumf socjalistycznego ustroju? Prawdziwa wiara nie godzi się z tolerancją. Podobnie nie godzi się z historyzmem, to jest tolerancją w stosunku do przeszłości. I chociaż marksiści nazywają siebie historycznymi materialistami, ich historyczność sprowadza się jedynie do tendencji rozpatrywania życia w ruchu ku komunizmowi. Inne ruchy nie wiele ich interesują. Czy mają rację — to sprawa sporna. Natomiast rzecz bezsporna, że są konsekwentni.

Wystarczy zapytać człowieka z Zachodu, po co była potrzebna Wielka Rewolucja francuska, a otrzymamy mnóstwo różnorodnych odpowiedzi. Wydaje mi się (być może, tylko wydaje się), że jeden odpowie, iż była potrzebna dla ratowania Francji, drugi — żeby wtrącić naród w topiel moralnych doświadczeń, trzeci powie, że rewolucja ustaliła w świecie świetne zasady wolności, równości i braterstwa, czwarty zareplikuje, że francuska rewolucja w ogóle nie była potrzebna. Ale zapytajcie którego bądź sowieckiego uczniaka, nie mówiąc już o osobach bardziej wykształconych, a każdy da wam dokładną i wyczerpującą odpowiedź: Wielka Rewolucja francuska była

potrzebna, aby otworzyć drogę kapitalizmowi, a tym samym zbliżyć nadejście komunizmu.

Człowiek, wychowany po marksistowsku, wie, w czym zawarty jest sens przeszłości i terażniejszości, po co były te czy inne idee, wydarzenia, monarchowie, wodzowie. Tak dokładnej wiedzy o przeznaczeniu świata ludzkość nie posiadała od dawna — być może, od czasów średniowiecza. I to, żeśmy taką wiedzę ponownie otrzymali — stanowi o naszej wielkiej przewadze.

Teleologiczna istota marksizmu występuje w sposób najbardziej oczywisty w artykułach, oświadczeniach i pracach jego późniejszych teoretyków, którzy wnieśli w marksistowską teleologię wyrazistość, jasność i prostotę wojskowych rozkazów i gospodarczych rozporządzeń. Tytułem przykładu można zacytować rozważania Stalina o przeznaczeniu idei i teoryj, z czwartego rozdziału „Skróconego Kursu Historii i WKP (b)“:

„Społeczne idee i teorie zdarzają się rozmaite. Są idee i teorie stare, które przeżyły się i służą interesom przeżywających się sił społecznych. Znaczenie ich polega na tym, że hamują one rozwój społeczeństwa, jego ruch postępowy. Zdarzają się też nowe, przodujące idee i teorie, które służą interesom przodujących sił społeczeństwa. Ich znaczenie polega na tym, że ułatwiają rozwój społeczeństwa, jego posuwanie się naprzód...”².

Każde słowo jest tu przeniknięte duchem celowości. Nawet idee, nie sprzyjające zbliżaniu się do celu, mają swoje prze-

2. „Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)”. Skrócony kurs. Pod redakcją komisji KC. WKP (b). Zatwierdzony przez KC. WKP (b). 1938 rok. Str. III.

Przez długi czas i dopóki żył jego wielki twórca, skrócony kurs stanowił podręczną lekturę każdego sowieckiego człowieka. Wszystkich umięjących czytać mieszkańców kraju wezwano do nieustannego studiowania tej książki, a zwłaszcza jej czwartego rozdziału, zawierającego kwintesencję marksistowskiego wykładu wiary i napisanego osobiście przez Stalina. Dla wykazania na życiowym przykładzie, jaki uniwersalny sens w nią wkładano zacytuję jeden fragment z powieści B. Iljenkova „Główna droga”.

„...Stary Diegtiarow przyniósł niewielką książkę i powiedział: „Tutaj wszystko jest powiedziane, tu, w czwartym rozdziale”. Wikentij Iwanowicz wziął książkę i pomyślał: „Nie ma na ziemi takich książek, w których byłoby wypowiedziane wszystko, co potrzebne jest człowiekowi...”. Wkrótce Wikentij Iwanowicz (typ sceptycznego inteligenta) przekonywuje się, że nie miał racji, i podziela opinię Diegtiarowa, który wyraża poglądy wszystkich przodujących ludzi: w tej książce „powiedziano wszystko, co potrzebne jest człowiekowi”.

znaczenie, mianowicie, utrudniają zbliżanie się do celu (prawdopodobnie, Szatan odgrywał niegdyś taką samą rolę). „Idea”, „nadbudowa”, „baza”, „prawidłowość”, „ekonomia”, „siły produkcyjne” — te wszystkie oderwane, bezosobowe kategorie nagle ożyły, nabrały krwi i ciała, upodobniły się do bogów i bohaterów, do aniołów i demonów. Wszyscy oni przyjęli cel i oto ze stronic filozoficznych traktatów i naukowych badań rozległy się głosy wielkiego, religijnego Misterium: „Nadbudowa po to jest tworzona przez bazę, aby jej potem służyła...”³.

Rzecz tu nie tylko w specyficznym zwrocie Stalina, któremu mógłby go pozazdrościć autor Biblii. Teleologiczna specyfika marksistowskiego sposobu myślenia zmusza do tego, by wszystkie bez wyjątku pojęcia i rzeczy sprowadzić do Celu, połączyć z Celem, określić przez Cel. I jeśli historia wszystkich czasów i narodów jest jedynie historią zbliżania się ludzkości do komunizmu, no, to wszechświatowe dzieje ludzkiej myśli istniały, właściwie mówiąc, tylko po to, aby powstał „materializm naukowy”, czyli marksizm, czyli filozofia komunizmu. Historia filozofii — głosił Żdanow — „stanowi dzieje narodzenia, zjawienia się i rozwoju naukowego, materialistycznego światopoglądu i jego praw. Skoro materializm wyrósł i rozwinął się w walce z tendencjami idealistycznymi, historia filozofii jest również historią walki materializmu z idealizmem”⁴. I czyż w tych dumnych słowach nie słyhać głosu samego Boga: „Wszystkie dzieje świata są moimi dziejami, a jakom się utwierdził w walce z Szatanem, dzieje świata są również dziejami mojej walki z Szatanem!”

I tak oto wstał przed nami jedyny Cel wszechświata, piękny jak wieczyste życie i zobowiązujący jak śmierć. Rzuciliśmy się ku niemu, obalając przeszkody i pozbywając się po drodze wszystkiego, co mogłoby opóźnić nasz niepowstrzymany bieg. Bez żalu uwalnialiśmy się od wiary w świat pozagrobowy, od miłości bliźniego, od swobody jednostki i innych przesądów, dostatecznie już przegniłych w owym czasie i jakże żałosnych w porównaniu z ideałem, który się nam objawił. W imieniu nowej religii oddały życie tysiące wielkich męczenników rewolucji, swoimi cierpieniami, stałością i świętością usuwając w cień bohaterstwo pierwszych chrześcijan.

3. J. Stalin. „Marksizm i zagadnienia językoznawstwa”.

4. A. Żdanow. Dyskusyjne wystąpienie w związku z książką Aleksandrowa „Historia filozofii zachodnio-europejskiej”. 24 czerwca 1947 roku.

*Pięciopromienne gwiazdy
wypalali nam na plecach
pańscy wojewodowie.*

*Zywcem,
po szyję w ziemię
zakopywały nas
bandy Mamontowa.*

*W paleniskach lokomotyw
smarzyli nas Japończycy,
zalewali gardła ołowiem.
— Zaprzyjcie się! — ryczeli
w pożarów lunie.*

*Ale z płonących krlani
w trzech słowach
była odpowiedź:
— Niech żyje komunizm!*

(Włodzimierz Majakowski)

Ale nie tylko nasze życie, naszą krew i ciało oddawaliśmy nowemu Bogu. Przynieśliśmy mu w ofierze naszą śnieżnobiałą duszę i zachlapaliśmy ją brudem, zebrany z całego świata.

Jak to przyjemnie być dobrym, pić herbatę z konfiturą, uprawiać kwiaty, miłość, pokorę, niesprzeciwianie się złu siłą i inną tegoż typu filantropię. Kogo uratowali? — co zmienili w świecie? — ci niepokalani staruszkowie i staruszki, ci humanistyczni egoiści, grosz po groszu oszczędzający na czyste sumienie i z góry zabezpieczający sobie miejsce w pośmiertnym przytułku.

A my nie dla siebie pragnęliśmy zbawienia — dla całej ludzkości. Zamiast oddać się sentymentalnym westchnieniom, osobistemu doskonaleniu się i amatorskim przedstawieniom na rzecz głodnej nędzy, zabraliśmy się do naprawiania wszechświata według najlepszego wzorca, jaki istniał, według wzorca olśniewającego i coraz bliższego nas celu.

Aby na zawsze znikły więzienia, nabudowaliśmy nowych więzień. Aby padły granice między państwami, otoczyliśmy się chińskim murem. Aby praca stała się w przyszłości odpoczynkiem i przyjemnością, wprowadziliśmy ciężkie roboty. Aby nie polała się więcej ani jedna kropla krwi, zabijaliśmy, zabijaliśmy, zabijaliśmy.

W imieniu celu trzeba było poświęcać wszystko, co było u nas w zapasie i uciekać się do tych samych środków, z których korzystali nasi wrogowie — słać wielkodzierżawną Ruś, nieprawdę w „Prawdzie”, sadzać cara na opustoszałym tronie, wprowadzać szlify i tortury... Chwilami wydawało się, że dla pełnego triumfu komunizmu brakuje już tylko ostatniej ofiary — wyrzeczenia się komunizmu.

Panie ! Panie ! Odpuść nam nasze winy !

Ostatecznie, ten świat stworzony został na podobieństwo Boże. To jeszcze nie komunizm, ale już bardzo blisko do komunizmu. I oto wstajemy, zataczając się ze zmęczenia, i obejmujemy ziemię krwią nalanymi oczami i nie znajdujemy dokoła siebie tego, cośmy spodziewali się znaleźć.

Dlaczego śmiejecie się, kanalie ? Dlaczego wytykacie wypięlgnowanymi paznokciami pacyny z krwi i błota, które oblepiły nasze marynarki i mundury ? Mówicie, że to nie komunizm, żeśmy zbiegli z drogi i znajdujemy się dalej od komunizmu, niż na samym początku ? Dobrze, a gdzie jest wasze Królestwo Boże ? Pokażcie ! Gdzie jest swobodna osobowość obiecanego przez was nadczłowieka ?

Osiągnięcia nigdy nie są identyczne z celem w jego pierwotnym ujęciu. Środki i wysiłki, zużyte dla osiągnięcia celu, tak zmieniają jego rzeczywiste oblicze, że już trudno go poznać. Stosy inkwizycyjne pomogły do utrwalenia Ewangelii, ale co po nich z tej Ewangelii zostało ? A przecież — i stosy Inkwizycji, i Ewangelia, i noc świętego Bartłomieja i sam święty Bartłomiej — wszystko stanowi jedną wielką kulturę chrześcijańską.

Tak, żyjemy w komunizmie. Jest tak samo podobny do celu naszych dążeń, jak średniowiecze — do Chrystusa, współczesny człowiek Zachodu — do wyzwolonego nadczłowieka, a człowiek — do Boga. A jednak jakieś podobieństwo istnieje, czyż nie prawda ?

To podobieństwo tkwi w podporządkowaniu wszystkich naszych działań, myśli i odruchów temu jedyjnemu celowi, który, być może, dawno już stał się nic nie znaczącym frazesem, ale nie przestaje wywierać hipnotycznego wpływu i popychać nas naprzód i naprzód — nie wiadomo dokąd. I, rzecz zrozumiała, sztuka, literatura musiały znaleźć się w trybach tego systemu i przekształcić się, jak przepowiadał Lenin, w „kółko i śrubkę” olbrzymiej państwowej maszyny. „Nasze czasopisma, niezależnie od tego, czy chodzi o czasopisma

naukowe, czy artystyczne, nie mogą być apolityczne... Siła sowieckiej literatury, najbardziej przodującej literatury w świecie, polega na tym, że jest ona literaturą, dla której nie ma i nie może być żadnych innych interesów, prócz interesów ludu, interesów państwa..."⁵.

Gdy się czyta powyższą tezę w postanowieniach KC, trzeba koniecznie pamiętać, że ten interes ludu i interes państwa (identyczne z punktu widzenia państwowego), to znowu nic innego, jak wszystko przenikający i wszystko pochłaniający komunizm. „Literatura i sztuka stanowią zasadniczą część ogólnoludowej walki o komunizm. Wzniosłe przeznaczenie społeczne literatury i sztuki to mobilizowanie ludu ku nowym zdobyczom w budownictwie komunizmu”⁶.

Kiedy pisarze Zachodu zarzucają nam brak wolności twórczej, wolności słowa i tak dalej, wychodzą z założeń swojej własnej wiary w swobodę jednostki, stanowiącej podstawę ich kultury, ale organicznie obcej kulturze komunistycznej. Pisarz prawdziwie sowiecki, autentyczny marksista nie tylko nie akceptuje tych zarzutów, lecz w ogóle nie będzie wiedział, o co chodzi. Jakież tam, za pozwoleniem panów, swobody od swego Boga może żądać człowiek religijny? Czy chodzi o swobodę jeszcze gorętszego uwielbiania Go?

Współcześni chrześcijanie, strefnieni duchem indywidualizmu, z jego wolnymi wyborami, swobodną konkurencją i prasą, niekiedy nadużywają określenia „wolność wyboru”, którą rzekomo pozostawił nam Chrystus. To brzmi jak nieprawne powoływanie się na system parlamentarny, do którego przywykli, ale który nie podobny jest do Królestwa Bożego, choćby dlatego, że w raju nie wybierają premiera, ani prezydenta. Nawet najbardziej liberalny Bóg pozostawia swobodę jednego tylko wyboru: wierzyć, albo nie wierzyć, być z Nim, albo z Szatanem, iść do raju, albo do piekła. Otóż właśnie takie samo prawo ofiarowuje komunizm. Kto nie chce wierzyć, może siedzieć w więzieniu, które wcale nie jest gorsze od piekła. Ale dla tego, kto wierzy, dla sowieckiego pisarza, widzącego w komunizmie cel własnego i powszechnego istnienia (jeżeli tego nie widzi, nie ma dla niego miejsca w naszej literaturze i w naszym społeczeństwie), taki dylemat w ogóle nie istnieje. Dla

5. Postanowienie KC WKP (b), dotyczące czasopism „Gwiazda” i „Leningrad” z dnia 14 sierpnia 1946 roku.

6. N. Chruszczow. O ścisły związek literatury i sztuki z życiem ludu. — „Komunista”, 1957, nr 12.

wierzącego w komunizm, jak słusznie zauważył Chruszczow w jednym ze swych ostatnich wystąpień w sprawach sztuki, „dla artysty, który wiernie służy swemu ludowi, nie istnieje zagadnienie, czy w swej twórczości jest on swobodny, czy nie. Dla takiego artysty kwestia stosunku do zjawisk rzeczywistości jest niewątpliwa, nie musi on przystosowywać się, zmuszać się. Prawdziwa interpretacja życia z pozycyj komunistyczno-partyjnych stanowi dla niego duchową potrzebę, stoi on mocno na tych pozycjach, uzasadnia je i broni ich w swojej twórczości”

Z zawsze nieprzymuszoną radością taki artysta przyjmuje kierownicze wskazówki od partii i rządu, od KC i Pierwszego Sekretarza KC. Komuż, jeśli nie partii i nie jej wodzowi, wiadomo najlepiej, jaka sztuka jest nam potrzebna? Przecież właśnie partia prowadzi nas do Celu, zgodnie ze wszystkimi regułami marksizmu-leninizmu, przecież to właśnie ona żyje i pracuje w stałym kontakcie z Bogiem. Zatem w osobie partii i w osobie prowadzącej ją osoby mamy najbardziej doświadczonego i mądrego nauczyciela, kompetentnego we wszystkich zagadnieniach przemysłu, lingwistyki, muzyki, filozofii, malarstwa, biologii itd. To nasz Wódz, nasz Wielkorządca, nasz Najwyższy Kapłan, a wątpić w jego słowa to taki sam grzech, jak podawać w wątpliwość wolę Zbawiciela.

Takie są przesłanki estetyczne i psychologiczne, bez których koniecznego poznania nie podobna dotrzeć do tajemnicy realizmu socjalistycznego.

II

Utwory soc-realistyczne są wielce różnorodne, jeśli chodzi o styl i treść, ale w każdym z nich jest pojęcie Celu, w bezpośrednim lub pośrednim sensie, w oczywistym lub zakamuflowanym wyrazie. To albo panegiryk na cześć komunizmu i wszystkiego, co z nim łączy się, albo satyra na jego licznych wrogów, albo wreszcie wszelkiego rodzaju opisy życia „w rewolucyjnym rozwoju”, a więc znowu w ruchu ku komunizmowi.

Gdy pisarz sowiecki wybierze na obiekt twórczej pracy jakiegokolwiek zjawisko, zawsze stara się zorientować je na określony kierunek, wykryć tkwiące w nim siły, wskazujące na

wspaniały cel i nasze ku niemu zbliżanie się. Dlatego też większości tematów, typowych dla sowieckiej literatury, właściwa jest zdumiewająca celowość. Rozwijają się one w jednym, z góry znanym kierunku, mającym różne wersje i odcienie, w zależności od miejsca, czasu, życiowych okoliczności itd., ale niezmiennie tkwiącym w głównym nurcie i doprowadzającym do takiego samego bilansu : po raz nie wiadomo który przypomina się, że ostateczne zwycięstwo komunizmu jest nieuchronne.

W tym więc sensie każdy utwór soc-realistyczny jeszcze przed swoim powstaniem ma zapewniony szczęśliwy finał, na drodze do którego rozwija się zazwyczaj akcja. Finał ten może być niepomyślny dla bohatera, na którego w walce o komunizm czyhają najróżniejsze niebezpieczeństwa. I mimo to rozwiązanie jest zawsze radosne z punktu widzenia ponadosobowego celu, zaś autor osobiście, lub przez usta umierającego bohatera nigdy nie zapomina wypowiedzieć niezłomnej pewności, że nasze zwycięstwo jest nieuniknione. Nawet jeśli to będzie tragedia, to „Tragedia Optymistyczna”, jak nazwał Wsiewołod Wiszniewskij swoją sztukę, z ginącą bohaterką i triumfem komunizmu w finale !

Warto zestawić niektóre tytuły z zachodniej literatury i z sowieckiej, aby przekonać się, z jaką wzniosłą pewnością siebie przemawia soc-realizm. Z tamtej strony: „Podróż do kresu nocy” Celine’a, „Śmierć popołudniu” i „Komu biją dzwony” Hemingway’a, „Každy umiera samotnie” Fallady, „Czas życia i czas umierania” Remarque’a, „Śmierć bohatera” Oldingtona ; z tej: „Szczęście” Pawlenki, „Pierwsze radości” Fiedina, „Dobrze !” Majakowskiego, „Spełnienie życzeń” Kawierina, „Światło nad ziemią” Babajewskiego, „Zwycięzcy” Bagrickiego, „Zwycięzca” Simonowa, „Zwycięzcy” Czerskowa, „Wiosna w Zwycięstwie” Gribaczewa itd.

Wspaniały cel, w kierunku którego rozwija się akcja, niekiedy pokazany jest bezpośrednio przy końcu utworu, jak to świetnie robił Majakowskij, wszystkie swoje większe rzeczy, pisane po rewolucji, kończąc słowami o komunizmie, lub fantastycznymi scenami z życia przyszłego, komunistycznego państwa („Misterium-Buffo”, „150.000.000”, „O tym”, „Włodzimierz Iljicz Lenin”, „Dobrze !”, „Pełnym głosem”). Gorkij, który w sowieckim okresie pisał w zasadzie o latach przedrewolucyjnych, większość swoich powieści i dramatów („Sprawa Artamonowych”, „Życie Klima Samgina”, „Jegor Bułyczow i inni”, „Dostigajew i inni”) kończył obrazami zwycięskiej rewolucji,

która była przejściowym celem na drodze do komunizmu i ostatecznym celem dla starego świata.

Ale nawet i w takich wypadkach, gdy utwory soc-realistyczne nie posiadają tak wspaniałego rozwiązania, tkwi ono w nich skrycie, w pośrednim kształcie, przyciągając ku sobie rozwój charakterów i wydarzeń. Na przykład, sporo naszych powieści i opowiadań opisuje pracę w jakiejś fabryce, budowę elektrycznej centrali, wprowadzenie ulepszeń w wiejskiej gospodarce itp. Przy tym zadanie gospodarcze, realizowane podczas akcji (zaczęli coś budować — zawiązek, skończyli coś budować — rozwiązanie) przedstawione jest jako etap na drodze ku wyższemu celowi. Przy takiej docelowej interpretacji nawet zagadnienia czysto techniczne nabierają dramatycznego napięcia i mogą być przyjmowane z dużym zainteresowaniem. Czytelnik stopniowo dowiaduje się, że bez względu na wszystkie uszkodzenia maszyna została puszczona w ruch, albo że w kołchozie „Zwycięstwo” zbiór kukurydzy, pomimo dżdżystej pogody, wypadł nadzwyczaj obficie, i, zamykając książkę, oddycha z ulgą, rozumiejąc, że zrobiliśmy jeszcze jeden krok ku komunizmowi.

Ponieważ uświadamiamy sobie komunizm jako nieunikniony wynik historycznego rozwoju, w wielu powieściach podstawą akcji staje się niepowstrzymany pochód czasu, który, płynąc do celu, pracuje na nas. Nie „Poszukiwanie utraconego czasu”, lecz „Czasie, naprzód!” — oto o czym myśli pisarz sowiecki. Popędza on życie, utrzymując, że każdy przeżyty dzień — to nie strata, lecz zysk dla człowieka, bowiem przybliża go choćby o jeden milimetr do pożądanego ideału.

Z tą docelowością historycznych procesów łączy się powszechne zainteresowanie naszego piśmiennictwa współczesną i dawniejszą historią, której wydarzenia (wojna domowa, kolektywizacja itd.) stanowią drogowskazy na wybranej przez nas drodze. Jeśli chodzi o czasy bardziej odległe, to tam, niestety, wykrycie ruchu ku komunizmowi jest nieco trudniejsze. Ale nawet i w najbardziej oddalonych wiekach uważny pisarz odnajduje takie zjawiska, które uważa się za postępowe, ponieważ w ostatecznym rozrachunku ułatwiają nasze dzisiejsze zwycięstwa. Wydarzenia te zastępują i poprzedzają nieistniejący cel. A przy tym przodujące postacie przeszłości, występujące w tych utworach (Piotr Wielki, Iwan Groźny, Puszkina, Stieńka Razin), wprawdzie nie znają słowa komunizm, ale rozumieją doskonale, że w przyszłości wszystkich nas oczekuje jakiś

wielka jasność, wciąż o tym mówią ze stronic historycznych powieści radując czytelnika swoim zaskakującym dalekowidztwem.

I wreszcie, niezwykle szeroką przestrzeń otwiera przed piarską wyobraźnią wewnętrzny świat człowieka, jego psychologia, gdzie wszystko porusza się również ku temuż celowi, w ciągłej walce z „przeżytkami burżuazyjnej przeszłości w świadomości ludzkiej”, reedukując się pod wpływem partii lub pod naciskiem otaczającego życia. W znacznej części literatura sowiecka to powieść pedagogiczna, przedstawiająca komunistyczną metamorfozę poszczególnych jednostek i całych kolektywów. Tematem wielu naszych książek są procesy moralne i psychologiczne, skierowane ku wytworzeniu przyszłego, idealnego człowieka. Do tego rodzaju należy „Matka” Gorkiego — rzecz o przemianie ciemnej, zahukanej kobiety na świadomą rewolucjonistkę (książka ta, napisana w 1906 roku, uznana została za wzorzec realizmu socjalistycznego), i „Poemat pedagogiczny” Makarienki — o przestępcach, wchodzących na drogę uczciwej pracy, i powieść Ostrowskiego, opowiadająca „Jak hartowała się stal” naszej młodzieży w ogniu domowej wojny i w chłodzie pierwszego okresu budownictwa socjalistycznego.

A gdy postacie, występujące w utworze, ulegną dostatecznej reedukacji, by zacząć dążyć do celu i w pełni zdać sobie sprawę z celowości swoich czynów, wówczas powstaje możliwość wejścia do tej uprzywilejowanej kasty, która cieszy się powszechnym szacunkiem pod nazwą „p o z y t y w n e g o b o h a t e r a”. To już święte świętych soc-realizmu, jego kamień węgielny i główne osiągnięcie.

Bohater pozytywny — to nie tylko zacny człowiek, to bohater, na którego pada światło najbardziej idealnego ideału, wzór godny bezwzględnego naśladowania, „c z ł o w i e k g ó r a”, ze szczytu której widać przyszłość”, jak nazwał swego bohatera pozytywnego Leonid Leonow.

Nie ma on żadnych wad, albo ma bardzo nieznaczne (na przykład, niekiedy nie wytrzyma nerwowo i wybuchnie), żeby zachować jakieś ludzkie podobieństwo, a także, żeby móc coś w sobie wykorzeniać, rozwijać się, podnosząc coraz bardziej i bardziej swój poziom moralno-polityczny. Jednak wady te nie mogą być zbyt wielkie, a zwłaszcza nie mogą wchodzić w konflikt z zasadniczymi zaletami. Trudno wyliczyć wszystkie zalety pozytywnego bohatera: — Ideowość, odwaga, rozum, siła woli, patriotyzm, szacunek do kobiety, ofiarność itd., itd.

Bodaj do najważniejszych zalet należy jasność i prostolinijność, z jaką bohater widzi swój cel i dąży do niego. Stąd też wszystkie jego posunięcia, myśli, gusty, uczucia i oceny są niezwykle konkretne, określone. Wie on na pewno co jest dobre, a co złe, mówi jedynie „tak” albo „nie”, nie myli czarnego z białym, nie istnieją dla niego wewnętrzne wątpliwości i wahania, nie zna nierozstrzygalnych zagadnień i tajemnic nieodgadnionych, a z najbardziej zawikłanej sprawy łatwo znajduje wyjście — po najkrótszej drodze, prosto ku celowi.

Gdy taki bohater zjawił się po raz pierwszy w niektórych utworach Gorkiego, na początku stulecia, i oświadczył wszem wobec: „Zawsze należy mówić bez ogródek t a k i n i e!” — wielu zaskoczyła jego pewność siebie i prostolinijność sformułowań, tendencja do pouczenia otoczenia i wygłaszania wzniosłych monologów na temat własnej doskonałości. Czechow, który jeszcze zdążył przeczytać „Mieszczan”, krzywił się w zawstydzeniu i radził Gorkiemu nieco złagodzić krzykliwe deklaracje jego bohatera. Czechow jak ognia lękał się pretensjonalnego tonu i uważał wszystkie te ozdobne frazesy za przechwałki, niezgodne z naturą rosyjską.

Gorkij nie usłuchał tych rad, nie złąkł się zarzutów i kpin zaszokowanej inteligencji, wytykającej na wszystkie sposoby tępotę i ograniczenie nowego bohatera. Gorkij rozumiał, że za tym bohaterem stoi przyszłość, że „jedynie ludzie bezlitośni i prości jak miecze, — jedynie oni przebiją się...” („Mieszczanie”, 1901).

Minęło odtąd dużo czasu, wiele zmieniało się, bohater pozytywny występował pod różną postacią, w taki czy inny sposób rozwijając właściwe mu pozytywne cechy, aż dojrzał, spotęźniał i wyprostował się na cały swój gigantyczny wzrost. Stało się to już w latach trzydziestych, gdy wszyscy sowieccy pisarze porzucili swoje ugrupowania i kierunki literackie, i prawie jednogłośnie przyjęli kierunek najbardziej doskonały, najbardziej postępowy — realizm socjalistyczny.



Przy lekturze książek z ostatnich dwudziestu, trzydziestu lat, zwłaszcza wyraźnie odczuwa się potężną siłę pozytywnego bohatera. Rozwalił się on wszedź i wziął literaturę w niewolę.

Spotyka się utwory, w których wszystkie postacie są pozytywne. To naturalne: zbliżamy się przecież do celu, a jeżeli współczesna książka nie jest poświęcona walce z wrogami, lecz, powiedzmy, przodującemu kołchozowi, to wszystkie występujące w niej osoby mogą i powinny być przodujące, zaś wyprowadzanie w takiej sytuacji jakichś negatywnych typów byłoby co najmniej dziwne. Oto dlaczego w naszej literaturze pojawiły się powieści i dramaty, gdzie wszystko odbywa się spokojnie i gładko, a jeśli nawet zdarzają się konflikty między bohaterami, to już tylko między przodującymi i bardziej przodującymi, dobrymi i najlepszymi. Kiedy utwory takie ukazywały się w druku, ich autorów (Babajewskij, Surow, Sofronow, Wirta, Griaczew i inni) bardzo chwalono i wskazywano jako przykład całej reszcie. Co prawda, po XX-ym Zjeździe stosunek do nich zmienił się nieco, nie wiadomo dlaczego, a książki tego rodzaju zaczęto pogardliwie określać jako „bezkonfliktowe”. I chociaż interwencja Chruszczowa na korzyść wspomnianych autorów osłabiła zarzuty, powracają one niekiedy w ocenach pewnych inteligentów. Są to oceny niesprawiedliwe.

Nie chcąc tracić twarzy wobec Zachodu, czasami zatracamy konsekwencję i zaczynamy rozprawiać o indywidualnej różnorodności naszego społeczeństwa, o bogactwie zainteresowań i — tym samym — o różnorodności poglądów, konfliktów, sprzeczności, które jakoby powinny znaleźć odbicie w literaturze. Oczywiście, różnimy się jedno od drugiego wiekiem, płcią, narodowymi, a nawet umysłowymi właściwościami. Każdy jednak, kto trzyma się linii partyjnej, powinien jasno zdawać sobie sprawę, że chodzi o różnorodność w granicach jedności, inności poglądów w ramach wspólnej postawy, konfliktów podporządkowanych bezkonfliktowości. Mamy jeden cel — komunizm, jedną filozofię — marksizm, jedną sztukę — soc-realizm. Według doskonałego powiedzenia pewnego sowieckiego pisarza, o niezbyt wybitnym talencie, ale za to będącego bez zarzutu pod względem politycznym „Rosja poszła po własnej drodze — powszechnej jedności. Ludzkość przez tysiące lat cierpiała na brak jedności. A my, ludzie sowieccy, po raz pierwszy potrafiliśmy dogadać się między sobą, mówimy tym samym, rozumieliśmy dla nas wszystkich językiem, myślimy jednakowo o najważniejszej sprawie życia. Ta jedność to nasza siła, w niej nasza przewaga nad wszystkim ludźmi świata, których rozbił, rozłączył brak jedności...” (W. Iljenkow. „Wielka droga”, 1949, powieść odznaczona nagrodą Stalina).

Świetnie powiedziane ! Tak, istotnie, przeważamy nad innymi epokami i ludami pod względem jednomyślności, jesteśmy podobni jedno do drugiego i nie wstydzimy się tego podobieństwa, a tych którzy chorują na niebezpieczny nadmiar odrębnych myśli, poddajemy surowej karze, usuwając ich z życia i literatury. W kraju, gdzie nawet antypartyjne elementy przyznają się do błędów i pragną poprawić się jak najszybciej, gdzie nawet niepoprawni wrogowie ludu proszą, żeby ich rozstrzelano, nie może być istotnych różnic opinii, a zwłaszcza nie może ich być wśród uczciwych sowieckich ludzi, a już tym bardziej wśród bohaterów pozytywnych, którzy zastanawiają się głównie nad tym, jak rozpowszechnić wszędzie swoje cnoty i wychować na nowo w duchu jednomyślności wszystkich, którzy myślą inaczej.

Naturalnie, istnieją jeszcze różnice między przodującymi i pozostającymi w tyle, istnieje i nie pozwala spać spokojnie ostry konflikt z kapitalistycznym światem. Ale nie wątpimy, że wszystkie te sprzeczności zostaną rozstrzygnięte na naszą korzyść, że świat zjednoczy się w komunizmie, a ci, co pozostają w tyle, zamienią się, rywalizując jeden z drugim, w przodujących. Wielka harmonia — oto ostateczny cel światowej budowy ! Przepiękna bezkonfliktowość — oto ostateczny cel światowej budowy ! Przepiękna bezkonfliktowość — oto przyszłość realizmu socjalistycznego ! Czyż można w takiej sytuacji ganić zbyt harmonijnych pisarzy, którzy jeśli nawet odeszli od współczesnych konfliktów, to wyłącznie po to, żeby zajrzeć w przyszłość, to znaczy, jak najlepiej wypełnić swój pisarski, swój soc-realistyczny obowiązek ? Babajewskij i Surow — to nie odchylenie od uświęconych zasad naszej sztuki, lecz ich logiczne, organiczne rozwinięcie. To wyższy stopień realizmu socjalistycznego, początki nadchodzącego realizmu komunistycznego.

Ale rosnąca siła bohatera pozytywnego przejawiała się nie tylko w tym, że rozmnożył się on niewiarygodnie i zmajoryzował inne postacie literackie, usuwając je w cień, a niekiedy nawet całkowicie eliminując. Niestęchanie rozwinęły się jego zalety. W miarę zbliżania się do celu staje się coraz bardziej pozytywny, piękny i wielki. I naturalnym biegiem rzeczy wzrasta w nim poczucie własnej godności, które w najbardziej jaskrawej formie przejawia się w wypadkach, gdy bohater pozytywny zestawia siebie ze współczesnym człowiekiem na Zachodzie, aby przekonać się o swej niezmiernej wyższości. „...A nasz sowiecki człowiek od tamtych kudy dalej zaszedł ! On już prawie na samą górę wychodzi, a tamten jeszcze na dole z nogi na

nogę przestępuje...". Takim językiem mówią w naszych powieściach prości chłopci. A już poecie brakuje słów, aby wyrazić całą wyższość, całą doskonałość pozytywnego bohatera, przekraczającą wszelkie możliwe porównania.

*Wielkości takiej nigdy
historia nie widziała.
I nie dosięgnie ciebie
najwyższa nawet chwala!*

(M. Isakowski)

W najlepszym utworze socrealistycznym ostatnich pięciu lat, w powieści Leonida Leonowa, „Rosyjski las”, która otrzymała pierwszą nagrodę literacką Lenina (wprowadzoną przez rząd zamiast nagrody Stalina), znajdujemy znakomitą scenę. Odważna dziewczyna, imieniem Pola, przedostaje się na tyły nieprzyjaciela — rzecz dzieje się podczas wojny Ojczyźnanej. Dla lepszego kamuflażu polecono jej udawać zwolenniczkę Niemców. W rozmowie z hitlerowskim oficerem Pola jakiś czas gra swoją rolę, ale z wielkim trudem: cięży jej moralna trudność mówienia po nieprzyjacielsku, a nie po sowiecku. Ostatecznie, nie wytrzymuje i demaskuje się, wykazując jednocześnie całą swoją wyższość nad niemieckim oficerem:

„Jestem dziewczyną mojego kraju.. choćby nawet ostatnią z szeregu, ale ja reprezentuję jutro świata... a pan, gdyby miał w sobie chociaż odrobinę godności, powinienby rozmawiać ze mną, stojąc, tak, stojąc! A pan siedzi przede mną, bo jest niczym, jedynie wytresowanym koniem, którego dosiada główny kat... No, cóż pan tu siedzi... jazda do pracy... prowadź, pokazuj, gdzie tu u was sowieckie dziewczęta strzelają...”.

Fakt, że swoją wspaniałą tyradą Pola prowokuje własną zgubę i w gruncie rzeczy kładzie powierzone sobie wojskowe zadanie, nie wprowadza autora w kłopot. Wyplątuje się on z powstałej sytuacji w bardzo prosty sposób: szlachetna prostolinijność Poli odradza przypadkowego wójta, który dotąd współpracował z Niemcami i był obecny przy rozmowie. Nagle budzi się w nim sumienie, wójt strzela w Niemca, ginie sam, ale ratuje Polę.

Ale nie chodzi tu jednak o owe nawrócenie wójta, który ze znajdującego się w tyle zamienił się nagle na przodującego. O wiele większą wagę posiada zupełnie co innego: podniesiona do kwadratu niezłomność, stałość, prostolinijność bohatera po-

zytywnego. Z punktu widzenia zdrowego sensu zachowanie się Poli może wydać się głupotą. Ale jest przepełnione olbrzymim znaczeniem religijnym i estetycznym. W żadnym wypadku, nawet gdy chodzi o dobro sprawy, bohater pozytywny nie ma prawa wydać się negatywnym. Nawet przed wrogiem, którego trzeba przechrześć, oszukać, bohater powinien wykazać swoje cechy pozytywne. Ich nie można ukryć, ani zamaskować, są napisane na jego czole i dźwięczą w każdym słowie. I oto pokonywuje on wroga już nie zręcznością, nie rozumem, nie fizyczną siłą, a wyłącznie swoim dumnym wyglądem.

Zachowanie się Poli rozszyfrowuje bardzo wiele z tego, co innowiercom wydaje się wyraźnym naciąganiem, głupstwem, fałszem; zwłaszcza skłonność pozytywnych bohaterów do rozmów na wzniosłe tematy. Perorują oni o komunizmie przy pracy i w domu, w gościnie i na spacerze, na łożu śmierci i na łożu miłości. I nie ma w tym nic nienaturalnego. Ci bohaterzy właśnie po to zostali stworzeni, aby przy każdej, właściwej czy niewłaściwej okazji, ofiarowanych światu wzór celowego postępowania.

*I drobiazg najmniejszy
zestawiaj i mierz
z tym celem,
coś sobie wytyczył.*

(W. Majakowski)

*Jedynie ludzie bezlitośni i prości jak miecze — jedynie
oni przebiją się...*

(Maksym Gorkij)

Takiego bohatera jeszcze nie było. Chociaż sowieccy pisarze czują się dumni z wielkich tradycji rosyjskiej literatury XIX stulecia, które starają się naśladować i do pewnego stopnia naśladowują, chociaż na Zachodzie wciąż padają słowa krytyki za to niewolnicze naśladownictwo starych literackich kanonów, w danym wypadku — mamy na myśli pozytywnego bohatera soc-realizmu — tradycja nie znajduje swej kontynuacji, urywa się.

Ówczesnie, w minionym stuleciu, panował zupełnie inny typ bohatera i cała rosyjska kultura żyła czym innym i myślała inaczej. W porównaniu z religijnym fanatyzmem naszych czasów XIX stulecie było ateistyczne, tolerancyjne, pozbawione celo-

wości. Było miękkie i słabe, kobiece i melancholijne, opanowane zwątpieniem, pełne wewnętrznych sprzeczności i wyrzutów nieczystego sumienia. Być może, w ciągu tych stu lat wierzyli w Boga naprawdę tylko Czernyszewskij i Pobiedonoscew. A także mocno wierzyła nieokreślona ilość chłopów i bab. Ale ci nie tworzyli ani historii ani kultury. Kulturę tworzyła gromadka smutnych sceptyków, którzy pragnęli Boga, ale tylko dlatego, że Go u nich nie było.

No, a cóż Dostojewski, Tołstoj i tysiące innych poszukiwaczy Boga, od narodników do Miereżkowskiego, którzy przedłużyli swoje poszukiwania niemal do połowy następnego stulecia? Zakładam, że szukać, znaczy — nie posiadać. Kto posiada wiarę, kto naprawdę wierzy — ten nie szuka. Po cóż poszukiwania, jeżeli wszystko jest jasne i tylko należy iść śladem Boga? Boga nie można znaleźć, Bóg sam nas znajduje i opada nas, a gdy już znalazł, przestajemy szukać, zaczynamy działać zgodnie z Jego wolą.

XIX stulecie — to zawsze poszukiwania, miotanie się na wszystkie strony, błędzenie ze światłem i bez światła, nieumiejętność lub niechęć znalezienia sobie stałego miejsca pod słońcem, niepewność, rozdwojenie. Dostojewskij, utyskujący na nadmierną szerokość rosyjskiej natury — trzeba by zwęzić! — sam był na tyle szeroki, że łączył prawosławie z nihilizmem i mógłby w swojej duszy znaleźć wszystkich Karamazowych jednocześnie — Aloszę, Mitię, Iwana, Fiedora (niektórzy twierdzą, że nawet Smierdiakowa), — i właściwie nie wiadomo, którego z nich było w nim najwięcej. Taka szerokość wyklucza wiarę (nie próżno, wypełniając testament Dostojewskiego, zwęziliśmy siebie w marksizmie) i Dostojewskij dobrze zdawał sobie sprawę z świętokradczego charakteru takiej szerokości, i wiecznie spierał się z samym sobą, namiętnie pragnąc przerwać ten spór, znieważający jedyne Boga.

Ale pragnienie Boga, pragnienie wiary — podobnie jak poszukiwanie — powstaje na pustym miejscu. To jeszcze nie jest właściwa wiara, a jeżeli pragnienie wiarę poprzedza (błogosławieni, którzy pragną!), to właśnie tak, jak głód poprzedza obiad. Głodny zawsze je z apetytem, ale czy głodnego zawsze oczekuje w domu obiad? Być może, dziewiętnastowieczny głód przygotował nas, Rosjan, do tego, że z taką żarłocznością rzuciliśmy się na posiłek przyrządzony przez Marksa i przełknęli go, zanim zdążyliśmy zorientować się w jego smaku, zapachu i skutkach. Ale w swojej istocie ten stuletni głód wywołany został

katastrofalnym brakiem jedzenia, był głodem bezbożnictwa. To dlatego tak nas wycieńczał, wydawał się nie do zniesienia, zmuszał iść w lud, stawać się renegatami radykalizmu i odwrotnie, łapać się nagle na tym, że bądź co bądź jesteśmy chrześcijanami... I nigdzie nie było ukojenia.

*Tak pragnę z niebem się pogodzić,
modlić się pragnę, pragnę kochać,
w dobro uwierzyć pragnę...*

I któż to płacze, tęskniąc za wiarą? Ba, toż to lermontowski Demon — „duch zwątpienia” — który męczył nas tak długo i tak boleśnie! Jego słowa potwierdzają, że nie święci, lecz bezbożnicy i bluźniercy spragnieni są wiary.

To bardzo rosyjski Demon, zbyt niestały w swoim namiętym przywiązaniu do zła, aby być pełnowartościowym Szatanem, i zbyt niestały w żalu za grzechy, aby ponownie stać się pełnowartościowym Aniołem. Nawet towarzyszący mu koloryt jest jakiś niestały i chwiejny: „Ni dzień, ni noc — ni mrok, ni światło...!”. Same półtony, tajemnicze połyskiwanie zmierzchu, podpatrzone znacznie później przez Błoka i Wróbiela.

Konsekwentny ateizm, skrajna i niezmienna negacja bardziej przypominają religię, niż tego rodzaju nieokreśloność. A przecież istota rzeczy tkwi właśnie w tym, że i żadnej wiary nie ma i że bez wiary jest źle. Nieustanny ruch ku górze i na dół, do tyłu i naprzód — między niebem i piekłem.

Pamiętacie, co się stało z Demonem? Zakochał się w Tamarze — w niebiańskiej piękności, wcielonej w urodziwą kobietę, i powziął zamiar uwierzenia w Boga. Ale gdy ją pocałował, Tamara umarła, zabita jego doknięciem, została mu odjęta, i Demon znów pozostał samotny w swojej stęsknionej niewierze.

Otóż, to samo, co przydarzyło się Demonowi, przeżywała w ciągu stulecia cała rosyjska kultura. Demon zamieszkał w niej jeszcze przed zjawieniem się Lermontowa. Z taką samą szaleńczą gwałtownością kultura rosyjska rzucała się w pogoń za ideałem, ale gdy tylko podlegała ku niebu, natychmiast spadała w dół. Najślabsze zetknięcie się z Bogiem prowadziło do negacji, a negacja prowokowała tęsknotę za wiarą, niedającą się zrealizować.

Uniwersalny Puszkina zaznaczył tę kolizję w „Jeńcu Kaukaskim” i w innych wczesnych poematach, a następnie rozwinął

ją w całej okazałości w „Eugeniuszu Onieginie”. Schemat „Oniegina” jest prosty i anegdotyczny: dopóki Tatiana kocha Eugeniusza i gotowa jest należeć do niego, ten odpowiada obojętnością; a gdy wyszła za mąż za kogo innego, pokochał ją namiętnie i beznadziejnie. W tej banalnej historyjce zawarte zostały wszystkie sprzeczności, które odtąd będzie pokazywać rosyjska literatura aż do Czechowa i Błoka, — sprzeczności bezbożnego ducha, utraconego, niepowrotnego celu.

Głównego bohatera tej literatury — Oniegina, Pieczorina, Bieltowa, Rudina, Ławreckiego i wielu innych — nazywają zazwyczaj „zbędnym człowiekiem”, gdyż — przy wszystkich, tkwiących w nim szlachetnych porywach — nie jest w stanie znaleźć dla siebie miejsca w życiu, dając żaloszny przykład nikomu niepotrzebnego, bezcelowego bytowania. Z reguły jest to charakter refleksyjny, skłonny do auto-analizy i samobiczowania. Jego życie wypełnione jest nieurzeczywistnionymi zamianami, jego losy są smutne i nieco śmieszne. Fatalną rolę odgrywa w nich zwykle kobieta.

Rosyjska literatura zna wielką ilość miłosnych historii, w których spotykają się i rozstają bez żadnego wyniku nie pełnowartościowy mężczyzna i piękna kobieta. Przy tym cała wina spada, naturalnie, na mężczyznę, który nie potrafił kochać swojej bogdanki tak, jak na to zasługiwała, to znaczy — czynnie i z myślą o celu; ziewa z nudów, jak Pieczorin u Lermontowa, cofa się przed trudnościami, jak Rudin u Turgieniewa, albo zabija ukochaną, jak puszkiniowski Aleko i lermontowski Arbienin. Gdybyż przynajmniej chodziło o człowieka nikkzemnego niezdolnego do wzniosłych uczuć! Ale nie! To zazwyczaj człowiek szlachetny i najpiękniejsza kobieta oddaje mu śmiało swoje serce i swoją rękę. A on, zamiast radować się i żyć, jak u Pana Boga za piecem, zaczyna popełniać jakieś nieprzemyślane czyny i wbrew własnym życzeniom robi wszystko, żeby utracić kochającą go kobietę.

Jeżeli wierzyć literaturze, w XIX wieku wszystkie serca były rozbite przez tę dziwną miłość i rodzenie dzieci ustało na jakiś czas. Ale w tym to i rzecz, że pisarze przedstawiali nie byt i obyczaj szlachty rosyjskiej, lecz głębinową metafizykę ducha, miotającego się bez celu. Kobieta stała się w tej literaturze kamieniem probierczym dla mężczyzny. Poprzez stosunki z nią mężczyzna ujawniał całą swoją słabość i, skompromitowany jej siłą i urodą, zląził z estrady, na której zamierzał odegrać coś bohaterskiego, i odchodził, przygarbiony, w niebyt, z hań-

biącym przezwiskiem niepotrzebnego, nędznego, zbędnego człowieka.

Zaś kobiety — te wszystkie niezliczone Tatiany, Lizy, Natalie, Belle, Niny — jaśniały, niby nieosiągalny ideał bez zmayı, nad Onieginymi i Pieczorinymi, którzy kochali je tak nieumiejętnie i zawsze tak ni przypiął ni przyłatał. Te kobiety były dla rosyjskiej literatury synonimem ideału, określeniem wyższego Celu. Ich efemeryczna natura niezwykle się do tego nadawała.

Z pewnego punktu widzenia kobieta jest czymś niewyraźnym, czystym i pięknym. Nie musi być konkretna i dokładnie określona (czegoż tam żądać od kobiety?), wystarczy żeby była piękna i czysta, a dostąpi zbawienia. Zajmując, jak każdy cel, pozycję pasywną i wyczekującą, zdolna jest swoją urodą, swoją wabiącą, zagadkową i nie nazbyt konkretną treścią reprezentować coś w najwyższym stopniu idealnego, zastępując sobą nieobecny, a pożądaný Cel.

Bardziej, niż cokolwiek innego, kobieta odpowiadała XIX stuleciu. Imponowała mu swoją nieokreślonością, tajemniczością i miękkością serca. Marzycielska Tatiana Puszkina rozpoczęła epokę, Piękna Dama Błoka ją zamknęła. Tatiana była konieczna, żeby Oniegin miał p r z e z k o g o cierpieć. Doprowadzając do końca stuletni romans, Błok wybrał na swoją narzeczoną Piękną Damę, aby natychmiast Ją zdradzić, utracić Ją i męczyć się przez całe życie w bezcelowym istnieniu.

W poemacie Błoka „Dwunastu”, powstałym na styku dwóch wrogich, wykluczających się nawzajem kultur, jest jeden epizod, który stawia końcową kropkę w rozwoju miłosnego tematu XIX-go stulecia. Czerwonogwardzista Piet'ka zabija swoją ukochaną — prostytutkę Kat'kę, zabija we wzburzeniu, wbrew własnej woli. To niezamierzone zabójstwo i męka utraconej miłości odradzają stary dramat, znany nam od czasów Lermontowa („Maskarada”, „Demon”) i z wielu wariantów, przedstawionych w twórczości tegoż Błoka (czy to nie z błokowskiego Pierrota i Kolombiny wywodzą się głupowaty Piet'ka i tuściutka Kat'ka, której towarzyszy nowy amant, wyelegantowany Arlekin-Wańka?). Podczas jednak, gdy poprzedni bohaterzy — wszyscy ci Arbeniny i Demony — wywróciwszy podszewką do góry swe opustoszałe dusze, zastygali w żalu bez wyjścia, to Piet'ka, idący ich śladami, nie potrafi na to zdobyć się. Bardziej świadomi towarzysze przywołują go do porządku, działają wychowawczo :

— *Wi-sz go, ścierwę, jak się wzruszył,
gotów nam po drodze paść.*

— *Czy bebechy wytrząść z duszy
chcesz jak baba? Płakać zaś...?*

— *Trzym się kupy, równo ruszaj!
Bierz się, chłopie, mocno w garść!*

*I Pietrucha zaraz zwalnia
zbyt pośpieszne kroki swe...
Znowu główkę wyżej wznosi,
znowu staje się wesoły...*

Tak rodzi się nowy, nigdy dotąd nie widziany bohater. W krwawej walce z wrogiem — „krew wypiję za dziewczynę czarnobrewą” — w wydarzeniach i cierpieniach nowej epoki — „To nie takie dzisiaj czasy, by się z tobą niańczyć nam...!” — bohater ten wyleczył się z bezpłodnej refleksji i niepotrzebnych wyrzutów sumienia. Z dumnie podniesioną głową, w wyraźnie lepszym humorze, pod sztandarem nowego Boga, którego Błok z przyzwyczajenia tylko nazwał Jezusem Chrystusem, wszedł do sowieckiej literatury.

*Wciąż naprzód kroczyć,
ludu roboczy!*

Zbędny człowiek dziewiętnastego wieku, po przejściu w wiek dwudziesty, okazał się jeszcze bardziej zbędnym, obcym i niezrozumiałym dla pozytywnego bohatera nowej epoki. Co więcej, zbędny człowiek wydał się znacznie niebezpieczniejszy od negatywnego bohatera-wroga, ponieważ wróg podobny jest do bohatera pozytywnego; jest wyraźny, prostolinijny i na swój sposób docelowy. Tyle, że jego zadanie jest negatywne — hamować ruch ku Celowi. Zaś człowiek zbędny to jakieś całkowite nieporozumienie, zjawisko z zupełnie innego psychologicznego wymiaru, nie poddające się rachubie, ani reglamentacji. Nie jest zwolennikiem Celu, nie jest przeciwnikiem Celu, znajduje się p o z a Celem, a to niemożliwe, to fikcja, błuznierstwo. Podczas gdy cały świat określił sam siebie w stosunku do Celu i wyraźnie rozdzielił się na dwie wrogie siły, zbędny człowiek udawał, że nie wie, o co chodzi, nie przestając mieszać barw w dwuznacznie nieokreślonym kolorycie i oświadczać, że

nie ma czerwonych ani białych, a po prostu są ludzie, biedni, nieszczęśliwi, zbiedni ludzie.

*Legli wszyscy w rząd —
połączył ich bój.
Żołnierz, ale skąd ?
Gdzie obcy, gdzie swój ?*

*Biały był — czerwony jest,
krew sczerwienila.
Czerwony był — biały jest,
śmierć wybielila.*

(Marina Cwietajewa)

W walce religijnych stronnictw zbędny człowiek ogłaszał neutralność i wyrażał współczucie jednym i drugim :

*I wszędzie między szeregami
głos jednostajny raz po raz :
„Kto nie jest z nami — zdradził nas,
precz obojętni — prawda z nami”*

*A ja, gdzie dym i bitew pył,
stojąc wśród ognia i szarugi,
kornie za jednych i za drugich
modłę się z wszystkich swoich sił.*

(Maksymilian Wołoszyn)

Nie wolno było dopuścić do takich słów, w równej mierze świętokradczych, co jednoczesna modlitwa do Boga i do Szatana. Słuszniej było uznać je za modliwę do Szatana : „Kto nie z nami — ten przeciw nam”. I tak właśnie uczyniła nowa kultura. Ponownie wzięła pod uwagę typ zbędnego człowieka, ale wyłącznie po to, by udowodnić, że to wcale nie zbędna, lecz szkodliwa, niebezpieczna, negatywna postać.

Naturalnym biegiem rzeczy rozpoczął tę świętą krucjatę Gorkij. Już w 1901-ym roku (w pierwszym roku XX-go stulecia !) Gorkij naszkicował pierwszy schemat pozytywnego bohatera i natychmiast rzucił się na tych, którzy „urodzili się bez wiary w sercu”, którym „nic i nigdy nie wydawało się całkowicie pewne”, którzy całe życie błakali się między „tak” i „nie”. „Gdy mówię — tak albo nie, mówię nie z przekonania.

a jakoś tak... po prostu odpowiadam i — nic więcej. Doprawdy ! Niekiedy powiesz — nie ! — i zaraz pomyślisz — czyżby ? — a może właśnie — tak ?” („Mieszczanie”).

Tym zbędnym ludziom, którzy prowokowali rozdrażnienie już samym faktem braku swego określenia, Gorkij rzucił „Nie !” i nazwał ich „mieszczanami”. Następnie aż do ostateczności rozszerzył pojęcie „mieszczaństwa”, wrzucając w nie wszystkich, którzy nie należeli do nowej religii : drobnych i wielkich posiadaczy, liberałów, konserwatorów, chuliganów, humanistów, dekadentów, chrześcijan, Dostojewskiego, Tołstoja... Gorkij był pryncypialistą, jedynym naprawdę wierzącym pisarzem naszego wieku, jak nazwał go w swoim czasie Czulkow. Gorkij wiedział, że co nie z Boga jest, z Diabła jest.

Przewartościowanie zbędnego człowieka i szybkie określenie go jako postaci negatywnej przyjęło ogólny charakter w latach dwudziestych, to znaczy wtedy, gdy rozpoczęło się tworzenie pozytywnego bohatera. Gdy tych dwóch zestawiono ze sobą, wszyscy zdali sobie sprawę, że bohaterzy, pozbawieni celu, nie istnieją, że istnieją jedynie tacy, którzy zgadzają się z celami, którzy mu przeciwstawiają się, zaś zbędny człowiek to po prostu zamaskowany wróg, podły zdrajca — należy go jak najszybciej zdemaskować i ukarać. Ten problem opisał Gorkij w „Życiu Klima Samgina”, Fadiejew w „Pogromie” i wielu innych. W „Miastach i czasach” Fiedin wypalał w swoim sercu resztki litości w stosunku do tego, niegdyś tak atrakcyjnego bohatera. Dysonansem stał się chyba tylko jeden „Cichy Don”, w którym Szołochow przedstawił stracony los zbędnego człowieka, Grigorja Mielechowa, i posłał mu współczujące pożegnanie. Ponieważ Mielechow należał do prostego ludu, a nie do inteligencji, na zachowanie się Szołochowa spojrzano pobłażliwie. Obecnie powieść ta uchodzi za wzór soc-realizmu. Oczywiście, ten wzór nie znalazł naśladowców.

A jednocześnie inni zbędni ludzie, pragnący uratować życie, zapierali się swej przeszłości i reedukowali się z pośpiechem, by stać się bohaterami pozytywnymi. Jeden z nich powiedział niedawno : „Nie ma w świecie większej ohydy od niezdecydowanych medrków... Tak, tak, jestem czerwony ! Czerwony — i niech diabli was wezmą !” (Fiedin „Niezwykłe lato”. 1949). To końcowe przekleństwo dotyczy, naturalnie, już nie czerwonych, lecz białych.

I taka była niesławna śmierć bohatera rosyjskiej literatury XIX-go stulecia.

III

Wyborem swego bohatera, treścią, duchem realizm socjalistyczny jest bardziej zbliżony do XVIII-go wieku w Rosji, niż do XIX-go. Nie podejrzewając tego, przeskakujemy ponad głowami ojców i rozwijamy tradycje dziadków. Spokrewniliśmy się z XVIII-ym stuleciem ideą państwowej celowości, uczuciem własnej wyższości, jasną świadomością tego, że „Z nami Bóg !”

*Wszecławiecie, słysz, godzina ona
zwycięstw powyżej ludzkich sił.
Spójrzysz, Euroo zadziwiona,
jak bohatyrski Ross się wzbił !
Wiedźcie, narody, i pojmijcie,
i pyszną myślą w sobie drżycie ;
czas już uwierzyć : Z nami Bóg !
Jego prawicą Ross dostojny
pogromi was w godzinę wojny,
gdy sam z swych nieszczęść powstać mógł !*

*Znajcie, narody, to moc kolosa :
Bóg z nami, z nami, uczcijcie Rossa !*

Te strofy Gawrijila Dierżawina — wystarczy nieco uwspółcześnić język — mają wydźwięk w wysokim stopniu aktualny. Podobnie jak system socjalistyczny, wiek osiemnasty uznał siebie za centrum wszechświata i, natchniony doskonałością swoich zalet, „w sobie istotę swoją mając, sam z siebie jasny blask wydając”, stał się we własnym pojęciu idealnym wzorem dla wszystkich narodów i po wszystkie czasy. Tenże Dierżawin, w „Obrazie Felicy” sławiący idealne panowanie Katarzyny Dru-giej, wypowiadał życzenia, aby

*...dzikusy z wysp, z wybrzeży,
z pióropuszcami na swej głowie,
w skórach i łuskach, w płasim pierzu,
odziani w korę i listowie,
wschodząc do tronu jej po schodach
i słysząc praw łagodnych pienia,
po smagło-żółtych lic jagodach
łzy lali szczęścia i wzruszenia.*

*By lali tzy — i zrozumiawszy
idących dni błogostawieństwo,
równości zrzekli się na zawsze
i poszli w jej szlachetne jeństwo...*

Dierżawin nie mógł sobie wyobrazić, żeby dzikusy, Hunn i Finn i wszystkie inne narody, które otoczyły rosyjski tron niby rodzaj Międzynarodówki, mogły odrzucić tę zaszczytną propozycję i nie wyrazić chęci natychmiastowego poddania się Katarzynie, stanowiącej „niebiańską błogość ucieleśnioną”. Dla niego, jak i dla naszych pisarzy, każdy, kto nie chce stać się na podobieństwo proponowanego wzorca, kto nie zamierza zapomnieć o swojej dzikiej „równości” i przyjąć ofiarowywanego „błogostawieństwa”, albo jest nierozumny, nie zdaje sobie sprawy z własnego pożytku, zatem wymaga reedukacji, albo też jest niecnolliwy (mówiąc współczesnym stylem — reakcyjny) i tym samym skazany na zniszczenie. Albowiem nie było w świecie i nie ma niczego piękniejszego od tego państwa, tej wiary, tego życia, tej Carycy. Tak uważał Dierżawin, identycznie rozumuje współczesny wieszcz, sławiący nowe carstwo niemal dierżawińskim stylem :

*A w świecie nie znajdziesz, jak Rosja, krainy,
i kwiatów jaskrawszych, i siły, i cnót ;
ten lud nieśmiertelny, w wielkości jedyny,
nasz wieczny, rosyjski, swobodny nasz lud !*

*Wytrzymał niewolę, wytrzymał Tatarów
i więzy pozrywał i wyrósł nad czas,
i Rosję połączną wśród tony pożaru
wywyższył nad dzieje, ku niebu, do gwiazd !*

(A. Prokofjew)

Piśmiennictwo XVIII-go wieku stworzyło bohatera pozytywnego, który pod wieloma względami podobny jest do bohatera naszej literatury : „Przyjaciół pożytku powszechnego”, „przewyższyc wszystkich pragnie siłą Ducha”, to znaczy, nieustannie podnosi swój moralny i polityczny poziom, posiada wszystkie cnoty, wszystkich poucza itd. Ta literatura nie znała zbędnych ludzi. Nie był jej udziałem ów niszczący śmiech, który stał się chroniczną chorobą kultury rosyjskiej od Puszkina do Błoka, aby zabarwiwszy ironią cały XIX-ty wiek, dojść do ostatecznej

granicy w literaturze dekadentów. „Najbardziej czuli i pełni życia synowie naszej epoki dotknięci są chorobą, nieznaną lekarzom ciała i ducha. Choroba ta jest krewniczką dolegliwości psychicznych, a można ją nazwać „ironią”. Jej przejawy to ataki wycieńczającego śmiechu, który zaczyna się od diabelsko szyderczego, prowokatorskiego uśmieszku, a kończy się — rozwydrzeniem i bluźnierstwem”. (Aleksander Błok „Ironia”, 1908 rok).

Ironia w takim ujęciu — to śmiech zbędnego człowieka z samego siebie i ze wszystkiego świętego na świecie. „Znam ludzi, którzy gotowi są zachłystywać się śmiechem, zawiadamiając o agonii matki, o tym, że giną z głodu, że zdradziła narzeczona... Przed obliczem przeklętej ironii — zrównują wszystko : dobro i zło, jasne niebo i cuchnącą gnojówkę, Beatrycze Dantego i Niedotykajkę Sołoguba. Wszystko pomieszało się, jak w knajpie, jak we mgle” (w tym samym artykule).

Ironia — ten wierny towarzysz niewiary i zwątpienia, znika, gdy zjawia się wiara, niedopuszczająca do bluźnierstwa. Ironii nie było u Dierżawina i nie było jej u Gorkiego, wyjąwszy niektóre wczesne opowiadania. U Majakowskiego objęła nieliczne utwory, głównie przedrewolucyjnego okresu. Majakowski wkrótce dowiedział się, z czego można i z czego nie wolno śmiać się. Nie mógł pozwolić sobie na wyśmiewanie się z Lenina, którego opiewał, podobnie jak Dierżawin nie mógł ironizować na temat Cesarzowej. Zaś Puszkina nawet pod adresem niepokalanie wstydlivej Tatiany wypisywał wierszyki o nieprzystojnej treści. I właśnie Puszkina pierwszy skosztował gorzkiej słodyczy samozaprzeczenia, choć osobiście był wesoły i zrównoważony. Lermontow niemal w dzieciennym wieku zatrul się tym jadem. U Błoka, Andriejewa, Sołoguba — ostatnich przedstawicieli wielkiej ironicznej kultury — ten rozkładający śmiech stał się wszystko obejmującym żywiołem.

Raz powróciwszy w osiemnaste stulecie, staliśmy się poważni i surowi. To nie znaczy, że oduczyliśmy się śmiać, ale nasz śmiech przestał być grzesznym i pozwalającym sobie na wszystko ; nabrał on docelowego charakteru : wykorzenia wady, poprawia obyczaje, podtrzymuje rzeźkiego ducha w młodzieży. Jest to śmiech z poważną twarzą i wyciągniętym palcem wskazującym : oto tak czynić nie należy ! Jest to śmiech, pozbawiony kwaskowatej ironii.

Ironię zastąpił patos — emocjonalny żywioł pozytywnego bohatera. Przestaliśmy się lękać górnych słów i gromkich zdań,

już nie wstydzimy się cnotliwości. Przypadło nam do smaku uroczyście wielosłowie ody. Doszliśmy do klasycyzmu.

Pod tytułem swojej ody „Na Wielkiego Bojarzyna i wojewodę Reszemysła” starzec Dierżawin dopisał pewnego dnia : „Albo przedstawienie, jakim być winien możnowładca”. Taki sam podtytuł należałoby dodać sztuce soc-realizmu : przedstawia ona, jakim być winien świat i człowiek.

Realizm socjalistyczny wziął za punkt wyjścia idealny wzorzec, do którego upodabnia realną rzeczywistość. Nasze żądanie — „zgodnie z prawdą przedstawiać życie w jego r e w o l u c y j n y m r o z w o j u ” — nie oznacza niczego innego, jak tylko wezwanie do przedstawiania prawdy w idealnym oświetleniu, dawania idealnej interpretacji rzeczywistości, czyli pisanie o tym, co być powinno, jako o czymś, co już realnie istnieje. Przecież „rozwój rewolucyjny” pojmujemy jako nieodwracalny ruch ku komunizmowi, ku naszemu ideałowi, a rzeczywistość wstaje przed nami w jego przeobrażającym świetle. Przedstawiamy życie tak, jak pragniemy, żeby było, jakim powinno się stać, podporządkowane logice marksizmu, i w tym sensie realizm socjalistyczny należałoby zapewne nazywać socjalistycznym klasycyzmem.

W teoretycznych pracach i artykułach sowieckich pisarzy i krytyków trafia się niekiedy określenie — „romantyzm” albo „rewolucyjny romantyzm”. Gorkij, który zawsze tęsknił do „uszlachetniającej ułudy” i bronił prawa artysty do upiększania życia, przedstawiania go lepszym, niż jest, dużo pisał o połączeniu się realizmu i romantyzmu w soc-realizmie. Te jego wezwania nie minęły bez echa, choć wiele ze sformułowań Gorkiego albo przemilcza się wstydliwie, albo komentuje po faryzeuszowsku : nie można przecież przyznać bez osłonek, że potrzebujemy pięknego kłamstwa. Ależ nie, broń Boże, jesteśmy przeciw ułudzie, przeciw lakiernictwu, piszemy wyłącznie prawdę, ale jednocześnie malujemy życie w jego rewolucyjnym rozwoju... Po cóż upiększać życie — jest cudowne i bez tego, nie mamy zamiaru go upiększać, a po prostu chcemy ujawnić tkwiące w nim pędy przyszłości... Naturalnie, romantyzm ma pełne prawo do istnienia, ale nasz romantyzm bynajmniej nie przeczy realizmowi... Rewolucyjna tematyka romantyczna (to samo, co „pędy przyszłości”, „rozwój rewolucyjny”) wynika z samego życia, które pokazujemy zgodnie z prawdą, nie przestając być najbardziej zdecydowanymi romantykami...

Wszystkie te rozmowy — to zwykła literacka polityka, w rzeczy samej jednak — i Gorkij dobrze to wyczuł — romantyzm odpowiada naszym upodobaniom : ciąży ku ideałowi, życzenia podaje za rzeczywistość, lubi malownicze ozdoby, nie lęka się gromkich zdań itd. Dlatego też cieszył się u nas sporym powodzeniem. Ale pomimo swej, odpowiadającej nam natury i pozostawionych mu praw, romantyzm zajął w naszej sztuce znacznie mniej miejsca, niż można było oczekiwać. Objął on głównie pre-historię i początki soc-realizmu, który w okresie swojej dojrzałości — ostatnie dwadzieścia, trzydzieści lat — posiada raczej słabe zabarwienie romantyczne.

Romantyzm najmocniej związał się ze S t u r m u n d D r a n g ' iem sowieckiej literatury, z pierwszym pięcioleciem rewolucji, kiedy w życiu i sztuce panowała żywiołowość uczuć, kiedy płomienny zryw ku szczęśliwej przyszłości i rozmach w światowej skali nie zostały jeszcze poddane w pełni reglamentacji surowego państwowego ustroju. Romantyzm — to nasza przeszłość, nasza młodość, do której nie przestajemy tęsknić. To zachwyty rozwianych sztandarów, wybuchy namiętności i gniewu, to błysk szabel i rżenie koni, rozstrzeliwania bez śledztwa i sądu, to — „Dawaj Warszawę !”, życie, sen i śmierć pod otwartym niebem, rozjaśnianym przez ogniska pułków, koczujących jak zamierzchłe hordy.

*W szabel świst i hałas
młody wiek nas wiódł.
Młodość nas rzuciła
na kronsztacki lód.*

*Konie rozhukane
unosily nas.
W mieście pod parkanem
zabijano nas.*

(Edward Bagrickij)

To nie tylko sentyment rewolucjonistów, którzy ocaleli, i tyjących kawalerzystów. Zarówno dla uczestników rewolucji, jak i dla tych, którzy urodzili się później, pamięć jej jest święta jak wspomnienie o umarłej matce. Łatwiej zgodzić się, że wszystko, co nastąpiło po rewolucji, było zdradą jej sprawy, niż obrazić ją słowami wyrzutu i podejrzenia. W odróżnieniu od partii, państwa, MGB., kolektywizacji, Stalina — rewolucja nie potrzebuje, aby ją usprawiedliwił komunistyczny raj, który nas

oczekuje. Jest usprawiedliwiona sama przez się, usprawiedliwiona uczuciowo — jak miłość, jak natchnienie. I chociaż rewolucja stawiała się w imię komunizmu, jej nazwa brzmi dla nas nie mniej uwodząco. Być może, jeszcze bardziej...

Żyjemy między przeszłością i przyszłością, między rewolucją i komunizmem. I jeżeli komunizm, obiecując złote góry i przedstawiając siebie jako logicznie nieunikniony wynik ogólnoludzkiego istnienia, wlecze nas władczo naprzód, nie pozwalając zejść z tej drogi, choćby była najbardziej straszliwa, to znowu przeszłość wciąż popycha nas w plecy. Przecież to my dokonaliśmy rewolucji, więc jakże nam wypierać się jej i bluźnić?! Tkwimy w tym przejściowym okresie, jak w psychologicznej pułapce. Może się nam ona podobać lub nie, ale i za nami i przed nami wznoszą się zbyt wspaniałe świątynie, aby móc zebrać się z odwagą i podnieść na nie rękę. A jeżeli mamy sobie wyobrazić, że wrogowie nas zwyciężą, zawracając ku przedrewolucyjnemu trybowi życia (albo przyłączą do zachodniej demokracji — na jedno wychodzi), to — jestem przekonany, żebyśmy zaczęli od tego, od czego zaczęliśmy niegdyś. Zaczniemy od rewolucji.

Pisząc ten artykuł, nie raz miałem okazję połapać się, że, stosując tu i ówdzie nieprzystojne chwytły ironii, starannie unikam zwrotu — „władza sowiecka”. Wolę zastępować go synonimami — „nasze państwo”, „socjalistyczny system” itp. Najwidoczniej, wyjaśnienie tkwi w tym, że od wczesnej młodości zapadły mi w serce słowa pewnej pieśni z czasów wojny domowej :

*A za sowiecką władzę
pójdziemy wszyscy w bój
i za tę wielką sprawę
złożymy żywot swój.*

Wystarczy abym wypowiedział te słowa „sowiecka władza”, a natychmiast wyobrażam sobie rewolucję — zdobycie Zimowego Pałacu, trajkotanie kulomiotów z taczanek, ósemkę chleba, obronę czerwonego Pitra — i ogarnia mnie wstręt na myśl, że o rewolucji miałbym mówić bez szacunku. Rozumując ze ścisłą logiką, „sowiecka władza” i „socjalistyczne państwo” — to jedno i to samo. Emocjonalnie jednak — to zupełnie inne rzeczy. Przeciw socjalistycznemu państwu mam to i owo (same drobnostki!), ale nie mam absolutnie nic przeciw sowieckiej władzy. Śmieszne? Być może. Ale na tym właśnie polega romantyzm.

Tak, w stosunku do naszej przeszłości wszyscy jesteśmy romantykami. Im bardziej jednak odchodzimy od tej przeszłości i zbliżamy się do komunizmu, tym słabszy staje się romantyczny blask, przekazany sztuce przez rewolucję. To zrozumiałe: romantyzm wprawdzie odpowiada naszej naturze, ale bynajmniej nie w całej pełni, a w szeregu wypadków jest nawet z nią sprzeczny.

Jest nazbyt anarchiczny i uczuciowy, a my coraz bardziej stajemy się zdyscyplinowanymi racjonalistami. Panują nad nim burzliwe uczucia i nieskoordynowane nastroje, nie znające logiki, rozsądku, prawa. „Szaleństwo śmiałych — to mądrość życia!” — zapewniał młody Gorkij, co było właściwe wtedy, gdy robiono rewolucję; szaleńcy byli potrzebni. Ale czy plan pięcioletni można określić jako „szaleństwo śmiałych?” Albo kierowniczą rolę partii? Albo wreszcie, sam komunizm, przygotowany przez logiczny rozwój historii? Tu każdy punkt jest przemysłany, przewidziany rozumowo i podzielony na odpowiednie paragrafy. Jakież to szaleństwo? Toż wyście nie czytali Marksa, towarzyszu Gorkij!

Romantyzm nie jest w stanie wyrazić naszej jasności i określonej konkretności. Obce mu są precyzyjne gesty i odmierzona, uroczysta mowa. Romantyzm wymachuje rękami, wpada w zachwyty, marzy o czymś dalekim, podczas gdy komunizm jest już prawie zbudowany i jedynie trzeba go dojrzeć.

Aby móc utrwalić swój ideał, romantyzmowi brakuje obojętności. Życzenia podaje on za rzeczywistość. To nie jest złe, ale pachnie swowolą, subiektywizmem. Życzenia — to rzeczywistość, bo tak być powinno. Nasze życie jest piękne nie tylko dlatego, że tego chcemy, ale i dlatego, że powinno być piękne. Bo innego wyjścia nie ma.

Wszystkie te racje, niewypowiedziane i nieświadome, doprowadziły do tego, że gorący romantyczny potok zaczął powoli wysychać. Rzekę sztuki pokrył lód klasycyzmu. Jako sztuka bardziej określona, racjonalna, teleologiczna, klasycyzm wyeliminował romantyków.

Jego zimne tchnienie i wielopudowy ciężar odczuwaliśmy już od dawna, ale mało kto odważał się jasno o tym mówić. „Klasyczny duch owiewa już nas ze wszystkich stron. Wszyscy nim oddychają, a tylko czy nie potrafią go rozpoznać, czy nie wiedzą, jak go nazwać, czy też po prostu boją się to zrobić” (A. Efros „Zwiastun przed progim”, 1922 rok).

Najodważniejszym był N. Punin — subtelny znawca sztuki,

kiedys związany z futurystami, obecnie zapomniany przez wszystkich. Już w roku 1918-ym Punin dostrzegł „rozpoczynający się klasycyzm wierszy Majakowskiego”. Oświadczył, że w „Misterium-Buffero” — pierwszym wybitnym utworze sowieckim — Majakowski „przestał być romantykiem i stał się klasykiem”. Punin przepowiedział, że „odtąd Majakowski, choćby najbardziej tego pragnął, uprawiać skrajnego buntu, jak dawniej, już nie będzie”⁷.

Mimo, że prognozy te okazały się dokładne (nie tylko w stosunku do Majakowskiego), w sowieckiej literaturze, coraz wyraźniej wchodzącej na klasycystyczną drogę, samo określenie „klasycyzm” — nie przyjęło się. Widocznie, wprowadzało swoją prawością w zakłopotanie i wywoływało w pamięci niepożądane analogie, które, jak się nie wiadomo czemu wydawało, poniżały naszą godność. Woleliśmy skromną nazwę soc-realistów, ukrywszy pod tym pseudonimem swoje prawdziwe imię. Ale pieczęć klasycyzmu, jaskrawa lub zamazana, widnieje na lwiej części naszych utworów, niezależnie od tego, czy są złe czy dobre. Ta sama pieczęć widnieje i na bohaterze pozytywnym, o którym była już mowa, i na sztywno hierarchicznym podziale innych ról, i na logice tematycznej i na literackim języku.

Poczynając od trzydziestych lat, ostatecznie bierze górę zamiłowanie do wzniosłego wiersza, w modę wchodzi napuszona prostota stylu, tak właściwa klasycyzmowi. Coraz częściej nasze państwo nazywa się „dzierżawą”, rosyjski chłop — „chleborobem”, karabin — „mieczem”. Wiele słów zaczęto pisać z dużej litery, do piśmiennictwa zeszyły alegoryczne postaci i uosobione abstrakcje, zaczęliśmy przemawiać z doniosłą powolnością i uroczyłą gestykulacją.

*Tak, trzeba unieść wiary ciężar,
jest prawda — nigdy nie złamana;
dobro jest z nami i zwycięża,
a zło — rzucone na kolana.*

(A. Twardowski)

*Tak, nastał czas! Na próżno gniewnym głosem
zagrażał Moskwie faszystowski kat.
Nie Moskwa padła pod straszliwym ciosem,
to powalony przez nią, Berlin padł.*

(M. Isakowski)

7. Czasopismo „Sztuka Komuny”, 15 grudnia 1918 roku. Nr 2.

Pierwsi bohaterzy sowieckiej literatury szli do szturm na kapitalistyczne twierdze w porwanych łapciach i z plugawym, macierzyńskim przekleństwem na ustach. Byli ordynarni i naturalni. „Wańka, łapęć załataj, mat' twoja, taka owaka! Cóż to, na wiec mam rznąć na bosaka?!” (Majakowski). Obecnie ci sami bohaterzy nabrali dobrego wychowania, wytwornych manier i elegancji w ubieraniu się. Jeżeli niekiedy brakuje im gustu, w tym przejawia się narodowa i społeczna osobliwość naszego klasycyzmu, zrodzonego z rosyjskiej demokracji. Ale ani autor, ani jego bohaterzy nie podejrzewają, że ich gust jest niewybredny, starają się, jak mogą, żeby być ładnymi, grzecznymi, kulturalnymi, każdą drobnostkę prezentują „jak najlepiej”, „w najlepszym wydaniu”.

„Pod białym sufitem iskrzył się paradny żyrandol, z którego, jak sople lodu, zwisały przezroczyste, kryształowe wisior-ki... Wysokie, srebrzyste kolumny podpierały olśniewająco białą kopułę, przetkaną naszyjnikami elektrycznych lampek”.

Cóż to jest? Carskie salony? Nie, to zwyczajny klub w prowincjonalnym miasteczku.

„Na scenie, przy wypolerowanym wieku fortepianu stał Rakitin — na jego pierś, opiętą szarym garniturem, błękitną strugą sływał krawat”.

Pomyśleliście — to jakiś śpiewak, albo słynny tenor... Ależ nie, to partyjny działacz.

A oto prosty lud. Nie przeklina, nie urządza bójek, nie pije, jak to w dawnych czasach bywało zawsze z rosyjskim ludem. Jeżeli nawet wypije przy weselnym stole, na którym znajdują się najbardziej wymyślne dania, to chyba tylko po to, by wznieść toast.

„Tierientij objął gości poczciwym spojrzeniem, głośno odkaszlnął w kułak, pociągnął ręką po srebrzystym krzaczku brody :

— Najsamprzód pozdrowimy młodą parę i wypijemy za to, żeby żyli szczęśliwie i ziemię sobą ozdabiali!

Goście odezwali się zgodnie przy melodyjnym wtórze kieliszków :

— I rodziciele szanowali!

— I co zdrowsze dziatki rodzili!

— Kołchoźniczej sławy nie uszczuplali!”

To urywki z powieści E. Malcewa (1949 rok), podobnej do dziesiątków i setek innych utworów. Oto przykład klasycystycznej prozy o przeciętnej artystycznej wartości. Twórczość tego

rodzaju od dawna już stała się wspólną własnością naszej literatury. Jej chwytły przechodzą od autora do autora bez żadnych istotnych zmian.

Każdy styl posiada swoje sztance. Ale właśnie klasycyzm najbardziej skłania się ku gotowym sztancom, ku patetycznemu zachowywaniu określonych norm i kanonów, ku formom konserwatywnym. To jeden ze stylów najbardziej odpornych na zmiany. Wnosi i przyjmuje nowatorstwo głównie w chwili swego powstawania, a następnie stara się iść wiernie za ustalonymi wzorami, stroniąc od formalnych poszukiwań, eksperymentatorstwa, oryginalności. Dlatego też odrzucił wkład wielu poetów, którzy wprawdzie zbliżali się ku niemu, ale zachowali swoją odrębność (Welemir Chlebnikow, Osip Mandielsztam, Nikołaj Zabołockij). Nawet Majakowski, którego Stalin nazwał „najlepszym”, najbardziej utalentowanym poetą naszej sowieckiej epoki”, stoi na tle klasycyzmu przeraźliwie odosobniony.

Majakowski jest zbyt rewolucyjny, aby stać się tradycjonalistą. Po dziś dzień przyjmuje się go raczej politycznie niż poetycko. Niezależnie od hołdów, składanych Majakowskiemu, jego rytmy, obrazy, język wydają się większości poetów nazbyt śmiałe. A ci, którzy pragną iść za nim, przepisują poszczególne litery z jego książek, nie mając dość siły, by uchwycić najważniejsze — odwagę, wynalazczość, namiętność. Naśladują jego wiersze, zamiast iść za jego przykładem.

Może dlatego, że Majakowski pierwszy zainicjował klasycyzm, nie mając poprzedników i budując na pustym placu, czy może dlatego, że uchwycił głosy współczesności nie tylko rosyjskiej, ale i światowej; że, będąc romantykiem, pisał jak ekspresjonista, a do klasycyzmu przybliżył konstruktywizm, czy wreszcie dlatego, że był geniuszem — jego poezja jest przesycona duchem nowości. Ten duch porzucił naszą literaturę wraz ze śmiercią Majakowskiego.

Jak wiadomo, geniusze nie rodzą się codziennie, a sztuki rzadko kiedy zadawała współczesnych. A jednak wraz z innymi współczesnymi trzeba stwierdzić ze smutkiem postępujące ubóstwo naszej literatury na przestrzeni ostatnich dwóch, czy trzech dziesięcioleci. W miarę swego rozwoju i twórczego dojrzewania, coraz gorzej pisali Fiedin, Fadiejew, Erenburg, Wsiewołod Iwanow i wielu innych. Lata dwudzieste, o których Majakowski powiedział — „a ot, poetów, niestety, nie mamy”. — obecnie wydają się okresem poetyckiego rozkwitu. Poczynając od masowego zapędzania pisarzy w soc-realizm (początki trzy-

dziestych lat), literatura staje się deficytowa. Pewne jaśniejsze chwile, jak te, które przyniosła wojna Ojczyzniana, literatury nie uratowały.

W obliczu tej sprzeczności między zwycięskim soc-realizmem i niskim poziomem literackiej produkcji, liczne głosy oskarżają soc-realizm, twierdząc, że w jego granicach wielka sztuka nie jest możliwa, ba, że w ogóle jest on zabójczy dla każdej sztuki. Pierwszy Majakowski zaprzecza temu oskarżeniu. Przy całej oryginalności swego talentu, pozostał on prawowiernym, co nie przeszkodziło mu w pisaniu dobrych utworów. Był wyjątkiem od ogólnych prawideł, a to przede wszystkim dlatego, że trzymał się ich sztywniej niż inni, realizował w praktyce żądania soc-realizmu najbardziej radykalnie, najbardziej konsekwentnie. Za sprzeczność między soc-realizmem i jakością literatury odpowiedzialność ponosi literatura, czyli pisarze, którzy przyjęli jego prawidła, a nie zdobyli się na tyle pisarskiej konsekwencji, by ucieleścić je w wiecznotrwałych obrazach artystycznych. Tylko jeden Majakowski był dostatecznie konsekwentny.

Sztuka nie boi się dyktatury, ani surowości, ani represyj, ani nawet konserwatyizmu i sztampy. Jeśli potrzeba, sztuka bywa ciasno religijna, tępo państwowa, nie indywidualna, a mimo to wielka. Zachwycamy się sztancami starego Egiptu, rosyjskiej ikonografii, folkloru. Sztuka jest dostatecznie płynna, aby zmieścić się w każdym prokrustowym łożu, proponowanym jej przez historię. Jednego nie znosi — eklektyzmu.

Nasze nieszczęście polega na tym, że jesteśmy soc-realistami nie dość przekonanymi, że, podporządkowując się okrutnym prawom metody, boimy się iść aż do końca po przełożonej przez nas samej drodze. Gdybyśmy byli ludźmi mniej wykształconymi, prawdopodobnie łatwiej by się nam udało osiągnąć niezbędną dla artysty zwartą jednolitość. Ale uczyliśmy się w szkole, czytaliśmy różne książki i zbyt dobrze wiemy, że przed nami byli znakomici pisarze — Balzac, Maupassant, Tolstoj. I był jeszcze ten — no, jakże się nazywał? — Cze-cze-cze-czechow. To nas zgnębiło. I my zapragnęliśmy stać się znakomitościami, pisać jak Czechow. W wyniku tak anty-naturalnego współżycia na świat zaczęły przychodzić potwory.

Nie można, nie wpadając przy tym w parodię, stworzyć bohatera pozytywnego (o pełnej wartości soc-realistycznej) i obdarzać go ludzką psychologią. Nie będzie ani prawdziwej psycho-

logii, ani bohatera. Majakowski o tym wiedział, a że nienawidził drobiazgowości i małostkowości, więc pisał w przesadnych proporcjach i wymiarach, pisał szeroko, jak na plakacie, po homerycku. Odchodził od opisów życia, od wiejskiej przyrody zrywał z „wielkimi tradycjami wielkiej rosyjskiej literatury” i nie próbował naśladować Puszkina i Czechowa, chociaż znał ich i lubił.

To wszystko dopomogło Majakowskiemu dorównać wzrostem epoce i wyrazić jej ducha całkowicie i czysto — bez obcych domieszek. Zaś twórczość wielu innych pisarzy przeżywa kryzys właśnie dlatego, że wbrew klasycystycznej naturze naszej sztuki, pisarze ci wciąż jeszcze uważają ją za realizm, orientując się nadto na literackie wzory XIX-go stulecia, najdalsze od nas i najbardziej nam wrogie. Zamiast iść po drodze umownych form, czystego wymysłu, fantazji, po drodze wszystkich wielkich kultur religijnych, dążą do kompromisu, kłamią, wykręcają się, próbując połączyć niepołączalne: pozytywnego bohatera, jak najbardziej szlachetnie ciężącego ku schematowi i alegorii — i psychologiczną analizę charakteru; górny styl, deklamatorstwo — i prozaiczne opisy powszedności; wzniosły ideał — i życiowe prawdopodobieństwo. Powstaje jakaś potworna mieszanka. Postacie literackie męczą się, prawie jak u Dostojewskiego, smucą się prawie według Czechowa, budują rodzinne życie, prawie jak u Lwa Tołstoja, a jednocześnie, połapawszy się, że coś nie w porządku, wyrykują doniosłym głosem przepisane prawdy, wyczytane z sowieckich gazet: „Niech żyje pokój na całym świecie!”, „Precz z podżegaczami wojennymi!”. To nie klasycyzm i nie realizm. To pseudo-klasyczna pseudo-sztuka nie całkiem socjalistycznego zupełnie nie realizmu.

Najwidoczniej w samej nazwie — „realizm socjalistyczny” — zawarta jest sprzeczność nie do pokonania. Socjalistycznej, to znaczy skierowanej do celu, religijnej sztuki nie można stworzyć przy pomocy środków literackich XIX-go wieku, nazwanych „realizmem”. Całkowicie prawdopodobny obraz życia (ze szczegółami dnia powszedniego, psychologii, pejzażu, portretu itd.) nie poddaje się opisowi w języku teleologicznych konstrukcyj rozumowych. Socjalistyczny realizm, jeśli istotnie pragnie sięgnąć poziomu wielkich kultur świata i stworzyć swoją „Komuniadę”, ma tylko jedno wyjście — skończyć z „realizmem”, zrezygnować z żałosnych i tak czy owak bezpłodnych wysiłków stworzenia socjalistycznej „Anny Kareniny” i socjalistycznego „Wiśniowego sadu”. Gdy soc-realizm odrzuci nie-

istotne dla niego prawdopodobieństwo, potrafi przekazać majestatyczny i nieprawdopodobny sens naszej epoki.

Niestety, nie ma na to większych szans. Wydarzenia ostatnich lat wleką naszą sztukę po drodze pół środków i połowicznych prawd. Śmierć Stalina zadała niepowetowaną stratę naszemu religijno-estetycznemu systemowi, a odrodzonym obecnie kultem Lenina trudno będzie tę stratę wyrównać. Lenin jest zanadto podobny do zwykłego człowieka, ma zanadto realistyczny wygląd: łysy, małego wzrostu, cywil. Stalin natomiast był jakby specjalnie stworzony dla oczekującej go hiperboli. Zagadkowy, wszystko widzący, wszechmocny, był żywym pomnikiem naszej epoki i, aby stać się Bogiem, brakowało mu tylko jednej cechy — nieśmiertelności.

Ach, gdybyśmy byli mądrzejsi i otoczyli jego śmierć cudami! Trzeba było oświadczyć przez radio, że nie umarł, że wzniósł się do nieba i spogląda na nas z góry, milcząc pod mistycznym wąsem. Jego nietknięte rozkładem relikwie uzdrawiałyby paralityków i opętanych. A dzieci, kładąc się spać, modliłyby się przez okienko do lśniących, zimowych gwiazd Niebiańskiego Kremla.

Ale nie posłuchaliśmy głosu sumienia i zamiast rozplywać się w pobożnych modłach, dokonaliśmy kompromitacji „kultu jednostki”, stworzonego przedtem przez nas samych. To myśmy wysadzili w powietrze fundamenty tego klasycystycznego arcydzieła, które miało (czekać zostawało tak niewiele!) wejść do skarbnicy światowej sztuki, obok piramidy Cheopsa i Apollina z Belwederu.

Siła każdego systemu teleologicznego opiera się na stałości harmonii, ładzie. Wystarczy przypuścić, że Bóg niechący zgrzeszył z Ewą i, zazdrosny o Adama, wysłał nieszczęsnych małżonków na poprawcze roboty na ziemi, a cała koncepcja światowej budowy legnie w gruzach i wznowienie wiary w dawnym kształcie już nie będzie możliwe.

Po śmierci Stalina weszliśmy w strefę niszczącego przewartościowywania. To idzie powoli, bez logicznego związku, bez perspektywy, a tymczasem inercja przeszłości i przyszłości zachowuje swoją, dość znaczną siłę. Wątpliwe, czy dzisiejsze dzieci będą w stanie stworzyć sobie nowego Boga, który potrafi natchnąć ludzkość na następny historyczny cykl. Kto wie, czy w tym celu nie staną się konieczne uzupełniające stopy Inkwizycji, nowe „kulty jednostki”, nowe ciężkie roboty, a dopiero

po wielu stuleciach wszędzie nad światem Cel, którego imienia nikt na razie nie zna.

Zanim przyjdzie do czego, nasza sztuka drepce na tym samym miejscu — pomiędzy niedopełnionym realizmem i niedopełnionych klasycyzmem. Po poniesionej stracie sztuka nie ma sił, by wlecieć ku ideałowi i z dawną napuszoną szczerością słać nasze szczęśliwe życie, podając to, co być powinno, za rzeczywistość. W panegirycznych utworach z coraz większą otwartością daje o sobie znać nikczemność i świętoszkostwo, a powodzeniem cieszą się obecnie pisarze, których stać na względnie prawdopodobne uwydatnienie naszych osiągnięć i na względnie łagodne, delikatne przedstawienie naszych niedociągnięć. Kto schodzi na manowce nadmiernego prawdopodobieństwa i „realizmu”, ponosi fiasko, jak stało się z głośną powieścią Dudincewa, „Nie samym chlebem”, wyklętą publicznie za oczernianie naszej promiennej, socjalistycznej rzeczywistości.

Ale czy marzenie o starym, dobrym, uczciwym „realizmie” stanowi jedyną ukrytą herezję, na jaką stać literaturę rosyjską? Czy naprawdę wszystkie nauki nam udzielone, przepadły na daremnie i w najlepszym wypadku mamy tylko jedno życzenie — wrócić do naturalistycznej szkoły i krytycznego kierunku? Miejmy nadzieję, że to niezupełnie tak i że nasza potrzeba prawdy nie przeszkodzi pracy myśli i wyobraźni.

W danym wypadku opieram swoją nadzieję na artystycznej fantasmagorii, na sztuce wynoszącej hipotezy zamiast celu i groteskę, zamiast obyczajowego opisu. Taka sztuka najbardziej odpowiada duchowi współczesności. Niech obrazy Hoffmana, Dostojewskiego, Goyi, Chagalla, a także najbardziej socjalistycznego realisty, Majakowskiego, i wielu innych realistów i nie realistów nauczą nas, jak dochodzić do prawdy z pomocą bezsensownej fantazji.

Tracąc wiarę, nie pozbyliśmy się umiejętności zachwywania się odbywającymi się na naszych oczach metamorfozami Boga, gigantycznymi skurczami jego wnętrzości — zwojów mózgowych. Nie wiemy, dokąd iść, ale pojawiwszy, że nie mamy innej rady, zaczynamy rozmyślać, przeprowadzać domysły, zakładać przypuszczenia. Być może, wymyślimy coś zadziwiającego. Ale to c o ś nie będzie już realizmem socjalistycznym.

SPIS TREŚCI

Gustaw Herling-Grudziński : <i>Przedmowa</i>	7
Abram Terc : <i>Sąd idzie</i>	13
Anonim : <i>Co to jest realizm socjalistyczny ?</i>	95

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 30 SEPTEMBRE 1959
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 4^e trim. 1959.



"Kultura"
20. II. 60 v.

Odkwaszone

22-09-2008
